

Paulina Woźniak

*Wspomnień  
blask*

— TOM II —

**Redakcja:**

Paulina Woźniak

Jan Nowak

**Fotografie:**

Ze zbiorów prywatnych autorów wspomnień

**Korekta:**

Teresa Kęska, Sylwester Dzikowski

**Projekt okładki:**

Karol Kin

**Wydawca nie odpowiada za treści wspomnień  
zawartych w niniejszej publikacji.**

**Wydawca:**

Gmina Kawęczyn

Kawęczyn 48

62-704 Kawęczyn

ISBN XXX-XX-XXXXX-XX-X

**Nakład**

100 egzemplarzy



*„Istota wspomnień polega na tym,  
że nic nie przemija...”*

Elias Canetti

*Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy*



**B**iograficzny szlak gminy Kawęczyn powiększa się dzięki moim Bohaterom. „Wspomnień blask” łączy historię, tradycję i kulturę naszego regionu. Poprzez Państwa relacje oraz dokumenty tworzona jest „lokalna mapa biografii - mieszkańców Gminy Kawęczyn”. Pokładam nadzieję, że drugi tom zainteresuje, poszerzy wiedzę, wzruszy, zaskoczy. Spisane doświadczenia są trudne, bolesne, ale też piękne. Każda karta papieru skrywa w sobie wyjątkowe historie – warte poznania. Ich niezwykłość polega na tym, że stanowią one fundament wielu refleksji, przemyśleń, postaw, poglądów. Wszystkie mają niepowtarzalny blask. Swój szacunek, a także wdzięczność za

długie rozmowy o przeszłości wyrażam poprzez tę publikację, która w moim odczuciu jest inspiracją do odkrywania lokalnej tożsamości.

Nie bójmy się mówić o przeszłości. Dzielmy się nią. Szukajmy naszych korzeni. Dbajmy o historię. Nie pozwólmy, by pamięć o naszych przodkach, o naszych bliskich odeszła w zapomnienie. Spróbujmy ocalić niewypowiedzianą na głos historię naszego regionu. Wierzę, że cykl „Wspomnień blask” pozwoli spojrzeć na historię z innej perspektywy.

Dziękuję po raz kolejny moim BOHATEROM. Wasza odwaga zasługuje na wszelkie uznanie. W moich oczach zawsze będziecie cudowni i wyjątkowi.

Dziękuję panu Janowi Nowakowi – Wójtowi Gminy Kawęczyn, który pomógł w powstaniu cyklu „Wspomnień blask” i wydaniu dwóch tomów mojej książki. Pan Wójt zawsze służył swoją radą, wspierając moje poczynania w tworzeniu cyklu. Wyrazy wdzięczności kieruję ponadto na ręce Ewy Frączczak, Teresy Kęski oraz Sylwestra Dzikowskiego.

**Drugi tom dedykuję osobom, które pomagają mi tworzeniu cyklu.**

Paulina Woźniak

*Paulina Woźniak*

Autorka „Wspomnień blask”

*Szanowni Państwo,*

„Wspomnień blask”, autorstwa Pauliny Woźniak, to cykl artykułów, publikowanych na łamach pisma „Kawęczyniak” od listopada 2016 r. Po 4 latach ciężkiej pracy, powstała pierwsza część publikacji, zawierająca relacje 16 osób, które zechciały podzielić się swoimi losami. Stanowi ona swoistą kontynuację projektu Lokalnej Grupy Działania Turkowska Unia Rozwoju – T.U.R., obejmującego wydanie dwóch części „Wspomnień wiecznie żywych”, ukazujących wojenne dzieje mieszkańców powiatu tureckiego. Należy jednak zauważyć, że „Wspomnień blask” jest autorskim pomysłem Pauliny Woźniak, obrazującym nie tylko czasy okupacji, ale podejmującym opowieść o całym życiu danego Bohatera. Dzięki tej pięknej inicjatywie, do tej pory powstał zbiór niemalże 40 biografii, mówiących o tym, co dawne, ale jednocześnie ważne, istotne oraz wartościowe.



Cykl „Wspomnień blask” cieszy się dużym zainteresowaniem wśród czytelników miesięcznika „Kawęczyniak”. Artykuły tworzone są z ogromnym zaangażowaniem autorki, jak też wielkim wsparciem oraz pomocą Bohaterów i ich rodzin. Serdecznie zachęcam zatem kolejne osoby do udzielania wywiadów, do podzielenia się swoją historią, bowiem takie relacje stanowią nieocenioną skarbnicę wiedzy dla przyszłych pokoleń.

Warto dzielić się wspomnieniami, gdyż pełnią one niezwykle rolę w kształtowaniu młodego pokolenia. Uczą one pokory, nadziei, wiary, są elementem lokalnego dziedzictwa.

Z poważaniem

Jan Nowak

Wójt Gminy Kawęczyn



---

# Spis treści

---

Jadwiga Jaroma .....	X
Ignacy Kurpik .....	X
Bronisława Mintus .....	X
Józef Mielczarek.....	X
Anna Wronowska.....	X
Eugenia Głapa .....	X
Mirosława Matczak .....	X
Wacław Jeżykowski .....	X
Adamina Bilska.....	X
Władysław Czechowski .....	X
Wacław Mruk.....	X
Bolesław Kołodziejek .....	X
Feliks Raszewski .....	X
Mieczysław Kończewski .....	X
Wacława Wisna .....	X
Lucyna i Stanisław Janiakowie.....	X

# *Jadwięa Jaroma*

TOKARY PIERWSZE





## Jadwiga Jaroma

Urodzona 07.10.1927 r., córka Marianny (z domu Człapa) oraz Tomasza Klimczaków. Do Szkoły Podstawowej uczęszczała w Miłkowicach. Wraz z mężem Mirosławem zajmowali się gospodarstwem rolnym, a w wolnych chwilach pani Jadwiga oddawała się pasji robienia na drutach. Członkini Koła Gospodyń Wiejskich w Tokarach. Bohaterka publikacji „Wspomnienia wiecznie żywe”, wydanej pod redakcją Lokalnej Grupy Działania Turkowska Unia Rozwoju – T.U.R. oraz Waldemara Ranuszkiewicza – cam VERS.

W deszczowy poranek – 4 grudnia 2017 r. do świata swoich wspomnień zabrała mnie pani Jadwiga Jaroma. Spotkanie rozpoczęliśmy od oglądania zdjęć. Gdy weszłam do pokoju na stole czekał już stary album, na którym widać było odcisnięte piętno czasu. Jego karty, oprócz starych fotografii, skrywają też radość i smutek, wzruszenie i spełnienie. Pani Jadwiga to bardzo miła, radosna oraz rozmowna osoba. Gdy opowiadała mi o czasach wojennych z jej oczu płynęły łzy. Cieszę się, że mogłam się z nią spotkać, wysłuchać jej opowieści i przelać je na papier.

Czasy okupacyjne to niezwykle trudny temat do rozmów, wspomnień... Kiedy słucham relacji swoich Bohaterów o tychże brutalnych latach z trudem powstrzymuję łzy. Nie sposób wyrazić co wówczas czuję - widzę w ich twarzach, słyszę w ich głosie. Dla mnie, osoby młodej, żyjącej w XXI wieku, nie do pojęcia, nie do wyobrażenia jest to, co oni przeszli, z czym musieli się zmagać. Jestem pełna podziwu wobec ich siły.

## Rodzina młynarzy

Urodziłam się 07.10.1927 r. w Strachocicach. Moi rodzice to Marianna (z domu Człapa) oraz Tomasz Klimczakowie. Obydwoje pochodzili ze Strachocic w gminie Dobra. Dziadek Józef Klimczak (ojciec mojego taty) posiadał młyn, który istnieje do dziś. Jego synowie, tak jak i on, byli młynarzami. Ludzie przynosili do nich zboże, z którego powstawała mąka. Dziadek miał też przy młynie „jagielnik”, gdzie obrabiał jagły – kaszę z łuskanego ziarna prosa zwyczajnego. My dzieci, chodziliśmy czasem do młyna bawić się w jego zakamarkach. Stał tam duży piec na koks. Dziadek jeździł po niego do Zduńskiej Woli - wozem zaprzęgniętym w konie.



Szkoła Podstawowa, do której uczęszczałam mieściła się w prywatnych domach gospodarzy, mieszkających w Milkowicach. Następnie uczęszczałam do szkoły w Strachocicach, której izby lekcyjne również znajdowały się u mieszkańców wsi. W domu przy młynie – odbywały się lekcje 7 klasy. Kiedy rozpoczęłam 5 klasę, wybuchła wojna i tak zakończyła się moja edukacja. Pamiętam, że w Strachocicach uczył mnie pan Dyrus i pani Minister ze Skęczniewa. Pierwszą Komunię Świętą przyjął w kościele pw. św. Mikołaja Biskupa w Milkowicach. Odbyła się ona w zwykły dzień. Musieliśmy być wtedy na czczo. Ksiądz, który udzielał nam tego sakramentu przygotował dla nas w ogrodzie obok plebanii małe przyjęcie. Poczęstował nas ciastem drożdżowym oraz kawą z mlekiem. To był bardzo dobry proboszcz. Niestety z tego co wiem został zamordowany w obozie koncentracyjnym. Nie pamiętam jego nazwiska.

Z mojego dzieciństwa we wspomnieniach szczególnie zapisały się święta. Obchodziliśmy je skromnie, ale najważniejsze, że w gronie rodzinnym. Raz, podczas Wielkanocy zdarzyło się, że dostałam ogromnego czekoladowego zająca od państwa, którzy dzierżawili młyn od dziadka. W czasach wojennych również staraliśmy się kultywować to, co polskie to, co nasze. W czasie Bożego Narodzenia w rogu stała skromna choinka – ozdobiona watą. Dekoracje na nią wykonywaliśmy ponadto ze słomy. Śpiewaliśmy kolędy. Rodzice troszczyli się, abyśmy nie zapominali o tradycjach.

Dziadkowie rozdzielili gospodarstwo pomiędzy dzieci. Tata, otrzymaną od rodziców ziemię sprzedał i kupił działkę w Tokarach, zlokalizowaną około pół kilometra (w stronę Gozdowa) od miejsca, gdzie obecnie mieszkam. Przed wojną rozpoczął na niej budowę własnego młyna. Kiedy był on już prawie gotowy, wybuchła II wojna światowa. Niemcy zrównali młyn z ziemią, zniszczyli efekt ciężkiej pracy mojego taty. Wojna wybuchła we wrześniu, a my na zimę 1939 r. przeprowadziliśmy się do Tokar. Wynajęliśmy mieszkanie od pani Ireny Janiak, w miejscu gdzie obecnie mieszka pani Władysława Dzikowska (naprzeciwko remizy w Tokarach). Pani Janiak miała dwoje dzieci: Henię i Gienia, zajmowała się trochę szyciem.

## Hitlerowcy w Strachocicach

Mój wuja Wojciech, brat taty, w dniu kiedy wybuchła wojna (a mieszkaliśmy jeszcze wtedy w Strachocicach), poszedł do naszego sąsiada, pana Zagrody (posiadał sklep), by posłuchać w radiu, co dzieje się w Warszawie. Kiedy wracał, Niemcy już za nim szli. Do dziś widzę ten obraz przed oczyma. Wyglądałam wówczas przez okno i widziałam, jak wuja idzie z podniesionymi do góry rękoma, a za nim Niemcy z karabinami. Inni jechali motorami, które posiadały z lewej lub prawej strony dodatkowe jednokołowe wózki z miejscem dla pasażera. Były one często wykorzystywane

w czasie II wojny światowej. Siedząca obok kierowcy osoba - obsługiwała karabin, co dawało możliwość szybkiego przemieszczania się, a zarazem skutecznego rażenia przeciwnika lub pełnienia zadań rozpoznawczych. Dziadek nie widząc z daleka, kto idzie za wujem, krzychał: „dzieci, dzieci zrywajcie kwiaty dla żołnierzy”, nie wiedział jednak że zamiast polskiej armii, do Strachocic wkroczyli hitlerowcy. Niemcy zeszli z motorów i przyszli do nas. Bardzo się baliśmy, bo tata posiadał fuzję – czyli myśliwską strzelbę. Zaczęli rewidować ojca. Na szczęście Niemiec nie sprawdził, co tata trzymał w kieszeni, a miał tam naboje do tej fuzji. Mogliby nas przecież za to rozstrzelać. Przenieśliśmy się do takiego starego, murowanego domu we wsi, który należał do dziadka. W Strachocicach na polu pana Adryszka hitlerowcy postawili szubienicę. Kiedy wieszali ludzi, siłą zmuszali Polaków, by oglądali te brutalne egzekucje. Wiem, że pewnego razu przywieźli wozem jakiegoś polskiego wojskowego, by dokonać na nim tego strasznego mord. Tata opowiadał, że szedł on na szubienicę z podniesioną głową i krzychał, że „jak ginie – to za Ojczyznę – Ukochaną Ojczyznę”.

## Uciekając przed Niemcami

Kiedy wybuchła wojna miałam 12 lat. Tak jak już wspominałam – zimą przenieśliśmy się do Tokar. Ojciec jeździł do Strachocic, do brata mamy, gdzie ubijał świnię. Musiał jakoś zapewnić nam utrzymanie. Pewnego dnia, gdy właśnie taty nie było w domu, do naszych okien zapukali żandarmi, krzyżąc, abyśmy otwierali. Jaki to był wtedy strach. Niemcy rozkazali, bym szykowała się do Niemiec. Mama strasznie płakała z tego powodu. Był wtedy u nas kuzyn z Łodzi – mamy siostry syn – nazywał się Gnatkowski. Zabrali i jego i mnie, a także syna pana Paczki – pracującego na poczcie oraz Feliksa Kończaka – który wstawił się za swoją siostrę Marysię. Niemcy chcieli ją zabrać, jednak on podjął decyzję, że pojedzie za nią. Jechało nas czterech. Wieźli nas wozem. Siedziałam zaraz za żandarmem i osobą, która powoziła. Cały czas miałam w głowie, że musimy uciec. Już wcześniej, gdy przed tym wywozem, zamknięto nas na posterunku żandarmerii w Tokarach, obiecaliśmy sobie, że zdołamy uciec. Feliks Kończak, podpowiadał nam, abyśmy powoli przesiadali się na tył wozu. Kiedy powożący i żandarm rozmawiali, my przesuwaliliśmy się do tyłu, a następnie po tzw. półkoszkach, czyli wplecionych z wikliny bokach wozu zsunęliśmy się oboje z kuzynem i uciekaliśmy w pole - ile tchu w piersiach. Było to przed cmentarzem w Milejowie. Biegliśmy w stronę Głuchowa. Tam mieszkał kolega taty – pan Siepietowski (został zamordowany w Oświęcimiu). Muszę dodać, że był on rybakiem, pracował u dziedzica w Głuchowie. Dwór w tej miejscowości otoczony był parkiem, powstał prawdopodobnie w drugiej połowie XIX wieku - z fundacji rodziny Zaborowskich. W skład zespołu dworskiego wchodziło 6 stawów z gospodarstwem rybnym. Dobra te stopniowo parcelowano. Przed II wojną światową, dziedzic Lech Zaborowski, po śmierci swo-

jej żony Izabeli, wyjechał do Warszawy. Uciekając, biegliśmy też po rowach, przez co bardzo się zmoczyliśmy. W pewnym momencie usłyszeliśmy strzały. Zamarliśmy z lęku. Te okropne chwile pozostaną w mojej głowie na zawsze.

Wbiegliśmy z placzem do Państwa Siepietowskich – przemoknięci i wystraszeni. Zaczęliśmy im opowiadać co się stało. Oni nas wysłuchali, a następnie zapowiedzieli, że zostaniemy u nich. Po jakimś czasie przyszła moja mama, nakryta chustą i z placzem. Powiedziała, że Niemcy dotkliwie ją pobili. Kiedy się przewróciła Niemiec skakał po jej brzuchu, a następnie kopał. Pan Siepietowski doradził, abyśmy uciekali do taty – do Strachocic, a mamie kazał zostać w ich domu. Znałam trasę do Strachocic, toteż jak najszybciej wyruszyliśmy z kuzynem w drogę przez łąki głuchowskie. Kiedy dotarliśmy na miejsce było już widno. Wbiegliśmy do domu, opowiadając tacie i wujostwu co się wydarzyło. Ciocia zrobiła nam herbatę i zaczęła suszyć nasze rzeczy. Ojciec wziął wówczas rower i szybko pojechał do Tokar. Kiedy wszedł do wynajmowanego przez nas domu, w szczycie stali już żandarmi. Zabrali go i zawieźli do Turku - na Muchlin, gdzie przetrzymywali wszystkich, których złapali i chcieli wywieźć do Rzeszy. Dzięki Bogu, ojciec zdołał uciec. Do Tokar już baliśmy się wracać. Zostaliśmy w Strachocicach. Zamieszkaliśmy u wuja pod samym lasem. Tam jednak też nie byłam bezpieczna. Musiałam się ukrywać u cioci Antoniny Durki w Skęczniewie. Zdarzyło się, że żandarmi znowu wkroczyli w nasze życie. Wdarli się do domu wuja i ponownie chcieli zabrać tatę. Zapanował w domu ogromny lament. Strasznie z tego powodu rozpaczalam i wtedy hitlerowiec uderzył mnie kolbą<sup>1</sup> w twarz. Bez zastanowienia powiedziałam mu, że nie wolno bić drugiego człowieka. Na szczęście nie poniosłam konsekwencji swoich słów.

### **Jak przeżyć...**

Niemcy wysiedlali ludzi zza Sieradza, gdyż tam zorganizowali sobie miejsce do stacjonowania. Rodziny stamtąd przyjmowaliśmy u nas w Strachocicach. Do wuja przesiedlono starsze małżeństwo – państwa Bezulskich. Pamiętam, że tego pana wciąż bolała głowa. Owijał ją sobie ręcznikiem, nasiąkniętym wodą z octem. Ja robiłam na drutach swetry dla ludzi, w zamian otrzymywałam np. masło lub mąkę. Musieliśmy jakoś przeżyć. Często chodziłam do sąsiadki, która była krawcową. Lubiałam podpatrywać jak pracuje.

Pewnego dnia, usłyszałam szczekanie psów, spojrzałam w okno i ujrzałam na podwórku dwóch żandarmów. Krzyczę więc mamie, że hitlerowcy są u nas. Zdzęłam szybko łapcie i wsunęłam

---

<sup>1</sup> Kolba - część broni służąca do oparcia jej o ramię strzelca. Por. Słownik Języka Polskiego, oprac. L. Drabik, A. Kubiak-Sokół, E. Sobol, L. Wiśniewska, PWN, Warszawa 2009 r., s. 333.



się pod pierzynę. Niemcy weszli i zapytali mamę, gdzie jest córka. Odpowiedziała im, że poszłam do sąsiadów, więc odjechali. Musiałam się więc zacząć ukrywać u cioci, mieszkającej w Skęczniewie. W miejscowości tej w plebanii mieszkał żandarm z żoną i dzieckiem. Przychodził on do mojej cioci po mleko. Pewnego dnia, kiedy robiłam dla wuja sweter na drutach, do domu wszedł ów Niemiec. Czym prędzej schowałam się w kuchence, za mną ciągnęła się jednak wełna. Żandarm rzekł wówczas „ooooo kochana, nie chowaj się, bo ślad po sobie zostawiłaś”. Wyszłam więc z ukrycia. Niemiec nie chciał mnie skrzywdzić, zwrócił się do mnie słowami „Ty jesteś taka miła dziewczynka, przyjdź do mnie do pracy – będziesz zajmowała się moim dzieckiem, pomożesz żonie w kuchni”. Cieszyłam się z tego zajęcia, dobrze tam miałam. Kiedy tata dowiedział się, że chodzę do Niemca, zdenerwował się i zabronił pracy u wroga. Mieszkając w Skęczniewie, starałam się odwiedzać rodziców. Musiałam jednak zachować dużą ostrożność i przemieszczać się polnymi drogami, lasami, czasem nawet przez lubin – na kolanach.

Bóg naprawdę nad nami czuwał. Dzięki Niemu zdołaliśmy przeżyć. Dzięki Najwyższemu udało nam się przetrwać tak wiele dramatycznych sytuacji. Do dziś z wszelakimi prośbami, problemami – zwracam się do Pana Boga i Matki Przenajświętszej. Modlę się, by już nigdy nie było tak, jak w czasach okupacji.

## Rosjanie byli gorsi

Pod koniec wojny, mój dziadek poradził, abyśmy z bratem zgłosili się na ochotników do kopania okopów, dzięki czemu nie będziemy musieli się już ukrywać. Tak też uczyniliśmy. Mama nie chciała puścić nas samych, zapowiedziała, że pojedzie z nami. Tata w tym czasie ukrywał się u swojego kuzyna w Milkowicach. Zwieźli nas wszystkich - ochotników do Dobrej do kościoła. Pamiętam, że w tym kościele ludzie się modlili, płakali... Stamtąd rozwozili do poszczególnych miejsc, gdzie pracowało się przy okopach. Uprosiłszy osobę o nazwisku Marks (przed wojną dzierżawił od dziadka młyn), który rozdzielał ludzi do pracy, by wypuścić naszą mamę. Tak też się stało. W końcu przydzielono nam pracę i pojechaliśmy w okolice Łęczycy. Brat wykonywał funkcję listonosza. Wszyscy darzyli go dużą sympatią. Spaliśmy w stodołach, w starych domach. Z Grabowa (koło Uniejowa) przyszedł do nas syn pana Siepietowskiego – Stasiu, który mnie zastąpił, dzięki czemu mogłam wrócić do domu, a raczej do cioci do Skęczniewa. Brat musiał zostać. Kiedy wojna się skończyła znowu zamieszkałam z rodzicami. Wrócił też Tadziu – mój brat.

Niemcy wyrządzili ogrom zła, ale Rosjanie byli gorsi, o ile można ich tak kategoryzować. Muszę powiedzieć, że Rosjanie zachowywali się jak dzikie zwierzę. Wchodzili do domów i gwałcili... Mojemu bratu ukradli harmonię, ojcu zegarek ...

## Kupiliśmy wiatrak w Tokarach

Po zakończeniu wojny, wróciliśmy do Tokar. Tata kupił działkę (90 arów) oraz wiatrak od pana Stanisława Rogalskiego. Mieściły się one na samym końcu wsi, w kierunku Głuchowa (naprzeciwko domu, w którym obecnie mieszkają p. Jatzakowie). Brat po ukończeniu Szkoły Podstawowej poszedł do Liceum do Kalisza. Ja pomagałam rodzicom w gospodarstwie, dalej robiłam trochę na drutach. Mając 22 lata – 07.07.1949 r. wyszłam za mąż. Ślubu udzielił nam ks. Franciszek Bartczak – proboszcz parafii Tokary oraz Głuchów w latach 1948 – 1956. Do kościoła jechaliśmy bryczką. Wesele tzn. poczęstunek był w domu, a tańce w remizie w Tokarach. Pamiętam, że w tym ważnym dniu towarzyszyły mi drużyny, wszystkie ubrane na biało. Z mężem Miroslawem doczekaliśmy się córki Alicji (ur. 1952 r.) oraz syna Andrzeja (ur. 1951 r.), zbudowaliśmy dom, w którym mieszkam do dziś. Od teściów otrzymaliśmy ziemię. Wspólnie prowadziliśmy gospodarstwo rolne. Byłam członkiem Koła Gospodyń Wiejskich w Tokarach.

## Z albumu Jadwigi Jaromy



Jadwiga Jaroma (z domu Klimczak) – 1947 r.



Prace konserwacyjne na rzece Teleszynie w Głuchowie.  
Pierwszy od prawej (stoi) Tomasz Klimczak - ojciec p. Jadwigi



Święto Pułkowe - 15 maja rok nieznany (lata 20 XX w.) w 29 Pułku Strzelców Kaniowskich -  
II batalion w Szczypiornie. Jednym z żołnierzy jest Stanisław Klimczak, brat taty Jadwigi  
Jaromy - Tomasza Klimczaka





Powitanie Księdza Biskupa Jana Zaręby w Tokarach przez Jadwigę Jaromę oraz Zenona Goślińskiego (Marianów) 06.09.1969 r. Pierwszy od lewej ks. Władysław Pawik - Proboszcz Parafii Tokary



Druhowie strażacy z OSP Tokary z przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej w Tokarach Tomaszem Klimczakiem - ojcem pani Jadwigi (stoi w środku w kapeluszu) i jego wnukami, a dziećmi pani Jadwigi - Alicją oraz Andrzejem przed budynkiem GRN w Tokarach (obecnie ośrodek zdrowia) w 1957 r.



Wiatrak w Tokarach, należący do Tomasza Klimczaka – ojca pani Jadwigi.  
Koniec lat 40 XX w.



Kolega Tomasza Klimczaka - Zygmunt Albertowski przed dworem w Głuchowie  
– lata międzywojenne



Óltarz przygotowany przez mieszkańców Tokar na uroczystość Bożego Ciała, znajdujący się przy posesji państwa Jaromów. Lata 50-60





Żniwa u państwa Jaromów w Tokarach. Przełom lat 40-50



Praca przy burakach. Zdjęcie przedwojenne



*Śp. Ignacy Kurpik*

MALANÓW



## Śp. Ignacy Kurpik

Urodził się w Miłaczewie (gmina Malanów). Z wykształcenia był nauczycielem. Ukończył Liceum Pedagogiczne, studia wyższe, uzyskując tytuł magistra historii, a także studia podyplomowe. Pracował w Szkole Podstawowej w Kowalach Pańskich w latach 1958-1973, następnie w Malanowie na stanowisku gminnego dyrektora szkół i w kolejnych latach – najdłużej – w Liceum Ogólnokształcącym w Turku. Pracę zawodową nauczyciela łączył z działalnością m. in. w strukturach samorządu gminnego, na odcinku kultury fizycznej i sportu.

**Minęło 10 lat, odkąd opuściłam mury Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Turku. Dziś, po tylu latach, ponownie mogłam znaleźć się w licealnym świecie, a to za sprawą pana Ignacego Kurpika – Bohatera lutowego artykułu z cyklu „Wspomnień blask”. Miałam zaszczyt być Jego uczennicą. Pan Ignacy wraz ze swoją żoną - panią Janiną, podczas naszych dwóch spotkań, przyjęli mnie niezwykle serdecznie. Znowu mogłam poczuć się jak na lekcji historii, a muszę dodać, że mimo iż uczyłam się w klasie przyrodniczej, mojemu sercu i tak bliższa była historia, a także ukochany język polski. Długa rozmowa, niezwykle ciekawa, pouczająca, inspirująca, dała mi wiele energii i zmotywowała do dalszych działań. Z całego serca dziękuję Panu Ignacemu i Pani Janinie, za te wspólne chwile, które pokazały, że w życiu należy doceniać piękno i prawdę, a inwestycja w edukację oraz rozwój, zawsze procentuje.**

Pan Ignacy zmarł niestety rok po naszej rozmowie – 13 stycznia 2019 r. Z panem Wójtem – Janem Nowakiem uczestniczyliśmy w Jego ostatniej drodze – w dniu 17 stycznia 2019 r. Msza św. Pogrzebowa odbyła się w kościele pw. Świętych Stanisława i Mikołaja w Malanowie. Śp. Ignacy Kurpik został pochowany na cmentarzu parafialnym w Malanowie.

### Udział w uroczystości

*W dniu 24 października 2017 r. uczestniczyliśmy w nadaniu Szkole Podstawowej w Kowalach Pańskich imienia Strażaków Polskich. W swoim wystąpieniu podkreśliłem, że zaszczytem dla mnie i małżonki Janiny było uczestnictwo w tak podniosłej uroczystości ze znakomitymi gośćmi oraz młodymi osobami – uczniami Szkoły Podstawowej i Gimnazjum. Z dużą radością przyjęliśmy zaproszenie, dziękując Panu Wójtowi i Pani Dyktor.*



Tak, jak mijają lata, to minęło już niejedno dziesięciolecie od rozpoczęcia w tej szkole pracy, którą podjąłem jako nauczyciel – absolwent 5-letniego Liceum Pedagogicznego. Pracowaliśmy tutaj później z małżonką Janiną.

W rozmowie z Panem Wójtem Janem Nowakiem zostałem zainspirowany do wspomnień sprzed lat. Podkreślam jeszcze, jak ważnym jest sięganie do przeszłości, gdyż biorąc pod uwagę stronę metodologiczną – budowanie określonych obrazów przeszłości pozwala na projektowanie przyszłości. Wymowne są słowa Papieża Polaka: „... aby żyć w teraźniejszości, trzeba sięgać do przeszłości, a przekształcając ją patrzeć w przyszłość”.

## **Lata pracy w Kowalach Pańskich i Malanowie**

W Szkole Podstawowej w Kowalach Pańskich, w której rozpocząłem pracę pedagogiczną, uczyli wybitni nauczyciele. Przypominam ich i wymieniam z nazwiska: Państwo Mikołaj Bułaszenko – kierownik szkoły, Elżbieta Bułaszenko, Maria Świątczak. Od tych doświadczonych pedagogów można było zdobywać dalsze umiejętności pedagogiczne. Szkoła Podstawowa w Kowalach Pańskich, dzięki pracy ówczesnych nauczycieli, miała duże uznanie.

Pani Maria Świątczak – kierownik szkoły była szczególną osobą, człowiekiem serca. Przyniosła się do tego wszystkiego, co nazywa się dobrem. O szkole w Kowalach Pańskich można powiedzieć, że w niej uczniowie powierzali nauczycielom swoje serca, a oni starali się czynić im to samo. Za kształcenie, za rozwój osobisty uczniów, nauczyciele spotykali się z uznaniem ze strony rodziców. Szczególnym, co można było zauważyć – to duże zainteresowanie rodziców oraz ich zaangażowanie i współpraca ze szkołą, co moim zdaniem przyczyniało się do wielu osiągnięć.

Szkoła Podstawowa w Kowalach Pańskich odnosiła duże sukcesy w piłce ręcznej. Dziewczęta w końcowych latach sześćdziesiątych i początkowych siedemdziesiątych uczestniczyły w finałach piłki ręcznej Wojewódzkich Igrzysk Młodzieży Szkolnej w Poznaniu, zdobywając medale. Oto niektóre wyniki – rok szkolny 1969/70, 1971/72 i 1972/73 (tabele na następnej stronie).



Rok szkolny 1969/70

Piłka ręczna - Dziewczęta

Międzypowiatowe zawody w piłce ręcznej	13.05.1970 Kowale P.
Kowale P.- reprezentacja Kalisza	9:1

Międzypowiatowe zawody w piłce ręcznej	22.05.1970 Pleszew
Kowale P.- Reprezentacja Pleszewa	8:7

Zawody ćwierćfinałowe Woj. Igrzysk Młodzieży w piłce ręcznej	02.06.1970 Poznań Przybyszewskiego
Kowale P.- Krotoszyn nr 2	11:0
Kowale P. – Poznań nr 71	5:2

Zawody półfinałowe Woj. Igrzysk Młodzieży w piłce ręcznej	7.06.1970 Poznań Kanclerska 31
Kowale P.- Poznań 83	5:9
Kowale P. – Głażewo pow. Międzychód	8:5

Zawody finałowe Woj. Igrzysk Młodzieży w piłce ręcznej	11-12.06.1970 Poznań Stadion AZS Pułaskiego
Kowale P.- Gnieszno 1	4:9
Kowale P. – Dołsk pow. Śrem	16:8
Kowale P. Poznań 83 Grunwald	3:9

Rok szkolny 1971/72

Wojewódzkie Igrzyska Młodzieży Szkolnej

Piłka ręczna – Dziewczęta

Zawody rejonowe	26.09.1971 Kalisz
Kowale P.-Krotoszyn	9:1
Kowale P.-Kalisz	6:2

Zawody ćwierć finałowe	17.10.1971 Ostrów Wlkp.
Kowale P.-Poznań Nowe Miasto	7:4
Kowale P.-Ostrów	9:1

Zawody półfinałowe	8-9.04.1972 Poznań
Kowale P.-Poznań Jeżyce	6:11
Kowale P.-Międzychód	4:4
Kowale P.-Wągrowiec	5:2

**wódzkie Igrzyska Młodzieży Szkolnej**

**ręczna - Dziewczęta**

<b>inacja</b>	<b>1.10.1972 Turek</b>
<b>le P.-Kalisz 9</b>	<b>11:2</b>
<b>le P. – Koło 3</b>	<b>10:3</b>

<b>inacja</b>	<b>8.10.1972 Koło</b>
<b>le P.- Koło 3</b>	<b>8:4</b>
<b>le P. – Kalisz 9</b>	<b>6:2</b>

<b>inacja</b>	<b>15.10.1972 Kalisz</b>
---------------	--------------------------

Jako nauczyciel w dużym stopniu związałem się ze środowiskiem Kowali Pańskich. Dodam też, że podczas studiów, jako uczestnik seminarium magisterskiego, podjąłem badania demograficzne na tym terenie, które kontynuowałem w poszerzonym zakresie. Napisałem pracę magisterską, która dotyczyła ludności parafii Kowale Pańskie w latach 1798-1900.

W początkowym okresie swojej pracy pełniłem także funkcje w Zarządzie Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego: Społecznego Inspektora Pracy, sekretarza i przewodniczącego Rejonu Konferencyjnego.

Kolejne wyzwania zawodowe to praca na stanowisku gminnego dyrektora szkół w Malanowie. Z satysfakcją przyjąłem ocenę mojej pracy zawodowej dokonaną przez Kuratora Oświaty i Wychowania w Koninie. Można w niej przeczytać m. in.: „W czasie pełnienia w/w funkcji wykonywał swoje obowiązki z dużym zaangażowaniem i znajomością spraw oświatowych. Dał się poznać jako dobry pedagog i administrator. Za osiągnięcie dobrych wyników w pracy dydaktycznej, wychowawczej i za całokształt pracy administracyjnej w roku 1974 otrzymał bardzo dobrą okresową ocenę. Cechuje go sumienność i dokładność w wykonywaniu swoich obowiązków...”.

W pracy zawodowej i innej działalności wymieniam pełnione funkcje: w/w gminnego dyrektora szkół w Malanowie, wicedyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Turku oraz przewodniczącego Rady Gminy Malanów przez trzy kadencje i współdziałanie z samorządem powiatowym. Łączenie obowiązków nauczyciela i szerokich zadań wynikających z w/w funkcji wpływało na efekty pracy.

## Praca w Liceum

Z lat pracy w Liceum Ogólnokształcącym w Turku wymieniam przedsięwzięcia w zakresie popularyzowania wiedzy o historii szkoły ze szczególnym uwzględnieniem posiadanych dokumentów. Odbywały się lekcje wychowawcze z wykorzystaniem sztandarów. Dodam, że szkoła należy do najstarszych w Polsce, ma bogatą tradycję, duże osiągnięcia i znaczenie w środowisku. Organizowałem wystawy związane z wydarzeniami historycznymi. Podejmowałem starania w celu zgromadzenia źródeł, dokumentów i materiałów, aby sprostać określonym wymaganiom.

Na stałe z historią szkoły jest związany jej Patron – Tadeusz Kościuszko. W 1999 r. wysłaliśmy materiały dotyczące historii szkoły na wystawę szkół im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

W szkole szczególnie zostały wyeksponowane: Sztandary Szkoły, Księgi: Ruchu Sztandaru oraz Patrona. Przez wszystkie lata mojej pracy w Liceum prowadziłem je. Sprawowałem także opiekę nad sztandarami. Ich udział w różnych uroczystościach szkolnych, miejskich i innych udokumentowane są w Księdze Ruchu Sztandaru. Odnotowane są: skład pocztu oraz gdzie i kiedy

uczestniczyły. Corocznie odbywa się uroczyste przekazanie sztandarów przedstawicielom klas niższych. Przyjeliśmy teksty, które przygotowałem dla przekazujących i przyjmujących sztandary. W ich treści szczególnie akcentowałem rolę sztandaru. Cytuję część tekstu: „Przekazujemy Wam sztandar – symbol naszej szkoły. Strzeżcie go i szanujcie. Niech jego obecność przypomina Wam wiecznie żywe ideały, młodość i wytrwałość...”.

Wpisy do Księgi Patrona to szczególna forma podziękowania i wdzięczności dla osób zasłużonych dla szkoły, jej przyjaciół i sojuszników. Zamieszczone w niej nazwiska zasłużonych dla szkoły pedagogów, wybitnych uczniów na pewno są przekąźnikiem tradycji dla przyszłych pokoleń.

Z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że w celu zrealizowania zadań dydaktycznych i wychowawczych stawiałem sobie zawsze duże wymagania. Moja praca pedagogiczna, w której uzyskiwałem w poszczególnych latach określone efekty była niejednokrotnie doceniana. Za osiągnięcia w pracy zawodowej uzyskiwałem nagrody, wyróżnienia, odznaczenia. Wybrałem spośród nich m. in.: Medal Komisji Edukacji Narodowej (1992 r.), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1989 r.), Nagrody Ministra i Kuratora. W karcie oceny moja praca jest oceniana jako wyróżniająca. W/w ocenie Dyrektor Szkoły pisze m. in.: „Na podstawie hospitacji jego lekcji, a także analizy sprawdzianów i badań wyników nauczania oraz wyników egzaminów dojrzałości i przyjęć jego uczniów na wyższe uczelnie stwierdzam, że nauczyciel osiąga bardzo dobre wyniki nauczania. Dobrze motywuje uczniów do wysiłku poznawczego...”. Bezcenne dla mnie są podziękowania uczniów wśród nich m. in. absolwentów Liceum, którzy piszą: „Celem nauczania jest pełny rozwój osobowości ludzkiej i ugruntowanie praw człowieka i podstawowych wartości. Dziękujemy i gratulujemy Panu, że wybrał Pan taki piękny zawód” Klasa IV K, „Radujemy się niezmiernie, że towarzyszył nam Pan przy okazji wejścia w dorosłe życie i uświadomił, byśmy dalej chłonęli wiedzę. Brak nam słów, aby wyrazić to, co teraz czujemy, dlatego skromnie, ale z całych serc – DZIĘKUJEMY” Klasa III G (2006 r.).

Dodam jeszcze, że moją pasją była działalność w zakresie sportu. Podejmowałem różne inicjatywy na rzecz rozwoju kultury fizycznej i sportu szkolnego w środowiskach, gdzie pracowałem zawodowo jako nauczyciel (Kowale Pańskie, Malanów, Turek). Otrzymałem też wyróżnienia, które są wyrazem uznania za osiągnięcia sportowe. Bardzo cenię – Medal za zasługi w rozwoju sportu szkolnego.

## **Działalność w strukturach samorządu terytorialnego**

Biorąc pod uwagę, jak rozległa jest tematyka związana z funkcjonowaniem samorządu, odwołuję się do fragmentów moich wystąpień, zamieszczonych w lokalnej prasie (Konin, Turek).



Uważam, że zawarte są w nich istotne problemy reformy samorządowej i pracy samorządu gminnego w Malanowie.

### **1. Z wywiadu zamieszczonego w 1995 r.**

Jakie są kierunki rozwoju gminy?

Gmina podjęła sprawy wodociągowania jako priorytetowe. Naszym celem jest kontynuowanie budowy linii wodociagowych i na tych sprawach chcemy skupić odpowiednie środki finansowe. Obecnie mamy zwodociagowane 63 % terenu gminy, podczas gdy w 1992 r. było to 22 %. Jest to sprawa priorytetowa, ale ona nie może przesłaniać podejmowania innych spraw i zadań. Jest wiele potrzeb m. in. drogi, telefony, oczyszczalnia ścieków, kanalizacja, szkoły, strażnice. Nasze plany są ambitne, chcielibyśmy podejmować w gminie zadania, które pozwoliłyby na lepsze rozwiązywanie problemów naszego społeczeństwa.

### **2. Relacja z uroczystej sesji w 2000 r. „10-lecie funkcjonowania Samorządu Terytorialnego”.**

Przewodniczący Ignacy Kurpik powiedział m. in.:

Radni i pracownicy samorządowi wzięli na siebie odpowiedzialność za małe „Ojczyzny”. Spowodowało to przemiany w wielu dziedzinach życia... Muszę przyznać, że realizacja przyjętych uchwał udało się, a priorytety to: zadania inwestycyjne – wodociągowanie, drogi, oczyszczalnia ścieków, kanalizacja, szkoły...

### **3. Redakcja informuje o uroczystej sesji Rady Gminy Malanów – jubileusz 20-lecia samorządu terytorialnego.**

Jednym z istotnych momentów uroczystości było wystąpienie Ignacego Kurpika – przewodniczącego Rady Gminy trzech kadencji” 27.05.1990 r. Polska została przekazana w ręce prawowitego i troskliwego gospodarza – podkreślił mówca, przypominając pierwsze wybory do samorządu terytorialnego. W swoim wystąpieniu I. Kurpik poświęcił przypomnieniu wszystkich 59 rajców gminy, zasiadających w malanowskiej radzie w pięciu dotychczasowych kadencjach.

## **Od przeszłości – do teraźniejszości i przyszłości**

Nowy XXI w. – to ogromne nadzieje edukacyjne. Wymogi i wyzwania nowych czasów i potrzeb stawiają przed polską szkołą określone zadania. W nowej rzeczywistości nadrzędną wartością staje się umysł ludzki, który powinien mieć jak najlepsze możliwości rozwoju. Znaleźliśmy się w nowych warunkach, gdzie istotnym jest stawianie na kreatywność, samodzielność i oryginalność sądów. Stąd pytanie – jak uczyć i wychowywać? Trzeba więc na nie odpowiedzieć. Na pewno

powinna to być systematyczna, konsekwentna i mądra edukacja: szkolna, domowa i środowiskowa. Zasadniczym celem jest wypracowanie najlepszych sposobów przekazywania wiedzy i metod wychowawczych. Istotnym przecież jest to, co umie absolwent, jakich umiejętności nabędzie, jaki zdobędzie potencjał oraz zamiłowanie do uczenia się przez całe życie. Szczególnie teraz należy pamiętać, że rolą nauczyciela jest wychowywanie człowieka, uczenie sztuki życia, a także dopomaganie w odpowiadaniu na pytania: jak żyć?, jak żyć godnie i sensownie? Wymowne są słowa Papieża Polaka „W wychowaniu bowiem chodzi właśnie o to, żeby człowiek stawał się coraz bardziej człowiekiem ... to znaczy, ażeby również umiał bardziej „być” nie tylko „z drugim”, ale także „dla drugich”.

## Nasze życzenia

W życzeniach, które przekazywaliśmy podczas uroczystości nadania imienia Szkole Podstawowej w Kowalach Pańskich podkreślaliśmy, jak ważna jest edukacja w życiu człowieka, która musi trwać od domu, poprzez szkołę, bez końca. Niech w kształceniu i wychowaniu w naszych szkołach będzie jak najwięcej osiągnięć. Niech uczniowie, nauczyciele, rodzice oraz wszyscy inni włączający się w proces edukacyjny mają dużo zadowolenia.

Gratulujemy wyboru tak znakomitego Patrona Szkoły – Strażaków Polskich. Strażacy to osoby, które służą ludziom pomocą w trudnych sytuacjach, ratują im też życie. Cechuje ich odwaga, poświęcenie, pomoc innym – oddając im swoje serca. W obecnych czasach potrzebujemy wzorów osobowych, kogoś, kogo można podziwiać za jego siłę moralną. Wyrażamy zadowolenie, że nasze szkoły mają patronów: Strażaków Polskich, Powstańców Wielkopolskich, Tadeusza Kościuszkę, Jana Pawła II.

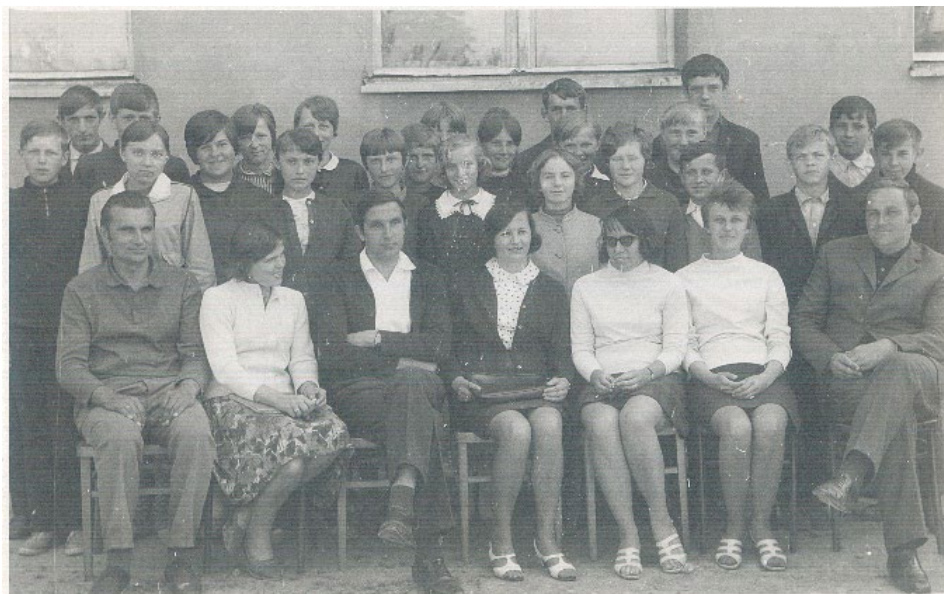
Życzenia wypowiadamy też słowami poznańskiego poety Pawła Kuszczynskiego – kolegi z Liceum Pedagogicznego. Poeta w tomiku „Wartości zauważone” recenzuje jedną z powieści, która przekonuje, że najważniejsze znaczenie w życiu człowieka mają: prawda, piękno, dobro, miłość.

Życzymy mieszkańcom Kowali Pańskich, Gminy Kawęczyn, Gminy Malanów, Turku i całego Powiatu wszystkiego co najlepsze w teraźniejszości oraz przyszłości, a szczególne życzenia przekazujemy w roku 100 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

Przedstawiając powyższe informacje o minionych latach, myślę, że w określonym zarysie, poruszyłem istotne problemy w pracy nauczyciela i innej działalności pozaszkolnej. Wskazałem jednocześnie na możliwości różnych dokonań w kształceniu i wychowaniu.

**Ignacy Kurpik z żoną Janiną**

## Z albumu Ignacego i Janiny Kurpików



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Kowalach Pańskich, rok szkolny 1968/1969 z nauczycielami. Siedzą od lewej: Józef Kolenda – kierownik szkoły, Władysława Bekalarska, Waclaw i Bronisława Szymańscy, Krystyna Kurzawa, Regina Serafińska, Ignacy Kurpik. (Na zdjęciu jest nieobecna Barbara Kolenda, która również należała do grona pedagogicznego szkoły)



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Kowalach Pańskich (klasa VIII) wraz z Ignacym Kurpikiem - wychowawcą klasy, rok szkolny 1970/71





Uczniowie Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Turku, klasa IIF, rok szkolny 1993/94



Absolwenci Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Turku, klasa IVa (rok szkolny 1979/80) na jubileuszu 20-lecia matury 03.06.2000 r. Pierwszy rząd od prawej: Ignacy Kurpik - wychowawca klasy, Edmund Ćwikliński - dyrektor liceum, II rząd od prawej: Danuta Szczepanik (z domu Saranowska) - obecna dyrektor liceum, III rząd od prawej: pierwsza Wioletta Adamiak (z domu Sobczak) - obecna dyrektor Zespołu Szkół Technicznych im. gen. prof. S. Kaliskiego w Turku, trzecia Barbara Zańko (nauczyciel liceum), pierwszy od lewej strony - Albin Zańko - nauczyciel, obecnie wicedyrektor liceum, górny rząd drugi od prawej - Maciej Fret



*Śp. Bronisława Mintus*

MARCINÓW



## Śp. Bronisława Mintus z domu Kołuda

Córka Franciszki i Władysława Kołudów. Urodziła się 16.02.1921 r. w Jernbjerogard w Danii, gdzie spędziła dzieciństwo i ukończyła szkołę. W czasie okupacji wraz z rodziną, została zesłana do Niemiec. Pracowała w niemieckim majątku, a po powrocie do kraju w 1945 r. zdobyła zawód krawcowej. Z mężem Janem prowadziła gospodarstwo rolne. Zmarła 26.05.2017 r.

„Matka – to najpiękniejsze słowo w językach świata. Matka – to słowo, które oznacza miłość, miłość prawdziwą, która nie zdradza, to słowo, które oznacza wierność...”. Tym wspaniałym cytatem abp Stanisława Wielgusa rozpoczynam lutowy artykuł z cyklu „Wspomnień blask”, przez wzgląd na jego formę, symbolikę oraz wymowę. Na zaproszenie Piotra Geblera - przewodniczącego Rady Gminy Kawęczyn, udałam się z wizytą do Marcinowa, gdzie z wielką radością powitała mnie Janina Gebler - mama pana Piotra. Podczas spotkania, pani Janina opowiedziała mi o swojej mamie, Śp. Bronisławie Mintus, która dzieciństwo spędziła w Danii. Przedstawiam zatem Państwu wspomnienia córki o ukochanej mamie, wspomnienia, które dzięki silnej rodzinnej więzi, udało się ocalić od zapomnienia. Muszę dodać, że pani Janina oraz pan Piotr bardzo zaangażowali się w powstanie artykułu. Podczas rozmowy pokazywali mi rodzinne fotografie, pamiątki, zachowane dokumenty i materiały. Obydwoje posiadają ogromną wiedzę o dziejach swojej rodziny, w której pielęgnuje się pamięć o przeszłości, co z pewnością może stanowić wzór do naśladowania.



Mimo że nie było mi dane wysłuchać wspomnień Śp. Bronisławy Mintus, to jednak cieszę się, że miałam okazję ją poznać, podczas promocji książki „Wspomnienia wiecznie żywe” wydanej przez Lokalną Grupę Działania Turkowską Unię Rozwoju, która odbyła się 6 lutego 2014 roku w Kowalach Księżych.

Wspomnieniami o Śp. Bronisławie Mintus podzieliła się ze mną jej córka - Janina Gebler.



## Rodzina Kołodów w Danii

Moja ukochana mama Bronisława Mintus - urodziła się 16 lutego 1921 roku w Jernbjerogaard w Danii. Jej rodzice, a moi dziadkowie zaraz po swoim ślubie, przed I wojną światową, a więc 1914 rokiem wyjechali do Danii - państwa w północnej części Europy (Skandynawia). Babcia Franciszka (urodzona w 1888 r.) pochodziła ze Smulska (gmina Przykona), a dziadek Władysław (urodzony w 1889 r.) z Boleszczyna (również gmina Przykona). W Danii zostali zatrudnieni przez dziedzica w majątku o nazwie Jernbjerogaard. Babcia była pokojówką, a dziadek pracował na podwórzu, zajmując się głównie końmi. Mówiono, że miał do nich dobrą rękę. Mieszkali w koszarach, domach, należących do majątku, w obrębie zabudowań dworskich. W jednej części mieszkania ulokował się dziadek, w drugiej jego brat. Pomieszczenia po lewej i prawej stronie oddzielone były korytarzem. Dziedzic i jego żona byli uczciwymi ludźmi, dobrze traktowali swoich pracowników, zapewniali im godziwe warunki życia oraz wypłacali odpowiednie wynagrodzenia. Blisko owych dóbr znajdowało się miasto Slagelse.

Tata mojej mamy sprowadził do Danii całą swoją rodzinę, m. in. dwóch braci (Szymona i Józefa) oraz dwie siostry (w Polsce zostały kolejne dwie - Stanisława i Marysia). Dziadek pracę w Danii rozpoczął o wiele wcześniej, mianowicie w 1905 roku, mając zaledwie 16 lat. Muszę dodać, że w zakresie jego obowiązków były wyprawy do Polski, mające na celu przywożenie osób chętnych do pracy w majątku. Jeden z braci dziadka - Józio, przyjeżdżając do Jernbjerogaard miał jedynie 12 lat. Mama opowiadała, że musiał przebrać się za płeć przeciwną, bowiem dziedzic potrzebował wówczas do pracy nie chłopca, a dziewczynkę.

## W Danii żyło się dobrze

Dania w opowieściach mamy to przyjazny i życzliwy kraj. Dziadkowie byli tam szczęśliwi, żyli na dobrym poziomie, niczego im nie brakowało. Doczekali się tam dwóch córek - w 1919 r. urodziła się Janina, starsza siostra mojej mamy, a następnie w 1921 r. Bronisława - moja mama.

Ciocia z mamą wracając wspomnieniami do przeszłości, do lat beztróskiego dzieciństwa, zawsze mawiały, że w Danii żyło im się nad wyraz dobrze. Kiedy wróciły do Polski, musiały nauczyć się żyć w zupełnie innych warunkach. W Polsce zastały niestety biedę. Jako małe dziewczynki płakały więc za Danią, płakały za krajem, w którym się urodziły i wychowały. Dziadkowie z kolei tęsknili za Polską - ukochaną Ojczyzną. Kiedy zatem odłożyli odpowiednią ilość pieniędzy, dziadek kupił gospodarstwo w Marcinowie i na stałe w 1933 roku opuścili Jernbjerogaard. Mama miała wówczas 12 lat, ciocia 14.

## Doskonale mówić po duńsku

Jeśli chodzi o barierę językową, to wiem, że była ona problemem jedynie dla babci Franciszki. Tata, przebywając w Danii od 16 roku życia, doskonale nauczył władać się językiem duńskim. Mama z ciocią Janiną urodziły się w Danii, przebywały wśród duńskich dzieci, około 1926 r. poszły do duńskiej szkoły (uczyły się w tej samej klasie). Język ten znały lepiej niż polski. Dziadkowie nie pozwolili jednak, aby dla ich córek - Polska była obca i daleka. Dziewczynki znały zatem polskie tradycje, obyczaje oraz ojczysty język. Rodzina i przyjaciele przez całe życie przysyłali mamie listy w języku duńskim. Ona, mimo iż nie posługiwała się już tym językiem, doskonale go pamiętała i bez żadnych problemów odczytywała wszystkie listy.

## Dziadek budował kościół

Dania była krajem protestanckim. Z kolei nasza rodzina od pokoleń - katolicka. Dziadkowie wychowywali mamę i ciocię w duchu chrześcijańskich zasad. W piątek nie jadły mięsa, co podobnie bardzo dziwiło duńskie dzieci. Tamtejsi nauczyciele stanęli wówczas na wysokości zadania, tłumacząc uczniom, że mama z ciocią są Polkami oraz katoliczkami i należy szanować ich religię, wyznania, jak również wszelakie zwyczaje. Przyjaźnie, które zrodziły się w duńskiej szkole przetrwały całe życie, ale o tym później.

Z opowieści wiem, że dziadek uczestniczył w budowie kościoła w pobliskim mieście o nazwie Slagelse, którą ukończono w 1931 r. Mama wielokrotnie wspominała ceremonię wmurowania kamienia węgielnego, podczas której w uroczystej procesji razem z ciocią niosły ów kamień na specjalnej poduszce. W budowie pomagały władze duńskie, a także bogaci Duńczycy. Dziadek był niezwykle pobożnym człowiekiem. Wielokrotnie pomagał księdzu we wszelakich pracach. Podczas Mszy zbierał datki na tacę. W parafii było dwóch księży: jeden z nich pochodził z Holandii, drugi z Belgii. Mama wspominała, że ksiądz wołał zawsze do Niego „Władysław, Władysław ! pomóż mi”. Ciekawostką może być to, że kiedy rodzice przychodzili z dzieckiem do chrztu i nie mieli chrzestnych, zawsze prosili dziadka, a on nigdy nie odmówił. Grono jego chrześniaków było więc bardzo pokaźne.

## Spotkanie duńskiej klasy po 57 latach

W 1990 r. na zaproszenie wuja, który wychowywał się z mamą i ciocią, traktując je jak siostry, pojechaliliśmy do Danii, a więc do kraju, który w pamięci Bronisławy i Janiny był miejscem

beztroskiego, błęgiego dzieciństwa. Pojechaliśmy do kraju, w którym pozostała część rodziny, w którym Bronisława i Janina pozostawiły przyjaciół oraz ulubionych nauczycieli. Uczniowie klasy, do której uczęszczały, po zakończeniu edukacji, w dorosłym życiu, każdego roku, organizowali klasowe spotkania, na których zawsze brakowało mamy i cioci. W 1990 r. nadeszła chwila, kiedy wszyscy zobaczyli się ponownie. Wiedzieli, że mama z ciocią przyjadą do Danii, toteż specjalnie na ich przybycie, zorganizowano u wuja klasowe spotkanie. Zostało ono nawet opisane w duńskiej gazecie. To było ogromne przeżycie, dla mamy, cioci, wuja i ich szkolnych przyjaciół. Po 57 latach, znowu byli razem. Jedna z koleżanek na znak polsko-duńskiej przyjaźni ubrała nawet strój w biało-czerwonych barwach.

## **Pamiętki z Danii**

Dla mamy cenną pamiątką przywiezioną z Danii były przepiękne łyżeczki, z jej wygrawerowanymi inicjałami, które otrzymała od dziedziczki, jako prezent komunijny. Z kolei ciocia otrzymała porcelanową zastawę. Przedmioty te udało się ukryć w czasie wojny i do dziś są dla naszej rodziny niezwykle ważną pamiątką.

## **Po 6 latach gospodarowania w Marcinowie wybuchła wojna**

Jak już wspominałam, dziadkowie opuścili Danię w 1933 roku. Po 6 latach mieszkania i gospodarowania w Marcinowie - wybuchła II wojna światowa. Mama opowiadała, że wśród ludzi panował ogromny niepokój, przeczuwano, że wojna jest blisko, że zaraz nadejdzie. Z jej relacji wiem, że sąsiedzi wychodzili na drogę i wspólnie obserwowali słupy ognia na niebie, domyślając się, że najgorsze przed nimi. Mama z dziadkiem na chwilę przed rozpoczęciem wojny udali się z pielgrzymką do Częstochowy na uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, którą obchodzono 26 sierpnia. Mama opowiada, że panował wtedy strach przed wojną, a jeden z Ojców Paulinów lornetował z wieży sytuację, ostrzegając przed niebezpieczeństwem.

Pewnej nocy, w 1942 r. do naszej posiadłości wtargnęli hitlerowcy. Budząc wszystkich, rozkazali dziadkowi, aby się spakował. Babcia nie pozwoliła, by Niemcy zabrali tylko jej męża. Oznajmiła, że są rodziną i pojadą wszyscy razem. Hitlerowcy wywieźli ich do kościoła w Kowalach Pańskich, gdzie spędzili jedną noc, a następnie do budynku w Turku, który obecnie znajduje się przy drodze, prowadzącej do Konina - za dużym rondem po prawej stronie. Z Turku przewieziono ich do Poznania, a z Poznania do niemieckiego miasta Schichelbein. Wszędzie ich kąpiono i obcinano



włosy. Mama wspominała, że było to bardzo krępujące, albowiem nie zachowywano podziału na pleć oraz wiek.

Niemcy przekonani byli, że Polacy przyjechali do pracy dobrowolnie, że w Polsce nic nie posiadali, toteż szukali pracy w Niemczech. Kiedy mama próbowała wytłumaczyć pewnej Niemce, że zabrano im ich gospodarstwo i zmuszono do opuszczenia kraju, ta nie chciała w to uwierzyć.

Dziadkowie wraz ze swoimi córkami pracowali w niemieckim majątku. Na ubraniach musieli nosić naszytą literę „P” – jako że są Polakami. Dobra te należały do dziedzica, który zatrudniał włodarza, by ten zarządzał posiadłością. Dziedzic w przeciwieństwie do włodarza, nie był złym człowiekiem. Życie w Niemczech było trudne. Często doskwierał głód, a praca była ciężka. Mama wspominała, że dzięki temu, że potrafiła szyć, wykonywała prace krawieckie dla dziedziczki, za co otrzymywała coś do jedzenia (np. słoninę). Babcia, mimo problemów zdrowotnych, pracowała ponad własne siły. Kiedy pewnego razu mama wstawiła się za nią i poprosiła o lżejszą pracę dla niej, włodarz w złości chciał ją uderzyć. Na szczęście zdążyła się odsunąć, dzięki czemu uniknęła kary. Zarządca wyżywał się również na pewnym starszym człowieku, który był niezdolny do pracy. Człowiek ten przepięknie śpiewał. Przychodził do dziadków wraz z innymi Polakami i wspólnie wracali pamięcią do Ojczyzny, śpiewając narodowe pieśni.

## **Szykować się do Polski, bo Polska już wolna**

Wraz z końcem wojny do majątku, w którym pracowali dziadkowie, wtargnęli Rosjanie. Mama opowiadała, że byli to straszni ludzie. Zgwałcili oni żonę dziedzica, o 20 lat młodszą od swojego męża. Kiedy ten chciał ją bronić, Rosjanie z premedytacją, bez cienia zawahania zastrzelili go na oczach moich bliskich. Kazali szykować się do Polski, bo Polska już wolna. Rosjanie opuszczając majątek zabrali ze sobą dziadka, przez wzgląd na to, że potrafił obchodzić się z końmi. Na szczęście dziadzia zdołał im uciec. Po odnalezieniu rodziny, dziadek wziął wóz oraz pozostawionego w majątku konia i razem z babcią, mamą, ciocią, a także trzema innymi rodzinami udał się w podróż do Ojczyzny. Jechali tak około tygodnia, nocując w stodołach. Gdy dotarli do Marcinowa, zastali swój dobytek zrównany z ziemią. Jedna z rodzin pochodziła z okolic Sieradza, dlatego dziadek dał im wóz, zaprzęgnięty w konia, by mogli wrócić do swojego domu.

## **Mama była krawcową**

Mama potrafiła szyć. Zawodu nauczyła ją krawcowa z Dobrej. Muszę jednak zaznaczyć, że mama odziedziczyła talent po babci. Po wojnie szyła dzieciom ubrania do Pierwszej Komunii

Świętej. Pierwszokomunijnych dzieci było bardzo dużo, albowiem w czasie okupacji, nie przyjmowały one tego sakramentu. Pracy więc nie brakowało mamie. Z kolei ciocia pomagała dziadkom w gospodarstwie.

Mój tata Jan Mintus również pochodził z Marcinowa. Urodził się w 1922 r. Ukończył Szkołę Podstawową w Kowalach Pańskich. Tak jak mama uczył się zawodu krawca. Kiedy jego nauczyciel po dwóch latach zmarł, tata zdecydował, że zostanie murarzem i tak też się stało. Fachu nauczył go jego wuj – Gibasiewicz z Kowali Pańskich (niestety nie pamiętam imienia). Rodzice pobraли się w 1949 r., zamieszkali w miejscu, gdzie obecnie mieszkam. Tata murował, mama szyła, a oprócz tego z pomocą dziadków, zajmowali się gospodarstwem rolnym. Mam dwóch młodszych braci: Kazimierza oraz Bogumiła. Do Szkoły Podstawowej chodziłam do Potworowa. Ostatnie dwie klasy – 6 i 7 - ukończyłam w Dobrej. Kierownikiem szkoły była pani Kacprzak, która uczyła wraz z panią Krystyną Tomczak z Tokar. W budynku znajdowały się dwie izby lekcyjne oraz pomieszczenie przeznaczone do ćwiczeń, coś w rodzaju sali gimnastycznej. Zajęcia lekcyjne odbywały się dla 5 klasy, 6 i 7 uczyły się już w Dobrej. Szkołę z czasem przeniesiono do Dobrej, a budynek sprzedano prywatnej osobie.

### Z albumu Śp. Bronisławy Mintus oraz Janiny Gebler



Chrzest Święty Bronisławy Mintus w Danii – na zdjęciu stoi od lewej: Władysław Kołuda ojciec Bronisławy Mintus, Chrzestny, NN, Chrzestna trzyma Bronisławę Mintus na rękach. Rok 1921



Na zdjęciu Bronisława Mintus w dniu Pierwszej Komunii Świętej w Danii. Rok około 1928



Przed dworem dziedziców w Jernbjerogaard w Danii. Druga od lewej – Franciszka Kołuda – mama Bronisławy Mintus wraz ze służbą dworu. Lata około 1921-1922





Dania 1922 r. Od prawej: Franciszka Kołuda – trzyma na rękach córkę Bronisławę Mintus, obok stoi druga córka – Janina Kołuda, dalej Władysław Kołuda, Marianna Kołuda – bratowa Władysława Kołudy oraz Józef Kołuda – brat *Władysława Kołudy*



Dom, w którym mieszkali państwo Kołodowie z córkami w Jernbjerogaard w Danii.  
Władysław Kołuda siedzi pierwszy od lewej



Lata 20 XX wieku – Dania – rodzina Kołodów



Kościół w Slagelse w Danii, budowany m. in. przez Władysława Kołodę





Pamiątkowe zdjęcie z pielgrzymki do Częstochowy – 26 sierpnia 1939 r.  
Na zdjęciu Bronisława Mintus z ojcem Władysławem Kołodą



Niemcy – 1943 r. Bronisława Mintus – druga od lewej





*Łyżeczki ofiarowane Śp. Bronisławie Mintus przez dziedziczkę Jernbierogard jako prezent na I Komunię Świętą*



Porcelanowa zastawa – prezent dla Janiny (siostry Bronisławy) od dziedziczki z Danii



Spotkanie klasowe w Danii w 1990 r. Bronisława Mintus – czwarta od lewej



*Józef Mielczarek*

KAWĘCZYN





## Józef Mielczarek

Urodził się 21 marca 1940 roku w Kawęczynie. Syn pracowników majątku Kawęczyn – Stanisławy i Józefa. Absolwent Szkoły Podstawowej w Kawęczynie. Członek Ochotniczej Straży Pożarnej w Kawęczynie. Wraz z żoną Krystyną z domu Grzywacz (pochodzącą z Nowego Światu), z którą ślub wziął 28 czerwca 1969 roku, pracował na własnym gospodarstwie rolnym. Państwo Mielczarkowie doczekali się czwórki dzieci: Dariusza, Waldemara, Mirosława i Lidii.

**Bohaterem kwietniowego artykułu z cyklu „Wspomnień blask” jest pan Józef Mielczarek – mieszkaniec Kawęczyna. Wywiad z nim zaaranżował pan Sylwester Kasprzak – Wiceprzewodniczący Rady Gminy Kawęczyn, za co serdecznie Mu dziękuję. Do pana Józefa udałam się w dzień jego imienin, a więc 19 marca 2018 roku. Nie zabrakło życzeń, a także tortu, którym zostałam poczęstowana przez solenizanta.**

**Spotkania z Osobami, które dzielą się swoimi wspomnieniami są niezwykle różnorodne, rozmowy z nimi jakże odmienne. Bohaterem mojego cyklu – może być każdy. Zarówno osoba młoda, która przekazuje mi wiadomości o swoich bliskich, jak i starsza, ukazująca mi lata swojego dzieciństwa oraz młodości.**

### **Sięgnijmy trochę do historii, czyli słów kilka z „Dziedzictwa wieków – z dziejów Gminy Kawęczyn”**

*Jak czytamy w monografii „Dziedzictwo wieków – z dziejów Gminy Kawęczyn”, autorstwa ks. dr Henryka Witczaka, pierwsza wzmianka o Kawęczynie pochodzi z 1390 r. Z publikacji tej dowiadujemy się, że Kawęczyn początkowo należał do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, a z czasem stał się własnością szlachecką. W 1509 r. jego właściciel Jan Czermiński sprzedał Kawęczyn oraz Dzierzbotki - Wojciechowi Mycielskiemu. Po Wojciechu, tereny te objął jego syn – Jan, a następnie Samuel Mączyński<sup>2</sup>. Kolejnym właścicielem był Władysław – syn Samuela, który miał dwie żony. Pierwsza Konstancja z domu Łubieńska, druga Jadwiga, zabezpieczona przez niego zapisem na sumę 30 tys. złotych na połowie dóbr Kawęczyn, Dzierzbotki i Ciemięń. Jadwiga i Władysław doczekali się dwóch córek – Marianny i Konstancji. Kiedy zmarł Władysław, jego żona przekazała swoje 30 tys. zł zięciowi – mężowi Marianny – burgrabiemu Chryzostomowi Siemiątkowskiemu.*

---

2 Por. Ks. Dr Henryk Witczak, *Dziedzictwo wieków – z dziejów Gminy Kawęczyn*, Kawęczyn-Konin, s. 43-44.

Po śmierci Jadwigi, dobra Kawęczyn, Dzierzbotki i Ciemień odziedziczył Karol – syn Chryzostoma, który wraz z żoną Julentą z Golimowskich, zapisał je córkom – Wiktorii, Barbarze oraz Rozalii. Siemiątkowscy posiadali tylko część majątku, druga należała do Józefa Bartochowskiego. Dalej – właścicielami opisywanych dóbr byli: Domańscy, Koźuchowscy i Suchorscy<sup>3</sup>.

W pierwszej połowie XIX wieku majątek Kawęczyn należał do rodziny Młodzianowskich i obejmował: Kawęczyn, Dzierzbotki, Dzierzbocką Cegielnię i Bielawki. W roku 1827 – liczył 601 mórg. Młodzianowscy założyli tu park z alejami grabowo-lipowymi, a około 1850 roku powstał drewniany dwór – frontem do głównej drogi (tej przebiegającej obok remizy). Na południe od części rezydencjalnej, powstał folwark. Nie znamy daty, kiedy drewniana rezydencja została zastąpiona murowaną. Od jej zachodniej strony znajdował się owalny klomb. We wschodniej części parku umiejscowiona została wyspa, otoczona stawem, na którą prowadziły małe mosty. Na wyspie znajdowała się duża widokowa polana. W parku rosły dęby, lipy, jesiony, graby, orzechy włoskie, modrzewie, sosny, topole oraz wierzby. Młodzianowscy prowadzili również gospodarstwo rybne, ulokowane za sadem i ogrodem warzywnym.

Pierwszym właścicielem z rodziny Młodzianowskich był Maksymilian. Z kolei ostatnimi: Tomasz Młodzianowski (przejął majątek w 1904 roku po Janie Młodzianowskim), a następnie Stanisław (zginął w powstaniu warszawskim) syn Tomasza. Jego żona Ala Downarowicz-Młodzianowska-Komornicka pochodziła z byłego woj. lwowskiego z miejscowości o nazwie Jaktorów (jej rodzina posiadała również letni dom w Brzuchowicach, też w byłym woj. lwowskim). Ala i Stanisław doczekali się dwóch synów: Wojciecha urodzonego w 1939 roku zginął od wybuchu granatu podczas postania warszawskiego oraz Piotra (ur. w 1943 r.), który dziś mieszka w Anglii<sup>4</sup>.

## Mieszkaliśmy w koszarach

Urodziłem się 21 marca 1940 roku w Kawęczynie. Moja mama Stanisława z domu Suchorska (ur. w 1899 r.) pochodziła z Kotwasic (gmina Malanów). Tata Józef (ur. w 1913 r.) wywodził się z Miłaczewa (również gm. Malanów). Mama była wdową, samotnie wychowującą czworo dzieci - po śmierci męża. Tatę poznała w majątku dworskim w Kawęczynie, gdzie pracowała, chcąc utrzymać moje przyrodnie rodzeństwo (brata Józefa i trzy siostry: Zofię, Helenę oraz Reginę). Rodzice posiadali dwójkę dzieci - mnie i starszą siostrę Lucynę. Pracowali u dziedzica Młodzianowskiego - głównie w polu. Tata zajmował się ponadto końmi. Naszym domem były koszary, uło-

---

3 Por., Tamże, s. 50.

4 Por., Tamże, s. 64-65.

*kowane w dwóch blokach - w miejscu, gdzie obecnie znajduje się posesja państwa Tylżanowskich. Posiadaliśmy małą sien, pokój i kuchnię. W jednym bloku mieszkało 6 rodzin, w drugim 4. Każda rodzina miała oddzielne wejście do swojego malutkiego mieszkanca. W koszarach przebywaliśmy do 1956 roku. W tym też roku przeprowadziliśmy się do nowo wybudowanego domu, w którym mieszkam do dziś.*

*W obrębie folwarku mieściły się: obora, stajnia, dwie stodoły (jedna spaliła się, druga zniszczyła), spichlerz (w miejscu tym obecnie mieszka Marianna Jasiak), świnia, kurnik. Wokół dworu znajdował się piękny park, a z tyłu za nim osiem stawów. Pracownikami w dworze byli: Stanisław Mielczarek, Władysław Szatkowski, Antoni Kornacki (woził dziedzica bryczką), Józef Pańczyk, Stanisław Opaliński, Jan Zajac (był ogrodnikiem) oraz Ignacy Dytwiński. Z opowieści rodziców – i nie tylko - wiem, że państwo Młodzianowscy byli dobrymi ludźmi, często ich chwailono. Dbali o swoich pracowników. Pan Tomasz miał trzech synów: Stanisława, który zginął na wojnie, w powstaniu warszawskim, Wojciecha – zmarł na rozlany ropny wyrostek w 1937 r. i został pochowany na cmentarzu w Milejowie, a także Adama. W czasie wojny wysiedlono dziedziców, a w dworze zamieszkał Niemiec o nazwisku Biedemann. Nadmienię, że nie był on złym człowiekiem. Czasem dał mi cukierka. Nam - pracownikom z koszar kazał trzymać zwierzęta gospodarcze, abyśmy mieli co jeść.*

## **Edukacja w dworskich murach**

*Po wojnie przez około dwa lata w dworze mieszkał ogrodnik Jan Zajac ze swoją rodziną. W 1947 r. w dworze powstała szkoła. I w tym właśnie roku poszedłem do I klasy szkoły podstawowej. Początkowo przez pewien czas uczył nas Józef Orłowski, choć nie był wykwalifikowanym nauczycielem. Potem przejął nas Jan Klimaszewski, który został kierownikiem szkoły i był nim do 1951 r. Po nim funkcję tę objęła Zofia Urbańczyk, a następnie Kazimierz Wodziński, Genowefa Wodzińska i Marianna Tylżanowska. W mojej pamięci zapisali się jeszcze nauczyciele o nazwiskach: Nowak i Bażant. Ich wszystkich wspominam niezwykle pozytywnie, to byli wspaniali ludzie.*

*Po wojnie naukę rozpoczęło bardzo dużo dzieci, toteż zajęcia odbywały się dwuzmianowym systemie. Młodszy uczyli się rano, starsi po południu. W dworze mieściło się 5 izb lekcyjnych. Na górze mieszkali nauczyciele. W obrębie szkoły znajdowało się boisko, gdzie odbywały się zajęcia wychowania fizycznego. Ćwiczyliśmy tam, graliśmy w piłkę, biegaliśmy.*

*Do Pierwszej Komunii Świętej również przystąpiła duża liczba dzieci, co widać na załączonym zdjęciu. Sakrament ten przyjąłem w 1948 roku w kościele w Tokarach. Proboszczem był wówczas ksiądz Alfred Komorski. Zaprosił On wszystkich na plebanię, gdzie przygotował takie małe*



przyjęcie komunijne. Poczęstował nas wtedy herbatą, kawą, a także ciastem drożdżowym, które muszę przyznać było dla nas rarytasem. Podczas Mszy Świętej otrzymaliśmy obrazek, na pamiątkę przyjętego Sakramentu. Chciałbym jeszcze dodać, że dawniej ludzie byli bardzo pobożni. Nie było samochodów, a do kościoła chodziło się co niedzielę – na pieszo. Nie zważało się na pogodę. Nie straszny był nam mróz, ni deszcz, ni śnieg.

Szkołę Podstawową ukończyłem w 1953 r., zaliczając 6 klas. Całe życie pracowałem na gospodarstwie. Ponadto, kiedy miałem około 18 lat, pomagałem w budowie drogi w Kawęczynie, albowiem ta od skrzyżowania w kierunku Nowego Światu to była taka polna ścieżka.

### **A może by tak troszkę o wojsku**

Do wojska poszedłem w 1960 roku, mając 20 lat. Służbę odbywałem w jednostce wojskowej w Łasku (mieście w województwie łódzkim, powiecie łaskim, położonym nad rzeką Grabią). W 1957 roku na południe od Łasku (w odległości około 2 km) zbudowano lotnisko wojskowe. Służbę rozpocząłem w październiku, przysięga była w grudniu. Nasz dzień polegał na pobudce o wczesnych godzinach rannych. Po idealnym zaścieleniu łóżka, porannej toalecie, szliśmy na śniadanie. Potem cały dzień ćwiczeń wojskowych, które odbywały się m. in. na owym lotnisku Sił Powietrznych. Spać musieliśmy już o 22.00. Na zmianę strugaliśmy ziemniaki i odbywaliśmy nocne służby np. przy telefonie. W naszej jednostce znajdował się areszt. Za różne przewinienia byliśmy karani – właśnie poprzez zamykanie w areszcie. Przykładem takiego przewinienia może być to, że podczas nocnej służby zdarzyło się żołnierzowi przysnąć – przyłapany na tym - trafił do celi. Ja też otrzymałem takową karę - ale tylko na 4 godziny. Pamiętam naszego dowódcę jednostki - to był wspaniały człowiek, mogę określić go słowami „dusza, nie człowiek”. Na koniec chciałbym się troszkę pochwalić, że otrzymałem tytuł Wzorowego Żołnierza. Z wojska wyszedłem w 1962 roku.

### **Jeszcze parę słów**

Na zakończenie moich wspomnień, przywołam nazwiska sołtysów Kawęczyna. Wiem, że przed okupacją włodarzem wsi był Józef Mikołajczyk, a zaraz po wojnie Jan Marczak. Po nim Bolesław Tomaszewski, Czesław Antczak, a obecnie Sylwester Kasprzak, który jest również Wiceprzewodniczącym Rady Gminy Kawęczyn od 23.05.2013 r.

*Od momentu powstania Ochotniczej Straży Pożarnej w Kawęczynie, a więc od 1958 roku jestem jej członkiem. Nasza Jednostka powstała z inicjatywy: Edwarda Kostrzewskiego. W skład pierwszego zarządu weszli: Jan Zając - prezes, Edward Kostrzewski - naczelnik Stanisław Dytwiński - zastępca naczelnika. Brałem udział w budowie remizy, którą oddano do użytku w 1987 roku.*

## **Z albumu Józefa Mielczarka**



I Komunia Święta Józefa Mielczarka – 1948 r. Na zdjęciu dzieci ze Szkoły Podstawowej w Kawęczynie wraz z księdzem Alfredem Komorskim. Józef Mielczarek w drugim rzędzie od góry, drugi od lewej.



Przed frontem dworu w Kawęczynie. Stoją od lewej: Jan Kotas, Stanisław Łuczak, Władysław Nowak, Stefan Mielczarek, Józef Mielczarek – bohater artykułu, Jan Baryczkowski, Waclaw Mikołajczyk, NN. Siedzą od lewej: Wojciech Dytwiński, Józef Gieras. Przełom lat 60/70





Wyjazd druhow strażaków na Narodowe Święto Odrodzenia Polski obchodzone 22 lipca.

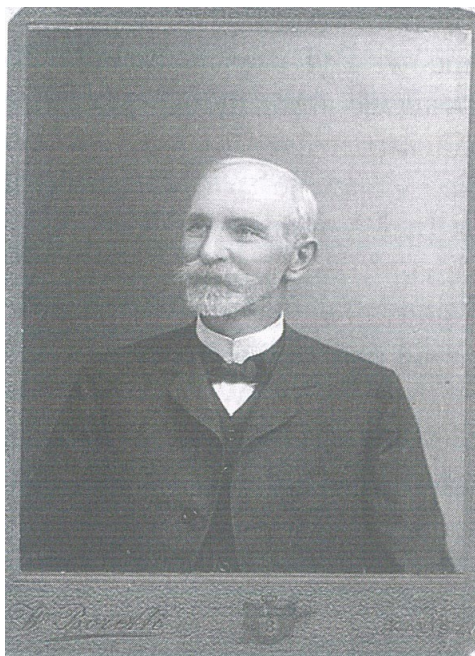
W ciągniku – Władysław Turliński. Przełom lat 60/70



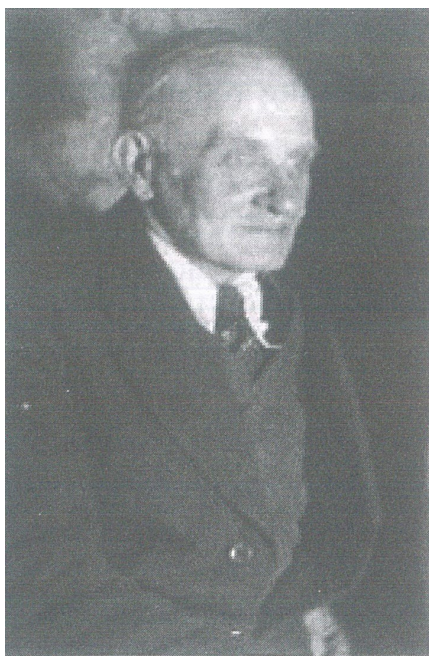
Otwarcie kaplicy w Kawęczynie – 1989 r.



## Z albumu Piotra Młodzianowskiego - syna Stanisława Młodzianowskiego



Maksymilian Młodzianowski: pierwszy właściciel Kawęczyna z rodu Młodzianowskich (od około 1850 roku)



Tomasz Młodzianowski - właściciel majątku w Kawęczynie do 1938 roku. Ojciec Stanisława, Wojciecha i Adama.



Stanisław Młodzianowski - syn Tomasza, mąż Ali Downarowicz-Młodzianowskiej-Komornickiej, ojciec Wojciecha i Piotra. Zginął w Powstaniu Warszawskim.





Ala Downarowicz-Młodzianowska-Komornicka i Stanisław Młodzianowski



Dwór w Kawęczynie 1929 r.



# *Anna Wronowska*

STAWKI – GMINA DOBRA





## Anna Wronowska

Urodziła się 25 kwietnia 1943 roku w Omsku nad Irtyszem. Córka Antoniny z domu Wierszyłowskiej (ur. 13.06.1913 r.) oraz Stanisława Wronowskich (data życia nieznana). Jej rodzina w kwietniu 1940 roku została zesłana na Sybir. Do Polski wrócili w 1946 r. Do Szkoły Podstawowej uczęszczała w Piekarach oraz Wrocławiu. W 1961 r. zdobyła tytuł technika leśnika w szkole w Mojej Woli za Ostrowem Wielkopolskim. W latach 1961-1966 pracowała na etacie gajowego w leśnictwie Linne. Od pięciu kadencji tj. od 1991 r. jest prezesem Koła Terenowego Związku Sybiraków w Turku. Opiekuje się Izbą Pamięci w Zespole Szkół Rolniczych Centrum Kształcenia Praktycznego w Kaczkach Średnich, w której można zobaczyć wszelakie pamiątki, materiały, zdjęcia i dokumenty państwa Wronowskich. Ponadto jest społecznym opiekunem cmentarza ewangelicko-augsburskiego w Młynach Piekarskich. Odznaczona: odznaką honorową Sybiraka 02.09.2003 r.; „Krzyżem Zesłańców Sybiru” 07.02.2006 r.; odznaką honorową „Za zasługi dla miasta Turku” 20.10.2006 r.; odznaką honorową „Za zasługi dla powiatu tureckiego” 27.04.2010 r.; złota odznaką „Za zasługi dla Związku Sybiraków” 02.06.2017 r. Nominowana do nagrody głównej Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego w 2017 r. Aktywnie uczestniczy we wszelakich rocznicach państwowych w Turku i okolicach; głosi prelekcje o zesłaniach na Sybir dla dzieci oraz młodzieży w szkołach na terenie powiatu tureckiego; współpracuje z regionalistami, stowarzyszeniami, parafiami. Dbą o godne upamiętnienie sybirackiej historii Polaków.

**Temat zsyłek na Sybir jest bolesny, mimo to o gehennie życia w „niehumanitarnej ziemi” opowiedziała mi pani Anna Wronowska z miejscowości Stawki w gminie Dobra. Chciałabym przypomnieć, że o przymusowym przesiedleniu w głąb Rosji, rozmawiałam także z panią Heleną Piątkowską z Głuchowa. Jej relacje zostały opublikowane w 2017 roku w kwietniowym numerze „Kawęczyniaka”. Spotkanie z panią Heleną było poruszające, pełne trudnych emocji, jak również głębokich refleksji. Tak było i tym razem. Wspomnieniom pani Anny towarzyszyły: łzy, uczucia bólu i żalu.**

**Panią Annę poznałam w ubiegłym roku podczas jej prelekcji dla uczniów Szkoły Podstawowej im. Marii Skłodowskiej-Curie w Kawęczynie. To piękne, że pani Anna ma odwagę o tym mówić, że przekazuje tak ważną, choć niezwykle wstrząsającą historię, próbując ocalić ją od zapomnienia.**

W Polsce Sybirakami określa się osoby, które zostały zesłane na Syberię w carskiej Rosji i ZSRR. Po raz pierwszy nastąpiło to w pierwszej połowie XVII wieku. Po rozgromieniu konfederatów barskich w 1768 r. rozpoczyna się właściwa historia polskich Sybiraków. W latach

30-40 XIX wieku kolejni Rodacy przymusowo osiedlani są w głębi Rosji z powodu uczestnictwa w powstaniach i konspiracji. Klęska powstania styczniowego spowodowała, że około 16,8 tys. naszych rodaków i 1,8 tys. towarzyszących im osób poniosła karę w postaci zesłań na te bezduszne tereny. Nielegalny ruch rewolucyjny to powód zsyłek w ostatnim dwudziestoleciu XIX w. Z początkiem XX wieku dostrzegamy systematyczny wzrost wywiezionych na Sybir. W 1910 r. przebywało tam od 48 do 52 tys. Polaków<sup>5</sup>.

Sowieci 14 czerwca 1941 roku rozpoczęli akcję przeciwko ludności zajętej Litwy. Już w pierwszym tygodniu wywieziono 30 tys. osób. W latach 1941-1952 przymusowo wysiedlono do Rosji ok. 132 tys. osób. Po wojnie w 1948 r. rozpoczęły się zesłania pod kryptonimem „Wiosna” - druga fala wywózek. Kolejna akcja miała miejsce w 1951 r. pod hasłem „Jesień”. Z kraju wywieziono ok. 16 tys. „wrogów kolektywizacji”<sup>6</sup>.

## **I Część**

### **Atak Rosji na Polskę**

*Podczas swoich prelekcji zawsze pytam co wydarzyło się 1 września, a co 17 września 1939 roku. Określeniem tych dat rozpocznę więc artykuł z cyklu „Wspomnień blask”. Otóż 1 września Niemcy zaatakowali naszą Ojczyznę, a 17 września – to Rosja uderzyła na Polskę.*

### **Dwa miejsca urodzenia**

*Muszę zaznaczyć, że funkcjonują dwa miejsca mojego urodzenia. Prawdłowo, według przekazu mamy, urodziłam się w Omsku nad Irtyszem, natomiast w dokumentach widnieje – Kanońka. Jest to spowodowane tym, że w czasie komunizmu nie wolno było mówić o zesłaniu na Sybir. Zabroniono dzielić się informacjami dotyczącymi tego, co działo się z nami podczas przesiedleń. Naszą przeszłość próbowano zakamuflować pod błędnymi nazwiskami lub miejscami urodzenia. Aby wrócić do Polski, często należało przyjąć inne dane osobowe.*

*Moja mama to Antonina z domu Wierszyłowska. Pochodziła z miejscowości o nazwie Łużki w powiecie dziśnieńskim - województwie wileńskim. Mamy ojciec, a mój dziadek Aleksander Wierszyłowski służył w wojsku u cara Mikołaja I przez 25 lat. Trzeba zaznaczyć, że dla rodziny*

---

5 Por. E. Kaczyńska, *Sybiracy* [dostęp: 23.04.2018], <https://www.enumi.pl/pl/artykuly/12/Sybiracy/>

6 Por. Tamże.

ogromną krzywdą było zabranie syna na tak długą służbę. Rodzice nie mogli jednak nic z tym zrobić. Po owych 25 latach dziadek otrzymał w zamian konia. Nie posiadam wiedzy czy wrócił do swoich rodziców. Chciał się szybko ożenić, z racji tego, że nie był już pierwszej młodości. W Łużkach poznał babcię (Annę z domu Rumowską) i wziął z nią ślub. Rozpoczął pracę w kuźni lub miejscu, które można określić jako zakład metalurgiczny. Niestety uległ wypadkowi przy tokarni. Opilek uderzył go w twarz, przez co stracił oko. Car przyznał mu rentę – na zasadzie odszkodowania. Mając zatem pieniądze, przeniósł się z rodziną do Wilna. Babcia urodziła: Wiktora, Jadwigę, Stanisławę oraz moją mamę Antoninę. Troje pozostałych dzieci zmarło. Stanisława, która była naczelnikiem poczty, została stracona przez Sowieców, niedaleko Smoleńska, w Kałdyczewie i pochowana w zbiorowej mogile. Na Wileńszczyźnie, która po rosyjskiej agresji na Polskę, znalazła się pod władzą radziecką, okupanci rozpoczęli politykę terroru i mordów. Likwidowali szkoły, sklepy, wszelakie instytucje oraz urzędy. Swoje bestialskie działania rozpoczęli od masowych aresztowań i zabijania ludzi inteligentnych, wykształconych.

### **„Bóg musiał nad nami czuwać”**

Na Wileńszczyźnie panował ogromny niepokój. Chodziły pogłoski o wywózkach na Sybir. Ludzie nie wiedzieli jak żyć, jak egzystować. Co robić, by uniknąć łapanek, aresztowań, przesiedleń. Wiktor, brat mamy, zaciągnął się do AK czyli do zakonspirowanych sił zbrojnych Polskiego Państwa Podziemnego podczas II wojny światowej. Zdarzyło się, że pewnej nocy przyszedł do domu po prowiant. Ktoś niestety Go zobaczył i zawiadomił Sowieców. Rosjanie wkroczyli zatem do nas, aby sprawdzić donos. Babcia Anna leżała wtedy już na łożu śmierci. Wokół niej zgromadziły się nasze ciotki. Otuliły konającą, zapaliły świece, modliły się i płakały. Wujka Wiktor, w obawie przed okupantami, aby ratować życie wskoczył do umierającej mamy, a ciotki dokładnie go przykryły i dalej lamentowały, by Sowieci go nie spostrzegli. Okupanci rozpoczęli rewizję domu. W pewnym momencie podeszli do dziadka, wymierzili w niego swoje bagnety i powiedzieli – „Wasz syn jest w partyzantce”, na co dziadek – „Ja nie wiem, gdzie on jest, gdzie poszedł”. Pan Bóg musiał wówczas czuwać nad naszą rodziną, bo Sowieci nie znaleźli wujka. Kiedy Rosjanie już wychodzili, nagle jeden z nich wrócił się, podeszedł do łóżka babci i zapytał „a kto to jest?”. Ciotki odpowiedziały, że „konająca...”. Wtedy obudziły się w nim ludzkie uczucia, a po jego twarzy popłynęły łzy. Skinął gestem na dwóch towarzyszy, by kierowali się do wyjścia, a sam powiedział, że 3 miesiące temu pochwał swoją matkę. Nasza rodzina uznała, że obudziło się w nim człowieczeństwo.

Babcia zmarła. Pochowaliśmy ją na cmentarzu w Wilnie.



## Po moją rodzinę przyszli w nocy - taka była ich taktyka

Sowieci przyszli po moją rodzinę w nocy. Był to kwiecień 1940 r. Taka była ich taktyka - zaskoczenia, nagle, szybko, pod osłoną nocy, by człowiek wybudzony ze snu, oszołomiony oraz wystraszony bez oporu - ulegał ich rozkazom. Walili w okna i drzwi, a kiedy już dostali się do środka, krzyczeli „ręce do góry”, „zbierajcie się szybko”. Poinformowali, że rodzina ma tylko 10 minut na przyszykowanie się do wyjazdu. Co można było spakować przez tak krótki czas? Praktycznie nic. Dziadzia ukląkł, a potem prosił, by Sowieci go zabili. Nie chciał opuszczać domu, mówił, że jest za stary, by jechać i umierać na obcej ziemi. Oni zaczęli mu wtedy opowiadać, że tam, gdzie jedzie jest lepiej niż w Wilnie. Obiecywali „kraj miodem i mlekiem płynący”. O jakże to były straszne kłamstwa.

Jeden z sowieckich żołnierzy zobaczył w kącie maszynę do szycia. Podeszedł do mojej cioci Jadzi - siostry mamy, która była krawcową i kazał jej zabrać ów sprzęt wraz z nożyczkami. Dzięki temu utrzymywała się potem na Syberii. Muszę jeszcze raz wspomnieć, że około miesiąca przed tym zdarzeniem, aresztowano drugą siostrę mamy - Stanisławę.

## Bydlęcymi wagonami na Sybir

Mamę, ciocię Jadwigę i dziadka zabrali na stację kolejową. Podstawiono bydlęce wagony. Rozpoczęła się okrutna, przymusowa, 6 tygodniowa podróż, której celem był Sybir - świat udręki i cierpienia, świat zimny i bezlitosny. Pociąg zatrzymywał się, gdy zabrakło drzewa. Powodem do postoju byli też zmarli. Gdy ciało było za duże, zatrzymywano się i wyrzucano je z wagonów w śnieg. W czasie postoju ludzie szukali pożywienia. Zdarzało się, że nie zdążyli wrócić do bliskich przed odjazdem. Umierali wtedy w tych przeogromnych mrozach, bywało że zostali rozszarpani przez dzikie zwierzęta, albo też rozstrzelani przez Rosjan. Inni ginęli na torach, chwytając się pociągu, by móc jeszcze wskoczyć do wagonu.

Transport dotarł do Omska nad rzekę Irtysz. Rosjanie, którzy tam żyli, ale nie żołnierze, nie NKWD-ziści<sup>7</sup>, tylko zwykli, prości ludzie, nie wyrządzali Polakom krzywdy. Nie pytali, z jakiego powodu tu jesteśmy i po co przyjechaliśmy. Nie byli złośliwi czy też negatywnie nastawieni, a wręcz przeciwnie, pomagali, przyjmując polskie rodziny do siebie. Polacy, to co zdążyli zabrać z domu

---

7 NKWD-zista – pracownik NKWD tj. Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych ZSRR. Por. *Encyklopedia Popularna PWN*, dyr. G. Boguta, red. Naczel. J. Jan Kofman, red. Nacz. Encyk. B. Petrozolin-Skowrońska, Warszawa 1994, s. 566.

wymieniali na pożywienie. Rosjanie chętnie przystawali na takie układy. Zesłańcy zmuszani byli do pracy ponad ludzkie siły. Małoletnie dzieci musiały wypasć owce, młodzież pracowała w lesie, kobiety budowały tory. Z Omska moją rodzinę przeniesiono do pobliskiej wsi o nazwie Kanonierka.

## Rodzice poznali się na zesłaniu

Rodzina taty, wcześniej niż mamy, została wywieziona na Sybir. Tata był wdowcem. Z pierwszego małżeństwa miał dwóch synów: Henryka i Jerzego. Mama poznała go na zesłaniu i to właśnie tam zdecydowała się wyjść za niego za mąż.

Ojciec wraz z moimi przyrodnimi braćmi pracowali w kolchozie. Jeden z nich pasł owce, drugi wykonywał swoje obowiązki w lesie, a tata w kuźni. Na rodzinę przypadało 300 gram chleba, toteż cała trójka starała się, abyśmy nie pomarli z głodu. Musieli np. kraść owce, dzięki czemu czasem mieliśmy mięso. Pomagał nam też dziadek. Będąc z wykształcenia kowalem, znając się na artystycznym rzemiośle, wykuwał rozmaite rzeczy z pozyskanych i znalezionych kawałków żelaza, które następnie wymieniał na chleb. Naszym domem była ziemianka czyli duży dół, nakryty ziemią oraz śniegiem. To było coś na zasadzie takiej obszernej jamy. Ja urodziłam się w kwietniu 1943 roku, a brat w lipcu 1944 r.

## „Boże coś Polskę”

Ojca powołano na front. Wyruszył na wojnę, kiedy mama była w ciąży. Zostawił po sobie obrączkę. Swojego kolejnego syna nigdy nie zobaczył. Do dziś nie wiemy co się z nim stało, gdzie i w jaki sposób zginął. Mimo starań, poszukiwań nie udało nam się pozyskać żadnej informacji.

Dziadek zmarł na tyfus w październiku 1945 r. Pamiątką po nim jest wykuty przez niego krzyż, który przechowuję i traktuję jak największą świętość. Krzyżem tym błogosławił nas na łożu śmierci dziadek Aleksander i krzyżem tym, błogosławiła w ostatnich chwilach życia mama. Gdy dziadek odszedł, mama poszła do Sowietów i prosiła o deski, by móc zbić z nich trumnę. Powiedziała, że jeśli ich nie dostanie, przyniesie ciało ojca na plecach do urzędu. Po tych słowach dostała je. Polacy mieszkający blisko nas przyszli pożegnać dziadka, modlili się za zmarłego i śpiewali „Boże coś Polskę”. Cmentarz znajdował się na stepie, gdzie wypasły się owce. Nie było tam żadnego krzyża, nie było nic. Wiele ciał nie zostało pochowanych. Nikt nie zadbał o ich godne pogrzebanie.

Zwłoki były rozszarpane przez dzikie zwierzęta. Ten świat to była dzicz. Tylko tak mogę to określić. Dziadek przed śmiercią oznajmił, abyśmy pochowali go bez butów, a te zostawili i w trudnej chwili wymienili na chleb. Prosił też, aby gdy pojawi się możliwość powrotu do Ojczyzny, mama wykopała z jego grobu małą kość i zabrała ze sobą do kraju. Nie chciał zostawać w tej nieludzkiej ziemi, a ta kosteczka będzie symbolem jego powrotu i wyzwolenia z sowieckich rąk.

## Ciocia przyjęła sowieckie obywatelstwo

Mama została w ziemiance z dwójką malutkich dzieci oraz teściową Petronelą. Moi przyrodni bracia odeszli do wojska. Ciocia Jadwiga, aby nam pomóc, abyśmy mogli przeżyć zdecydowała się, z ogromnym bólem, przyjmując sowieckie obywatelstwo. Znalazła pracę jako krawcowa. Zdobywała dla nas jedzenie. Bardzo nam pomagała.

Chciałabym jeszcze wspomnieć o bardzo wstrząsającym zdarzeniu, które pokaże, że psychika ludzka była silnie obciążona w tym bezdusznym świecie. Otóż, kiedy mama urodziła mojego brata Kazimierza - w ziemiance, w warunkach niezwykle ciężkich i niebezpiecznych, bez wsparcia męża, doznała załamania. W szoku oraz ogromnej poporodowej depresji, wyrzuciła swoje nowo narodzone dziecko do śniegu. Babcia - mama taty, uratowała niemowlę. Szybko wzięła je na ręce, przytuliła i masowała, by je ogrzać. Siłą dostawiła brata do ciała mamy. Chwała Bogu przeżył. Ciocia, chcąc ulżyć mamie, zdecydowała się zabrać mnie do siebie.

## W sowieckim przedszkolu

Mając około roku przeprowadziłam się do cioci. Funkcjonowałam w jej dokumentach, dlatego z czasem musiałam pójść do sowieckiego przedszkola. Wraz z innymi dziećmi modliłam się do Stalina. Wmawiano nam, że Boga nie ma.

Pewnego razu w przedszkolu zorganizowano choinkę. Ciocia na tę okazję uszyła mi sukienkę oraz wywiązała kokardę na głowie. Ustawiono ozdobione drzewko, wokół którego chodziliśmy, klaskaliśmy w ręce i po rosyjsku śpiewaliśmy, aby Bóg dał nam cukierki. Mimo próśb nie dostaliśmy od Boga nic. Kazano nam więc śpiewać do Stalina. Nagle drzwi się otwierają, pojawiają się białe niedźwiedzie i upragnione cukiereczki. Tak uczono dzieci, takim sposobem wmawiano im, że Stalin jest Bogiem, że modlitwy do niego przynoszą skutek. To było coś strasznego.



## **Moja mama - patriotką!**

Często wzywano mamę do urzędu i zmuszano, aby przyjęła rosyjskie obywatelstwo. Obiecywali dobrobyt. Obiecywali przysłowiowe „gruszki na wierzbie”. Ona zawsze im odpowiadała „byłam, jestem i będę POLKĄ, umrę - ale tego nie podpiszę”. Sowietci wmawiali jej, że jest nierozważna i postępuje bezmyślnie. Mama z babcią nie przyjęły „poddania”, dlatego żyło im się coraz gorzej. Na szczęście była ciocia, która przynosiła chleb, a czasem ziemniaki. Mama, dostała kiedyś od Rosjan żarna czyli złożone dwa kamienie do ręcznego mielenia zboża, dzięki czemu przygotowywała placuszki - co było niezwykłym urozmaicheniem.

## **A był to pan Bęcek - Żyd z Wilna**

Mama chodziła wraz z inną Polką - panią Jarosińską na tory kolejowe, obok kopalni złota, zbierać kawałki drzewa. Były one wyrzucane z pociągu, gdyż parowóz nie mógł ich przepalić. Pewnego razu kobiety zostały zatrzymane przez NKWD-zistę. Człowiek ten strasznie na nie krzyczał. Wtedy mama zaczęła mu tłumaczyć, że wzięła to drewno, bo zmusiła ją do tego sytuacja. Wyjaśniła, że żyje bez męża, a dzieci cierpią z powodu zimna. W mężczyźnie obudziła się litość. Puścił je wolno. Mimo to kobiety dalej ryzykowały. Za parę dni ponownie poszły na tory, by nazbierać materiał na opał. Zauważyły wówczas, że terenie pilnuje pewien człowiek z karabinem na plecach. Kiedy je spostrzegł, gestem ręki przywoływał je do siebie. One bały się podejść. Nagle usłyszały polski język „Ty jesteś córka Aleksandra?”. Okazało się, że był to pan Bęcek - Żyd z Wilna. Opowiedział on, kto przeżył z pociągu, jak potoczyły się losy innych. Wytłumaczył, że pilnuje kopalni. Wysłuchując opowieści kobiet, obiecał, że swój przydział na mięso, kiedy nie będzie mógł go spożyć ze względów religijnych, odda mamie. W zamian chciał, aby czasem wyprała mu ubrania. Bęcek pomagał naszej rodzinie. Wiele razy przynosił nam nazbierane obok torów drewno.

## **Nadzieja powrotu do Ojczyzny**

Zakończyła się wojna. Pojawiła się możliwość powrotu do Ojczyzny. Sowietci masowo rozpoczęli wzywać polskie rodziny do urzędów. Próbowali przekonywać, by zesłańcy pozostali w Rosji.

Wezwano też mamę. Ona nadal była nieugięta, nie chciała przyjąć poddaństwa. Była Polką, toteż mogła wrócić do swojego kraju. Niestety pojawił się problem z cicią, która w świetle prawa była Rosjanką. Jadwiga zaczęła szukać sposobu, aby móc z rodziną wyjechać z tego okrutnego miejsca. Pojechała więc do miejscowości o nazwie Siemiepałacińsk, oddalonego o 70 km od Omska. Zniszczyła tam swoje sowieckie dokumenty, a następnie udała się na targ i zaczęła krzyczeć, że ją okradziono. Aby wyrobić nowe, musiała znaleźć świadków, którzy poręczą za jej polskim obywatelstwem. Tak też się stało. Otrzymała dokumenty, ale z innym nazwiskiem oraz inną datą urodzenia. Chcę nadmienić, że gdyby wydało się, że ciocia posiadała rosyjskie obywatelstwo, zamordowano by całą naszą rodzinę. Jadwiga wróciła do Polski, ale już nie tym samym pociągiem co my.

Przed wyjazdem mama poszła jeszcze na cmentarz, by spełnić ostatnią wolę swojego ojca. Zgodnie z prośbą dziadka, wykopała kawałek jego kości, zabierając go z tego nieludzkiego świata. Do puszek oprócz owej kosteczki, nałożyła też ziemi. Wszystko to zostało złożone na cmentarzu w Skęczniewie, w grobie, w którym pochowana jest mama i babcia.

## Pociągiem przez Polskę

Powrót do kraju trwał około 7 tygodni. Wileńszczyzna<sup>8</sup> była poza naszym zasięgiem, przez wzgląd na to, że znajdowała się pod władzą radziecką. Przywieziono nas do Jagodzina, a następnie do Szczecina. Pociąg stał na stacji przez 3 miesiące. Mieszkaliśmy więc w wagonach. Następnie zawieziono nas do Poznania, gdzie kolejne 3 miesiące spędziliśmy w pociągu.

Kiedy mama i babcia Petronela szukały jedzenia, ja z bratem wyglądaliśmy przez takie „pół-okna”. Podsadzając się nawzajem, sprawdzaliśmy przez szparę czy nie wracają. Zdarzyło się jednak że pewnego razu brat wypadł przez owe „pół-okno” na tory i uderzył się o szyny. Od kolana do biodra noga była tak zbita, że musiał on przez pół roku leżeć w szpitalu Świętego Józefa, z nogą w gipsie na wyciągu.

Brat nie był ochrzczony. Mama poprosiła więc pracowników szpitala: pana Kaczmarka i panią Zofię Bułę - na chrzestnych i Kazimierz otrzymał ów sakrament w kaplicy św. Józefa. Ze względu na stan zdrowia musiał on zostać w szpitalu, a mnie wraz z mamą oraz babcią – wojskowym samochodem – coś w rodzaju sanitarki, przywieziono do Turku. Zakwaterowano nas w budynku, w którym obecnie znajduje się Starostwo Powiatowe. Część mego życia pozostała właśnie tam. Razem z nami mieszkało jeszcze 5 rodzin: państwo Unton, Koba, Dudek, Skrzypiec

---

<sup>8</sup> Wileńszczyzna - terytorium leżące obecnie w granicach Litwy i Białorusi.

*i Buczek. Pamiętam, że z dziećmi bawiliśmy się na schodach. Te chwile silnie zapisały się w moich wspomnieniach. Przebywając w Turku, mama i mnie ochrzciła. Moją chrzestną została nauczycielka- Helena Witkowska, chrzestnym- Józef Mazurkiewicz – z jego rodziną kontakt utrzymuję do dziś.*

## **II część**

### **Dom - miejsce, gdzie rozpoczyna się historia**

#### **Z Turku przez Świnice Warckie i Kowale Pańskie do Stawek**

*Chcąc znaleźć dla nas dom wozili nas po całej okolicy. Byliśmy między innymi w Świnicach Warckich oraz Kowalach Pańskich. Niestety gospodarstwa wszędzie były już pozajmowane. Wreszcie trafiłyśmy do Stawek (gmina Dobra), gdzie osiedlono nas na poniemieckim gospodarstwie. Dom, w którym obecnie mieszkamy, został wybudowany w 1922 r. Podzielony był na dwie części, bowiem wcześniej w jednej z nich mieściła się polsko-niemiecka szkoła, w której uczył i mieszkał nauczyciel o nazwisku Janke. Drugą część zajmowała pani Laufer, która z czasem wyprowadziła się do Łodzi.*

*Wiem jeszcze, że przed wojną w domu tym, swoją siedzibę miał też zbór – czyli wspólnota kościołów protestanckich.*

*Mama otrzymała to gospodarstwo w zamian za mienie pozostawione na wschodzie. Stała się pełnoprawnym jego właścicielem. Polska przyjęła nas z szacunkiem. Przydzielono nam nawet Niemca: Gustawa Firusa, który miał pomagać naszej rodzinie. Ze szpitala w Poznaniu wrócił brat. Mama z Turku przyniosła go do Stawek na plecach. Ponadto odnalazła nas ciocia Jadwiga, ale wyprowadziła się do Wrocławia. W mieście tym osiadł też wuja Wiktor, który wrócił z wojny i ożenił się z Żydówką z Izraela. Odwiedzaliśmy się nawzajem. Nasza rodzina powoli zaczęła normalnie funkcjonować.*

#### **W szkole nazywano nas „kacapami”<sup>9</sup>**

*W 1950 r. rozpoczęliśmy z bratem naukę w Szkole Podstawowej w Piekarach. Chodząc do niej byliśmy bardzo krzywdzeni – nazywano nas „Ruskimi” lub „kacapami”. Pytali nas „po co*

---

<sup>9</sup> Kacap - pogardliwe określenie Rosjanina. W XX wieku pojęcie weszło do użycia również jako potoczne i pogardliwe określenie mieszkańców Związku Radzieckiego niezależnie od narodowości. Por. Wikipedia [dostęp: 04.12.2020], [https://pl.wikipedia.org/wiki/Kacap\\_\(etnonim\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Kacap_(etnonim))



tutaj przyjechaliśmy”. W Piekarach ukończyłam 5 klas. Jadwiga, by ponownie trochę ulżyć mamie, zabrała mnie do siebie do Wrocławia. W mieście tym podjęłam naukę i po dwóch latach ukończyłam Szkołę Podstawową. Wróciłam do mamy. Kształciłam się dalej w zakresie leśnictwa w szkole w Mojej Woli za Ostrowem Wielkopolskim, gdzie zdobyłam tytuł - technik leśnik. W 1961 roku podjęłam pracę w leśnictwie Linne. Byłam na etacie gajowego. Pracowałam tam przez 5 lat – do 1966 r.

## Historia Gustawa Firusa

Dramatycznego zdarzenia doświadczył też Gustaw Firus. Pewnego razu do wsi wkroczyli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Jedliśmy śniadanie, gdy na podwórko wtargnęli mężczyźni z karabinami. Wywołali Gustawa i zaprowadzili go za stodołę. Tam zaczęli go bić karabinem po głowie. Krzyczeli, że Niemcy skrzywdzili ich rodziców, dlatego musi ponieść za to karę. Gustaw zasłaniał głowę ręką. Uderzenia były tak silne, że została ona złamana w kilku miejscach. Uratowała go moja mama. Cały zakrwawiony schował się w życie. Mama poszła na milicję<sup>10</sup>. Powiedziała, że nie po to kraj przyznał jej do pomocy Gustawa, aby teraz w tak bestialski sposób go katować i poniewierać. Komendant obiecał, że jeśli nie rozgłośni ona tej sprawy, Firus już nigdy nie zostanie zaatakowany. Tak też się stało. Nasz pomocnik był mocno skatowany. Całe noce krzyczał z bólu. Mama próbowała ulżyć jego cierpieniom i robiła mu okłady. W końcu zabrano go do szpitala do Turku, który znajdował się obok kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Kiedy wydobrzeł, wrócił do nas. Stał się członkiem naszej rodziny. Zmarł w 1992 r. Został pochowany na ewangelicko-augsburskim cmentarzu w Młynach Piekarskich. Jego rodzina z Niemiec często nas odwiedzała, a i my byliśmy przez nich zapraszani. Do dziś utrzymujemy ze sobą kontakty.

## Przszedł czas, gdy możemy mówić o swojej historii

Dziś o swojej historii mogę mówić głośno. W czasach komunizmu zakazywano nam tego. Ujawnić mogliśmy się dopiero w 1989 r. Rozpoczęły się poszukiwania rodzin, które zostały przesiedlone na bezduszną ziemię sowiecką. Rozmawiano z nami o tym, co się wydarzyło. Przyznano

---

10 Milicja - mundurowa formacja państwowa o charakterze policyjnym służąca do utrzymania systemu państwowego, walki z przestępczością oraz zapewnienia bezpieczeństwa publicznego, działająca w PRL oraz w Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1944–1990. Por. *Encyklopedia ...*, s. 513

nam uprawnienia kombatanckie, emerytury i renty. Powstał Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie. Zaczęły tworzyć się Koła Sybiraków. W końcu otrzymaliśmy wsparcie.

### Z albumu Anny Wronowskiej



Rodzina Anny Wronowskiej przed zesłaniem na Sybir. **Górny rząd od lewej:** Stefania Rumowska – siostra Anny Wierszyłowskiej czyli babci pani Anny Wronowskiej, Wiktor Wierszyłowski – brat

Antoniny Wronowskiej czyli mamy pani Anny, Jadwiga Wierszyłowska – siostra Antoniny Wronowskiej czyli mamy pani Anny. **Środkowy rząd od prawej:** siostra Anny Wierszyłowskiej (z domu Rumowskiej) czyli babci pani Anny Wronowskiej (pani Anna nie pamięta jej imienia), obok jej syn (również pani Anna nie pamięta imienia i nazwiska), a w rzędzie poniżej w środku – jej córka Elżbieta, dalej obok chłopczyka siedzi Leonarda Wierszyłowska – siostra Aleksandra Wierszyłowskiego czyli dziadka pani Anny. **Najniżej od lewej:** Szura Wilczek – wychowanka Aleksandra Wierszyłowskiego czyli dziadka pani Anny oraz wspomniana już 12-letnia Elżbieta, która została zamordowana przez Sowietów w drodze ze szkoły po 17 września 1939 r.

Obok niej Antonina Wierszyłowska



**Rodzina Anny Wronowskiej przed 1940 r., a więc przed zesłaniem na Sybir. Od lewej:** Wilczek (pani Anna nie pamięta imienia) – z żoną Szurą (którą wychowywał w Łużkach dziadek pani Anny – Aleksander Wierszyłowski) oraz synem Michałem. **Dalej** Aleksander Wierszyłowski – dziadek pani Anny, Leonarda Wierszyłowska -siostra Aleksandra, Anna Wierszyłowska (z domu Rumowska) – babcia pani Anny i żona Aleksandra. **Wyżej nad nimi od lewej:** Antonina Wronowska (z domu Wierszyłowska) – mama pani Anny, Stefania Rumowska – siostra Anny Wierszyłowskiej czyli babci pani Anny Wronowskiej oraz Jadwiga Wierszyłowska – siostra Antoniny Wronowskiej czyli mamy pani Anny



**Od prawej:** Wiktor Wierszyłowski – brat Antoniny Wronowskiej czyli mamy pani Anny, który walczył w Armii Krajowej – tj. zakonspirowanych siłach zbrojnych Polskiego Państwa Podziemnego w latach II wojny światowej, dalej jego żona (pani Anna nie pamięta jej imienia) oraz Tadeusz Chabracki – pasierb Wiktora





**Anna Wronowska** – około 1945 roku, ubrana w sukienkę, uszytą do sowieckiego przedszkola przez jej ciotkę Jadwigę Wierszyłowską, która była krawcową



Krzyż Zesłańców Sybiru, którym została odznaczona Anna Wronowska 07.02.2006 r.



Złota Odznaka za Zasługi dla Związku Sybiraków pani Anny Wronowskiej



Krzyż, wykuty przez Aleksandra Wierszyłowskiego- dziadka pani Anny Wronowskiej, którym błogosławił rodzinę przed śmiercią na Sybirze



Znak Związku Sybiraków



*Eugenia Glapa*

MARIANÓW-KOLONIA





## Eugenia Glapa

Urodzona 15 sierpnia 1925 r. w Marianowie-Kolonii, córka Anny (z domu Winter) oraz Feliksa Białeckich. Ukończyła Szkołę Podstawową w Kowalach Pańskich. Pracowała jako krawcowa, szyjąc głównie sukienki i płaszcze. Zaangażowana w życie społeczne sołectwa Marianów-Kolonia. W latach 60-70 pełniła funkcję Przewodniczącej Koła Gospodyń Wiejskich Marianowa-Kolonii. Z mężem Władysławem prowadzili gospodarstwo rolne.

**W gronie Bohaterów cyklu „Wspomnień blask” nie może zabraknąć pewnej Pani, która odkąd sięgam pamięcią, życzliwie i serdecznie odnosi się do każdej osoby napotkanej na swojej drodze. Mowa o Pani Eugenii Glapie – mojej sąsiadce, która zawsze – kiedy się widzimy, z uśmiechem, a także troską pyta co u mnie słyhać. Darzę Ją ogromną sympatią oraz szacunkiem, toteż z wielką radością udałam się do niej z wizytą, by wysłuchać Jej wspomnień. Byłam pod ogromnym wrażeniem Jej wiedzy. Pani Eugenia z wielką precyzją, swobodą i płynnością wypowiedzi, mówiła o tym, jak dawniej wyglądał Marianów-Kolonia, jakie panowały zwyczaje. Dzięki Pani Eugenii - oczyma wyobraźni odbyłam niezwykle fascynującą podróż po mojej okolicy z dawnych lat.**

### Dziadkowie posiadali dwa zajazdy

*Moja babcia ze strony mamy to Marianna Winter z domu Ceygler, a dziadek Wojciech Winter. Ich własnością były dwa zajazdy, jeden z nich mieścił się na Orlej Górze – pomiędzy Malanowem, a Kaliszem, drugi w Bibiannie (gmina Malanów). Posiadali znaczną ilość koni, dzięki czemu podróżni, dziedzice lub szlachta, przystawszy w ich karczmach, mogli wymienić zmęczone zwierzęta, by bezpiecznie dotrzeć do celu. Wiem z opowieści, że bardzo często w zajazdach nocowali goście. Było to miejsce spotkań szlachty. Z czasem niestety dochodziło do rabunków. Znaczna część została skradziona, a za to, co udało się ocalić dziadkowie zakupili kamienicę we Wrześni – mieście oddalonym od Poznania o około 50 km. Dziadkowie ze strony taty to: Antonina (z domu Gromada) i Walenty Białeccy. Pochodzili ze Żdzenic (gmina Malanów). Trudnili się rolnictwem. Posiadali średniej wielkości gospodarstwo.*

### Rodzice wyjechali do Danii

*Moi rodzice to Anna (z domu Winter) oraz Feliks Białeccy. Tata urodził się w 1884 r., zmarł mając 73 lata w 1957 r. Z kolei mama – urodziła się 1887 r., zmarła w 1968 r. w wieku 81 lat.*

Pobrali się w kościele w Malanowie, zamieszkali w Kościelcu. Jako młodzi małżonkowie wyjechali za pracę do Danii w okolice Kopenhagi. Nie pamiętam dokładnej daty wyjazdu, ale było to na pewno przed 1910 r. Pierwszy z moich braci Józef – urodził się jeszcze w Polsce. Zmarł mając 4 lata. Kolejny – Feliks, urodzony już w Danii, zmarł w wieku 2,5 lat. Rodzice pracowali w dużym majątku. Mama była piastunką – opiekowała się dziećmi dziedziców, z kolei tata zarządcą. Żyło się im tam bardzo dobrze. W Danii na świat przyszły kolejno moje siostry: Janina w 1910 r., Helena w 1914 r., Władysława w 1915 r. oraz Bronisława w 1917 r.

Z opowieści rodziców wiem, że kiedy mieszkali w Danii, każdy przed domem posiadał coś w rodzaju skrzynki, w której zostawiano pieniądze, a w zamian za nie, osoba rozwoząca poszczególne produkty, umieszczała w nich np. ryby, mleko, wędliny, pieczywo. Było to coś na zasadzie sklepu obwoźnego. Niestety zdarzały się kradzieże.

Rodzice byli bardzo szanowani przez dziedziców. Z pracownikami majątku również utrzymywali przyjazne relacje. Po powrocie do Polski, długo pisali do siebie listy. Siostry doskonale znały język duński. Wychowywały się razem z dziećmi dziedziców, przez wzgląd na to, że jak już wspominałam, mama była ich opiekunką. Były one mocno przywiązane do mamy. Kiedy nadszedł czas wyjazdu, podczas pożegnania, płakała mama, płakały moje siostry i płakały dzieci dziedziców. Musiała ich łączyć silna więź.

W Danii, kiedy ktoś posiadał duży majątek, musiał odbyć praktykę rolniczą. Dyplomu gospodarza nie można było zdobyć kształcąc się i pracując we własnym gospodarstwie, toteż zazwyczaj wysyłano taką osobę na drugi koniec kraju. Tak było i z synem dziedziców, u których pracowali rodzice. Owe praktyki sprawiały, że właściciel majątku doskonale rozumiał swoich pracowników, darząc ich szacunkiem. Potwierdzeniem tego jest fakt, że kiedy ów młodzieniec wrócił do domu, z takim samym uczuciem jak rodziców, powitał moją mamę i moją tatę.

## Na tonącym statku

Mama chciała zostać w Danii, z kolei tata mawiał, że „każdy ptak do swojego gniazda dąży”. Czytał gazety i przekonywał mamę, że w Polsce jest już lepiej. Do Ojczyzny wracali statkiem w 1922 r., który w czasie podróży zaczął tonąć. Rodzice opowiadali, że było to straszne przeżycie. Lęk potęgowała syrena, która przeraźliwie wyla. W pośpiechu przygotowywano szalupy. Dzięki Bogu w porę nadpłynął szwedzki statek, który uratował wszystkich. Gdy dotarli do Gdańska im oczom ukazali się żołnierze. Nosili oni karabiny na sznurkach. Najstarsza moja siostra – Janina, mająca wówczas 12 lat wystraszyła się tego widoku i zaczęła płakać. W Polsce na świat przyszły

kolejne córki moich rodziców: Stanisława w 1923 r. z męża Nowicka, ja w 1925 r. i Sabina w 1926 r. z męża Przygońska.

## Marianów-Kolonia - nasze miejsce na ziemi

Po powrocie do Polski, tymczasowo mieszkając u babci w Kościelcu, rodzice rozpoczęli poszukiwania odpowiedniego domu. Chcieli kupić majątek w Brudzynie lub Turku, jednak nie udało im się to. Swoje miejsce na ziemi odnaleźli w Marianowie-Kolonii, gdzie od pana Osińskiego kupili gospodarstwo. Obecnie należy ono do rodziny Przygońskich. W tym domu przyszłam na świat, podobnie jak moje siostry: Stanisława i Sabina. Pan Ignacy Osiński wyjechał na Kresy<sup>11</sup>. Po kilku latach odwiedził nas z żoną, która zobaczywszy jak żyjemy, rzekła do niego „Ignas, zobacz, tu miałeś będzie i tam masz drugą”. Widocznie ciężko żyło im się na owych Kresach.

Rodzice kupili drewniany dom. Z czasem musieli go rozebrać i zbudować nowy, który podobnie jak poprzedni, powstał z drewna. Mieścili się w nim dwa pokoje i kuchnia. W tamtych czasach ludziom żyło się ciężko. Panowała bieda. W domach nie było podłogi, tworzyła ją ubita glina. Tato postarał się, aby w nowych pomieszczeniach owa podłoga została założona.

Kiedy przeprowadziliśmy się na Marianów, a więc około 1922 r., wieś ta należała do majątku Kowale Pańskie, którego właścicielami byli państwo Skowronscy. Naszą miejscowość zamieszkiwały wówczas rodziny: Glapów (obecnie mieszkają państwo Budkowie), Grzeszników (obecnie teren należy do państwa Kolendów), Jońskich (obecnie mieszkają państwo Boczkowie), Cichałów (obecnie mieszkają państwo Kolendowie i Kaźmierscy). Za nimi mieszkali Kubaccy - dziś ich domu już nie ma, a następnie Budziarkowie. W miejscu, gdzie mieszkają rodziny: Kowalewskich, Tylków, Bocianów i Woźniaków - wtedy mieszkali państwo Gołdykowie oraz Władysław Budziarek - z kolei na przeciwko państwo Budkowie. Domu, w którym mieszkam, wtedy nie było, a dalej na obecnej posesji państwa Mintusów - zamieszkiwała rodzina Frątczaków. Za nimi mieszkali moi rodzice - Bialeccy - dziś państwo Przygońscy. Na terenie, na którym dziś mieszkają państwo Michalakowie oraz Kilanowie, wtedy nie było żadnych budynków. Dalej - podobnie jak dziś mieszkały rodziny państwa Wlazłów i Frejków. W miejscu, gdzie dziś mieszka Henryk Budziak z rodziną, wtedy mieszkali państwo Kolendowie. Z kolei nad lasem kolejno - Józef Kolenda, a następnie rodziny: Janików i Kałużnych. W miejscu, gdzie dziś mieści się dom pani Budy - wówczas zasiedlali tę posiadłość państwo Szczepaniakowie. Za nimi mieszkali: najpierw rodzina Sęków, a potem Piątkowskich

---

11 Kresy - dawne wschodnie pogranicze Polski, a obecnie stanowiące fragmenty obszarów państwowych Ukrainy, Białorusi i Litwy. Por. Słownik Encyklopedyczny Wiedzy Szkolnej, oprac. J. Tomaszewski, Warszawa 2003, s. 202



- dziś Orligórow. Dom - należący do pani Marianny Pakuły, wówczas był własnością państwa Pawlaków. Z kolei posiadłość rodziny Karbowskich, dawniej zamieszkiwana była przez państwa Bińków. Idąc dalej - w miejscu, które obecnie należy do państwa Antasów - mieszkali państwo Glapińscy. Ich sąsiadami byli państwo Obielakowie. Posiadłość rodziny Witczaków - wtedy była własnością państwa Wichorskich. Wszystkie te domy były drewniane lub gliniane, jedynie państwo Frejkowie posiadali murowany.

W mojej pamięci zapisał się obraz jabłoni przed posiadłością państwa Budziarków, pod którą na kocu siedziała starsza pani, opiekująca się małym dzieckiem. Często z koleżankami siadałyśmy obok niej i słuchałyśmy jak śpiewa oraz recytuje wiersze. Bardzo ją lubiłyśmy, to była niezwykle sympatyczna kobieta. Opowiadała nam o czasach swojej młodości, kiedy to potrafiła trzy dni „tańczyć na palicach” - czego konsekwencją były odciski na stopach.

### **Mój tata – soltysem**

W 1930 roku mój tata został soltysem Marianowa-Kolonii. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej funkcję tę objął po nim Ignacy Glapiński - mieszkający w miejscu, gdzie obecnie rodzina Antasów.

Bardzo często po naszej wsi chodziły osoby, które określane były przez nas - "wędrownymi". Prosiłi oni o żywność i ubrania. Nie mieli swojego domu, żyli z tego, co otrzymali od ludzi dobrej woli. Mimo biedy, mieszkańcy dzieli się z nimi mąką lub ziemniakami. Zdarzało się, że znajdowali u kogoś nocleg, wówczas musieli zameldować się u soltysa. Mój tata wydawał im wówczas kartkę ze zgodą.

Do zadań włodarza wsi należał też spis osób urodzonych i zmarłych, a następnie podanie owych informacji do urzędu gminy. Stamtąd - woźny, którym był wówczas pan Mruk, przywoził tacie gazety i pocztę dla mieszkańców. Z siostrą zawsze czytałyśmy dostarczoną nam prasę. Do moich obowiązków należało odebranie gazet od księdza z plebanii. Soltys prenumerował owe czasopisma, za które należało zapłacić. Były to: „Mały Dziennik” – wychodzący codziennie oraz „Duży Dziennik” – ukazujący się raz w tygodniu. Mój tata musiał też czuwać nad bezpieczeństwem. Kiedy dochodziło między mieszkańcami do waśni, często był jakby mediatorem, w celu załagodzenia sporów. Utrzymywał wobec tego kontakty z policją z Kowali Pańskich. Komendantem był wówczas pan Myszkowski. Pracowali z nim: pan Kończak, pan Chombek oraz pan Pregieź lub Bregieź – niestety nie pamiętam dokładnego jego nazwiska.

Tata, jako wódzarz wsi zorganizował również zabawę taneczną, podczas której zebrano fundusze na płot wokół krzyża, mieszczącego się przy drodze krajowej.

## **Sołtys uczył pisać i czytać**

Przed tatą - sołtysem był Stanisław Kolenda, który jak wspominałam wcześniej - mieszkał w miejscu, gdzie dziś pan Henryk Budziak. Muszę tu dodać, że pan Stanisław był takim pierwszym nauczycielem na naszej wsi. Potrafił trochę pisać i czytać, toteż swoją wiedzę przekazywał pozostałym mieszkańcom. Prowizoryczna szkoła - jeśli można to tak określić, znajdowała się w domu państwa Sęków (obecnie należy on do rodziny Orligórow). Były to czasy jeszcze przed 1922 rokiem.

## **Czym trudnili się mieszkańcy Marianowa-Kolonii**

Wspominając dawne lata, chciałabym opowiedzieć o zawodach, jakie wykonywali mieszkańcy Marianowa-Kolonii. Mój szwagier – Stanisław Budka od 1937 r. był stelmachem – a więc rzemieślnikiem zajmującym się wyrobem wozów oraz części do nich. Mieszkał razem z nami, w domu moich rodziców. Terminu uczył się w Turku. Wcześniej pracował jako czeladnik w Łęczycy. Andrzej Przygoński był kowalem, posiadał swoją kuźnię. W naszej wsi mieszkali też krawcowe. Ja również nią byłam. Zawodu nauczyła mnie moja siostra Władysława, żona stelmacha. Z kolei jej nauczycielką była pani Wodzińska z Kowali Pańskich - znakomita w swoim fachu. Później i Władysława przyjmowała uczennice - zazwyczaj 3 (wychowanką Władzi była m. in. Regina Frejek). Pracowała na francuskiej maszynie do szycia, którą otrzymała od cioci - siostry naszej mamy, mieszkającej we Francji. Specjalizowała się głównie w szyciu męskich czapek. Po wojnie zostałam kolejną właścicielką maszyny. Podobnie jak Władysława, przyjmowałam do siebie uczennice. Szyłam głównie płaszczki i sukienki. Zamówienia sphywały z: Kowali Pańskich, Kaczek, Wietchinina i Turkowic. Kolejną bardzo dobrą krawcową była Marianna Pakuła.

W naszej miejscowości (przed i po wojnie) można było również naprawić lub zamówić buty. Specjalistami w tej dziedzinie, a więc szewcami byli: twój pradziadek - Józef Kowalewski, Ignacy Glapiński (mieszkał w miejscu, gdzie dziś rodzina Antasów), a po wojnie - Józef Joński (mieszkał w miejscu, gdzie dziś państwo Mintusowie). Stolarzem był mój mąż – Władysław Glapa. Podsumowując w Marianowie-Kolonii pracowali: kowal, stelmach, krawcowe, szewcy i stolarz.

## **Staw – miejsce spotkań młodzieży**

Młodzież dawniej organizowała sobie wieczorki taneczne. Na glinianej podłodze usypywali słomę, by nie było ślisko. Lubiliśmy spędzać ze sobą czas. Miejscem spotkań mieszkańców Marianowa-Kolonii był staw, znajdujący się na terenie, który dziś należy do państwa Przygońskich. Zimą - na lodzie, ślizgaliśmy się do woli. Przychodziły dzieci, młodzież oraz młode małżeństwa. Było gwarно i wesoło. Mój szwagier - Stanisław Budka (stelmach) zrobił nam duże sanie, na których zjeżdżaliśmy po śniegu. Sami montowaliśmy sobie łyżwy, mocując do desek pręty z drutu. Muszę wspomnieć, że nawet tańczyliśmy na tym oblodzonym stawie - zawsze ktoś nam przygrywał. Na drugi dzień szwagier wylewał wodę, by pokryć obrysowania, a my znowu mogliśmy się bawić. To był cudowny, beztrudny czas. Niestety dziś owego zbiornika wodnego, z którym wiąże tak wiele pięknych wspomnień, już nie ma. W Marianowie-Kolonii znajdowały się jeszcze dwa takie akweny. Przetrwwały one do dziś. Umiejscowione są na posesjach, które należą do państwa Boczków oraz Witczaków. Nasze spotkania odbywały się jednak tylko przy tym jednym stawie, znajdującym się nieopodal mojego rodzinnego domu. Mieszkańcy widywali się również na tzw. „pierzokach” czyli tradycyjnym darciu pierza, które kończono tańcami i wspólną kolacją.

Po wojnie, w naszym domu, znajdowało się pierwsze, JEDYNE w sołectwie, radio. Mieszkańcy zbierali się w naszym pokoju, by razem słuchać audycji. Często nadawano słuchowiska, podczas których czytano „Potop” lub „Ogniem i Mieczem” - Henryka Sienkiewicza.

## **Tabory cygańskie**

Częstymi gośćmi w Marianowie-Kolonii - przed wojną, ale i po jej zakończeniu byli cyganie. Podróżowali krytymi wozami, a Ci bogatsi, drewnianymi domami na kołach. Zatrzymywali się w lesie, a także na polu państwa Wlazłów oraz Frejków. Grupa Romów, podróżująca w owych mieszkalnych wozach określana była jako tabor cygański. Musieli zameldować się u sołtysa, a więc u mojego taty. Ich pobyt nie mógł przekraczać 3 dni. Cyganki chodziły od domu do domu, zbierając żywność np. jajka, mąkę, ziemniaki, wróżąc w zamian. Pamiętam, że zawsze mama dzieliła się z nimi chlebem, który własnoręcznie upiekła. Romowie zapraszali do siebie mieszkańców, by przy rytmach ich muzyki, wspólnie biesiadować. Młodzież chodziła na te cygańskie wieczory. Zdarzało się, że i mnie starsze siostry zabrały na owe potańcówki.



## Pielgrzymki do Częstochowy oraz powitanie Księdza Biskupa

Mieszkańcy Marianowa-Kolonii zarówno przed, jak i po wojnie - przyjmowali na nocleg pielgrzymów, idących do Częstochowy. Kiedy wędrujący na Jasną Górę posilili się, umyli i odpoczęli, wspólnie szliśmy do kościoła na nabożeństwo. Spotkania z nimi były bardzo przyjemne. Opowiadali oni o wrażeniach i przygodach z podróży. Wracając, przynosili nam w podziękę pamiątki. Zawsze gotowałam dla nich ogromny garnek kompotu. Zatrzymywali się przy naszym krzyżu, koło niego się modlili.

Przed wojną przy naszym krzyżu zawsze witano Księdza Biskupa, który przyjeżdżał z wizytacją do parafii. Mieszkańcy przygotowywali na tę okazję bramę powitalną, pięknie ozdobioną kwiatami. Przy niej wspólnie z tak szacowanym gościem modliliśmy się i śpiewaliśmy pieśni. Ksiądz Biskup przyjeżdżał samochodem. Chłopcy na tę okazję przywdziewali spodnie z lampasami. Dziewczyny ubierały białe bluzki i granatowe sukienki. Na głowach miały wianki. Panował odświętny, wspaniały nastrój. Wszyscy razem, na pieszo i konno - szpalerem prowadziliśmy księdza Biskupa do kościoła. Tam czekała na niego kolejna powitalna brama, przygotowana przez mieszkańców naszej sąsiedniej wsi - Kowali Pańskich.

### Tradycje, zwyczaje, obyczaje

W wigilię Bożego Narodzenia po domach chodzili „Wilijarze”. Gdy weszli zaśpiewali „Wśród nocnej ciszy”. Na twarzach mieli maski, na spodniach naszyte lampasy. Pytali się rodziców czy dzieci były grzeczne, a potem za cukierka należało udowodnić, że zna się słowa modlitwy. Potem szli do kościoła na pasterkę.

Po Bożym Narodzeniu chodziły „Herody”. Dzieci w domach odgrywały ludowe przedstawienie. Przebrane były za: króla, anioła, diabła, śmierć i marszałka. Obrazowali walkę dobra ze złem, a więc diabła z aniołem. Despotyczny Herod skazany został na wieczne potępienie i poddany dwóm egzekucjom: śmierć zabiera jego ciało, a diabeł duszę. Pamiętam wypowiedzi postaci, np. Herod mówił „Jam król potężny, jam król bogaty, mam złoto i purpury na cztery strony świata”, na co śmierć odpowiadała „Chodziłam po górach, po lasach, siedem par butów zdarłam, jednak Cię królu Herodzie w tym domku odnalazłam”. Kwestia diabła brzmiała „o Ty królu brzydki, chodź do piekła za twe zbytki”.

W ostatki czyli kilka dni przed Popielcem po naszej miejscowości chodziły tzw. „Niedźwiedzie” czyli przebierańcy. Do grupy tej zaliczały się takie postaci jak: niedźwiedź – owinięty słomą,

baba, dziad, cygan, kominiarz, piekarz, policjant, szewc i ułan. Często nazywani byli maskarami zapustnymi. Sypali oni popiołem, tańczyli, do koszyka zbierali pączki i jajka.

## Uczyliśmy się w domach gospodarzy

Szkołę Podstawową rozpoczęłam w 1932 roku. Do pierwszej klasy uczęszczałam do gospodarza - pana Czesława Paruszewskiego (późniejszego wójta) w Kowalach Pańskich, który mieszkał obok kościoła, po prawej stronie. Obecnie dom ten należy do pani Łukasik. W pierwszej oraz drugiej klasie uczyła mnie Stefania Styrencówna. Kierownikiem szkoły przed II wojną światową, jeszcze przed panem Mikołajem Bułaszenko był pan Zygfryd Lochman - niezwykle wymagający i surowy nauczyciel matematyki. Kiedyś pani Styrencówna wysłała mnie do niego, abym zapytała o konferencję nauczycieli w Dobrej. Zamiast grzecznie powiedzieć, że przysłała mnie pani Styrencówna, z tych emocji, wydusiłam, że przychodzę z pytaniem od pani Steni. On uśmiechnął się i nie zwrócił mi uwagi, co względem opowieści o jego groźnym usposobieniu, wywołało moje zdziwienie. W III klasie moją nauczycielką została pani Irena Stępień. Klasy IV i VI - mieściły się u państwa Klimkowskich (dziś na tym placu znajduje się Lewiatan), z kolei V u państwa Brudtów. VII klasę (rok szkolny 1938/1939) - rozpoczęłam już w budynku nowej szkoły. Przed wybuchem wojny w naszej szkole pracę rozpoczęło małżeństwo o nazwisku Bułaszenko. Z nauczycieli pamiętam jeszcze: Krygiera, Magielskiego, Józefę Klockowską i Mariana Olczaka z Łęczycy. Ten ostatni posiadał stopień oficera. Przez około dwa lata uczył wychowania fizycznego, wówczas określanego mianem ćwiczeń cielesnych. Kolegował się z moim szwagrem stelmachem. Na miejsce pana Olczaka przyjeżdżał pan Pachnowskiego. Religii uczył ksiądz proboszcz.

Z lat nauki szkolnej w mojej pamięci silnie zapisał się wiersz, którego nauczyliśmy się po śmierci Józefa Piłsudskiego. Zmarł on 12 maja 1935 r. – byłam wówczas w IV klasie.

### Oto wiersz:

To nie prawda, że Ciebie już nie ma,  
To nie prawda, że jesteś już w grobie.  
Chociaż płacze cała polska ziemia,  
Cała polska ziemia w żałobie,  
Choć twe serce już nie bije,  
Choć opuścił Cię duch Twój dzielny,  
W naszych sercach na zawsze żyjesz  
Ukochany wodzu nieśmiertelny.

## Wojna wybuchła w piątek

W czerwcu 1939 r. skończyłam VII klasę, a we wrześniu wybuchła wojna. Pamiętam ten straszny dzień. Był to piątek. Syreny przeraźliwie wyły, zapowiadając najgorsze. Tego dnia, poszliśmy ze siostrą na orzechy, a tu nagle na niebie pojawiły się samoloty. Zrobił się ogromny szum, z drzew leciały liście. Usłyszałyśmy strzały i wołanie taty, abyśmy się ukryły.

Tydzień przed tym wydarzeniem do Kowali Pańskich przyjechało polskie wojsko po konie. Sołtysi mieli za zadanie rozeznac się, które zwierzęta są odpowiednie dla żołnierzy. Zbiórka odbyła się na placu, gdzie dziś znajduje się sala OSP. Panował ogólny niepokój. Chodziły pogłoski, że będą rozstrzelania, toteż ludzie próbowali się ukrywać.

W pierwszych dniach wojny na podwórko moich teściów - Głapów (obecnie w miejscu tym mieszka rodzina Budków) wkroczyło 6 Niemców. Po rewizji gospodarstwa weszli do domu. Dzieci schowały się pod łóżko. Zażądali oni rowerów. Powiedzieli, że przez godzinę po ich odejściu nie wolno nam wychodzić na dwór. Na naszej wsi w miejscu, gdzie dziś mieszka rodzina Antasów, polskie wojsko ustawiło armatę. Wiem, że nasi żołnierze stali w Kowalach Księżych, a potem chwilę w Marianowie-Kolonii. Do wojska zaciągnął się Jan Grzesznik oraz Franciszek Kolenda. Z wojny już niestety nie wrócili.

## Wysiedlili nas do Czachulca

Moja rodzina została wysiedlona do Czachulca. Jedliśmy śniadanie, gdy wtargnęli Niemcy. Nie mogliśmy już dokończyć posiłku. Zaczęli spisywać to, co było w pomieszczeniach. Wtedy szybko ze siostrą Sabiną, korzystając z tego, że hitlerowcy zajęci są spisem przedmiotów, wyniosłyśmy przez okno jedzenie i ukryłyśmy je u Twoich pradziadków Kowalewskich. Muszę nadmienić, że byli to bardzo dobrzy ludzie, moi rodzice utrzymywali z nimi przyjazne relacje. Jeszcze przed przesiedleniem, przeczuwając, że może się tak stać, tata ukrył worki z mąką, cukrem i solą właśnie u Twoich pradziadków. Oni przez całą wojnę, mimo że też mieli trudną sytuację, nie ruszyli tych produktów. Wiedzieli, że będą nam potrzebne. Tata powtarzał im, że również mogą korzystać z owych zapasów, ale oni byli bardzo uczciwi i zostawili je nam.

Przesiedleni zostali również moi teściowie. W ich domu zamieszkali Niemcy o nazwisku Flejter. Mieszkańcy Marianowa-Kolonii narzekali na nich. Nie byli oni dobrymi ludźmi. Niemcy jeździli po okolicy i wybierali dla siebie najlepsze gospodarstwa. Jeden z nich o nazwisku Szulc upatrzył sobie nasz dom. Musieliśmy się więc wyprowadzić do Czachulca - nieopodal getta.



Gospodarstwo Niemca, które otrzymaliśmy w zamian za nasze liczyło 16 mórg, jednak była to bardzo słaba ziemia. Na szczęście tata był dobrym gospodarzem i potrafił poradzić sobie z takim terenem. Dorobiliśmy się dwóch krów i konia. Szulc był człowiekiem ordynarnym i nieprzyjemnym, w przeciwieństwie do swojej żony Huldy. Wyganiał nas do Czachulca słowami „Idźcie do Czachulca, idźcie, zobaczcie jak Niemiec żył tam przez 20 lat. Teraz nie wy, ale ja będę jadł chleb”. Jak już wspomniałam Szulc już wcześniej upatrzył sobie naszą ziemię. Zdarzyło się nawet, że przyjechał i bezkarnie rozpoczął wrywać nasze buraki. Gdy tata to zobaczył, pobiegł i zapytał, jak może tak czynić. A on zaklął, odpowiedziawszy, że tak mu się podoba i tak będzie robił. Wyprowadzając się (oczywiście przymusowo) musieliśmy prawie wszystko zostawić. Do Czachulca zabraliśmy tylko jakieś drobiazgi, trochę odzieży i pościel. Zastaliśmy tam dużą biedę. W domu były tylko dwa stare łóżka, które zarwały się, kiedy się z siostrą na nich położyłyśmy, a także stół, ława i stołek. Mieszkaliśmy tam około 3 lat. W sąsiedztwie nowego - przymusowego domu znajdował się niemiecki kościół oraz szkoła. Widziałam jak Niemcy się w nim modlili. Wielokrotnie byliśmy też świadkami przywozki Żydów z Turku oraz Dobrej do getta Czachulec. Były to przerażające obrazy. Jedni szli na nogach, inni byli więzieni na wozach. W naszym domu często odbywały się rewizje, nierzadko nocą. Hitlerowcy sprawdzali czy nie ukrywamy Żydów. Mieliśmy nakaz zakrywania okien na noc. Nam Polakom, nie wolno było wychodzić wieczorem z domu. Mimo to spotykaliśmy się, gdzieś w lasach, na polach.

Żydzi mimo zakazu często przekraczali granicę getta. Prosimi o żywność. Były to okrutne czasy. Niestety zdarzało się, że donoszono, jeśli ktoś udzielił im pomocy, a przecież za takową groziła kara śmierci. Pamiętam, że w jednej stodole w Czachulcu zamknięto 10 Żydów. Było bardzo gorąco, toteż pragnienie szybko rosło i uwięzieni przeraźliwie błagali o wodę. Trzymano ich około 10 dni. W tym czasie przygotowywano szubienicę, którą tymczasowo przechowywano w kościele w Kowalach Pańskich. Niemcy z czasem przewieźli ją do Czachulca, dokonując na niej przerażającej egzekucji. Powiesili więzionych w stodole Żydów, a Polaków zmusili do oglądania mordu. Pewien 21 letni student o nazwisku Trzaskała - pytał hitlerowców, dlaczego to robią, przecież Żydzi chcą pracować, nie chcą umierać.

## Moje pierwsze kontakty z Żydami

Moja siostra wyprowadziła się do Kaczek. Otworzyła tam i zarejestrowała zakład krawiecki, w którym pracowałam wraz z Danutą Glapińską z Marianowa-Kolonii. Niemcy zakazali nam szyć dla Polaków. Mogłyśmy to robić tylko dla Niemców. Jako krawcowe byłyśmy przydatne, dzięki czemu uniknęłyśmy wywózki do Rzeszy. Pewnego dnia, wracając z Kaczek z pracy, już w Czachulcu,

napotkałam 3 Żydówki. Zapytały mnie czy jestem Polką. Odrzekłam, że oczywiście. Poprosiły, abym poszła do pobliskiej stodoły i zawołała panią Jasiak, która w niej pracowała. Tak też uczyniłam. Kolejny kontakt z Żydami miałam wtedy, gdy do naszego domu wieczorem przyszła około 17 letnia Żydówka, a z nią pięcioro małych dzieci. Padał wówczas deszcz, na dworze było ciemno i nieprzyjemnie. Z bólem serca - nie mogliśmy ich ukryć, przez wzgląd na bardzo częste kontrole i rewizje, które spowodowane były tym, że mieszkaliśmy bardzo blisko granicy z gettem. Tata zaprowadził ich do Skarżyna, żeby mogli uciekać dalej.

Będąc u siostry w Kaczkach, poszłam po wodę i wtedy ujrzałam jak drogą prowadzeni są Żydzi. Musieli ich chwytać nocą, bowiem ubrani byli w piżamy. Na ich ciałach widać było ślady pobicia. Kobiety trzymały na rękach niemowlęta. Po obu stronach pilnowani byli przez hitlerowców. Był upalny dzień, a prowadzeni, błagali o wodę, wręcz krzyčeli o chociażby kroplę. Zapytałam więc jednego z pilnujących czy mogę dać im się napić. Na co on groźnie i stanowczo „czy ty chcesz jechać z nimi?”. Człowiek człowiekowi taką wyrządzał krzywdę, taką podłość.

### **Tych krzyków nigdy nie zapomnę...**

W mojej pamięci utkwił wieczór, kiedy to usłyszeliśmy głośne szczekanie psów, hałas i przeraźliwe krzyki. Nie wiedzieliśmy co się dzieje. Przez szczeliny ujrzelśmy jak gnają Żydów. Żandarmi uzbrojeni w broń i kije, przy wsparciu groźnych psów prowadzili Żydów do samochodów. Dzieci siłą odrywali od rodziców. Bili ich dotkliwie. Niemowlęta rzucali do aut - jakby to były jakieś worki. Widok ten był straszny. Na własne oczy zobaczyłam wtedy rozpacz nie do opisanania. Do końca życia nie zapomnę tego strasznego, przeraźliwego krzyku. Kiedy samochody ruszały, Żydzi oblegali je, nie chcieli ich puścić. Ci, którzy zostali, jeszcze długo krzyčeli, a nawet uderzali głowami o drzewa, wyrywali sobie włosy z głowy. Krzyk ten trwał do późnego wieczora, a ja długo nie mogłam po tym traumatycznym zdarzeniu zasnąć.

### **W Czachulcu mieliśmy dobrych sąsiadów**

W Czachulcu mieliśmy dobrych sąsiadów. Jednym z nich był młynarz, posiadający wiatrak. Dzielił się z nami mąką. Sołtysiem był Niemiec o nazwisku Szymtke. Jego gospodarstwo liczyło 60 mórg ziemi. Mieszkał pod lasem, na końcu Czachulca. On również był dobrym człowiekiem.

Do takich porządnym ludzi zaliczał się też Niemiecki ksiądz - nazywany kantorem. Obok nas mieszkała pani Kaźmierczak z Potworowa. Wychowywała 6 dzieci. Pomagaliśmy jej wszyscy.

## **Nad sosnowym lasem ujrzelśmy dym**

Moja siostra, która pracowała z mężem na Stefanowie u Niemca o nazwisku Krenc, urodziła dziecko i poprosiła mnie, abym została chrzestną. Raz na jakiś czas, w nasze okolice przyjeżdżał ksiądz, który potajemnie udzielał sakramentów - chrzczył dzieci, udzielał I Komunii Świętej i ślubu. W jedno miejsce zjeżdżali się ludzie z całej okolicy, by dostąpić Bożej Łaski. Zbieraliśmy się wszyscy na dużym podwórku u gospodarza. Było to w Niemysłowie. Takie zjazdy odbywały się też w miejscowości Dębe pod Kaliszem. Ksiądz podchodził do każdego po kolei i udzielał właściwego sakramentu. Pojechaliśmy tam więc z moją siostrzenicą, by ją ochrzcić. Od Niemca, u którego służyła siostra, otrzymaliśmy karetę. Dzięki temu było mniejsze prawdopodobieństwo, że nas zatrzymają. Jadąc poczuliśmy okropny zapach. Nad sosnowym lasem ujrzelśmy dym. Dowiedzieliśmy się, że nieopodal palono Żydów. To było coś strasznego.

Nawiązując jeszcze do Krenca, muszę dodać, że był to dobry człowiek. Jego córka zakochała się w Polaku. Ich miłość w czasach zagłady była jednak zakazana. Krenc musiał chronić córkę. Posiadał wiatrak i tam między workami ją ukrywał. Przez to, że kochała Polaka była poszukiwana.

## **Do Niemiec przymusowo wywieziono...**

Na przymusowe prace do Niemiec z Marianowa-Kolonii zostali wywiezieni: Helena Frątczak (miała około 18 lat), Maria Michalak, Pelagia Gołdyka (twoja ciocia), Stanisława Adamska (również Twoja ciocia), Stanisław Kolenda, Władysław Kolenda, Danuta Glapińska, Leokadia Witczak, Mieczysław Grzesznik, Kazimierz Files i Adam Glapa. Do Polski nie wróciła: Maria Michalak. Wśród tych osób był również mój przyszły mąż Władysław Glapa, któremu udało się wrócić. To co tam przeżył, to opowieść na kolejną historię.

## **Moja mama patriotką**

Panięskie nazwisko mojej mamy brzmiało jak niemieckie, jednak z pewnością ona i jej rodzina byli Polakami. Zdarzyło się, że Niemcy, wezwali ją oraz Władysławę Cichałą do urzędu, aby



przyjęły niemieckie obywatelstwo. Moja mama od razu zapytała z jakiego powodu ma tak uczynić, na co oni odpowiedzieli, że przecież pochodzi z niemieckiego rodu. Tłumaczyli, że żadna niemiecka krew nie może zagać, a Polacy zostaną wytopieni jak Żydzi. Mama wróciła do domu zapłakana. Po czasie otrzymała kolejne wezwanie. Zmuszana do przyjęcia niemieckiego obywatelstwa, stanowczo odmawiała. Twierdziła, że jest Polką i nawet jeśli jej rodacy mają zostać zamordowani jak Żydzi, to ona pozostanie z nimi, bowiem była, jest i będzie POLKĄ. Potem jeszcze dodała „róbcie z nami co chcecie, ale my Niemcami nigdy nie będziemy”. Ich odpowiedź brzmiała „Jeszcze zobaczymy”. Zbliżał się koniec wojny, Niemcy nie zdołali nam już zaszkodzić.

## **Powrót do Marianowa-Kolonii, do ukochanego domu**

Jak już wspomniałam z Czachulca przeprowadziliśmy się do mojej siostry do Kaczek. Po zakończeniu wojny, przyszedł po nas pan Frejek, abyśmy wracali na Marianów, albowiem dochodzi do kradzieży i powinniśmy zadbać o swoją posiadłość. Trochę się tego baliśmy, albowiem Niemcy ostrzegali, że wrócą i będą się mścić. Tata zdecydował się na powrót do domu. Postanowiłam mu towarzyszyć. W naszych pomieszczeniach zastaliśmy dużą ilość słomy. Na kuchni stał tylko jeden garnek. Stół był brudny, krwią pomazany. Razem z tatą umyliśmy garnek oraz wytarliśmy stół. Zagotowałam wodę, wyparzyłam kubki i zrobiłam nam herbatę. Wieczorem na nasze podwórko wjechali Rosjanie. Wtargnęli do domu i zaczęli rządzić się w kuchni, szykując sobie coś do jedzenia. Rozkazali, byśmy z nimi zjedli. Tata znał rosyjski, toteż grzecznie odmówił, informując, że jesteśmy dopiero po kolacji. Baliśmy się, że nas rozstrzelają, bowiem gardzimy ich zaproszeniem do posiłku. Wśród nich był weterynarz, co okazało się dobrodziejstwem na ten czas. Do naszego domu w pośpiechu przybiegł pan Budziarek z płaczem, prosząc o pomoc dla 12-letniego syna Józefa. Chłopiec znalazł granat, który podczas zabawy wybuchł, raniąc go w oko i nogę. Weterynarz zgodził się pomóc. Razem z tatą i owym Rosjaninem pobiegliśmy do państwa Budziarków, gdzie zastaliśmy chłopca całego we krwi. Weterynarz opatrzył Józefa i zdołał go uratować. Gdy wracaliśmy do domu, poinformował tatę, że oka niestety nie udało się ocalić. Zaczął też opowiadać, jak Niemcy zrzucali ich dzieci do studni i uderzali nimi o drzewa.

W naszym domu, w tej słomie, również były granaty. Nierozważni Rosjanie rozpalili ognisko na podłodze. Nasz dom mógł spłonąć. Na szczęście zdołaliśmy go ocalić. Sprzątając słomę w moje ręce wpadł ów granat. Gdy tata to zauważył kazał mi natychmiast to zostawić. Od takich znalezionych po wojnie granatów wielu ludzi straciło życie lub zdrowie.

## **Cmentarz choleryczny, tartak, owczarnia i garncarnia w Marianowie-Kolonii**

*Z opowiadań moich rodziców wiem, że tam, gdzie dziś znajduje się stacja benzynowa, ta bliżej Kowali Pańskich, w dawnych czasach ulokowany był cmentarz choleryczny. Stały tam trzy krzyże - wysokie, wykonane z drewna. Potwierdzeniem istnienia cmentarza są wykopane czaszki, podczas pozyskiwania żwiru na budowę drogi. W Marianowie-Kolonii był tartak. Znajdował się na posesji, która dziś jest własnością państwa Dzikowskich. Na terenie państwa Boczków umiejscowiona była owczarnia, z kolei na posesji rodziny Gołdyków znajdowała się garncarnia.*

## **Słów kilka o dziedzicach Skowrońskich**

*Ostatnimi właścicielami majątku Kowale Pańskie byli państwo Janusz i Zofia Skowrońscy. Dziedziczka pochodziła z rodziny Nałęcz-Raczyńskich. Mieszkali w modrzewiowym dworze. Zostali z niego wysiedleni przez Niemców w 1939 r.*

*Zdarzało się, że chodziłam do ich parku po bukszpan. W kościele zawsze zajmowali honorowe miejsce. Ustawiano dla nich krzesła na środku przed ołtarzem. Ołtarz oddzielony był od reszty kościoła specjalną balustradą, przystrojoną białym materiałem. Podczas procesji państwo Skowrońscy prowadzili księdza pod rękę.*

## **Byłam przewodniczącą KGW Marianów-Kolonia**

*Przez dwie kadencje w latach około 60-70 byłam przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich. Przedemną funkcję tę pełniła Marianna Pakuła, a po mnie została Twoja Babcia Anna Kowalewska. Rozprowadzałyśmy kurczęta, organizowałyśmy kursy kroju, szycia, ogrodnictwa, warzywnictwa, a także zabawy taneczne. Zadbaliśmy też o ogrodzenie do krzyża przy drodze krajowej. Ponadto odbywały się konkursy na piękne ogrody i warzywniaki. Raz zdobyłam nagrodę za najlepszy warzywniak, a pani Witczak za piękne kwiaty.*

*Jako przewodnicząca uczestniczyłam w zlocie międzynarodowych Kół Gospodyń Wiejskich w Budapeszcie. Pamiętam, że przygrywała nam orkiestra. Wymieniałyśmy się wówczas doświadczeniem. To był bardzo mile spędzony czas.*

## Moja znajomość z Władziem

Pojawił się mój „Ksiączę z bajki”, z wrzosową rozedą i tak to się zaczęło..., był rok 1945 – czerwiec. 8 lutego 1948 r. w kościele w Kowalach Pańskich – ks. Zygmunt Pasternak udzielił nam ślubu (pamiętam, że świadkiem mojego męża był Tadeusz Michalak – mąż siostry). Najpierw mieszkaliśmy u moich rodziców, a warsztat stolarski był u moich teściów Glapów. W 1949 r. na działce, którą otrzymaliśmy od rodziców Władzia rozpoczęliśmy we dwoje budowę naszego domu. Zamieszkaliśmy w nim w 1950 r. 15 grudnia 1948 r. urodził się nam syn Józio, niestety wkrótce zmarł. W czerwcu 1950 r., urodziła się Maria, obecnie Szubert, rok później we wrześniu na świat przyszła Halina, obecnie Boczek. Najmłodsza córka Jolanta, obecnie Kaczmarek urodziła się trzydzieści lat później. Od 1972 r. nasza rodzina zaczęła się powiększać o 3 wnuków i 5 wnuczek. Mój mąż wywodził się podobnie jak ja z wielodzietnej rodziny, miał 4 siostry i 5 braci. Oboje ciężko pracowaliśmy w gospodarstwie, dodatkowo ja zajmowałam się dziećmi, domem, krawiectwem, a mój mąż był stolarzem. Najpierw pracował w przydomowym warsztacie, a później podjął pracę w Elektrowni „Adamów”. W małżeństwie wspólnie przeżyliśmy 56 lat. Mąż zmarł w październiku 2002 r., miał 81 lat.

## Z albumu Eugenii Glapy



Rodzina państwa Bialeckich. Od lewej: Stanisława (z męża Nowicka), Eugenia (z męża Glapa), Anna Bialecka (z domu Winter) – mama pani Eugenii, Helena, Feliks Bialecki – tata pani Eugenii wraz z Sabiną (z męża Przygońska), dalej Władysława. Rok około 1928 r.



Eugenia Glapa – lata młodości



# *Mirosława Materzak*

MARCJANÓW





## Mirosława Matczak

Urodzona 20 października 1935 roku w Kaliszu, córka Stanisławy (z domu Śliwczyńska) i Józefa Maciaszczyków. Wraz z mężem Bolesławem, z którym mieszka w Marcjanowie - doczekali się 4 dzieci, 5 wnucząt i 2 prawnucząt. Radna Gminnej Rady Narodowej w latach 1973-1977; przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich w Marcjanowie w latach 1962-2000, na przełomie lat 70 i 80: przewodnicząca rady nadzorczej ds. kobiet na gruncie województwa konińskiego, radna w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Kawęczynie, opiekun Banku Spółdzielczego w Kawęczynie, w tych też latach pracowała na rzecz mleczarni w Marcjanowie. Aktywna członkini dawnego zespołu muzycznego z Marcjanowa. Odznaczona medalem „Order Serca – Matkom Wsi” 11 września 1984 roku przez Zarząd Centralnego Związku Kółek Rolniczych i Redakcję „Gospodyni” za trud włożony w wychowanie młodego pokolenia Polaków – patriotów, za kształtowanie w rodzinnym domu i środowisku humanistycznych postaw moralnych, za aktywność społeczną i umiłowanie Ojczyzny. Wyróżniona przez Wielkopolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego za udział w IV Kościeleckich Prezentacjach Dziedzictwa Kulturowego Wsi „Uczucia pisane słowem i folklor muzyczny na starych rodzinnych instrumentach”. Wielokrotnie nagradzana za aktywną pracę na rzecz Kół Gospodyń Wiejskich.

**O pani Mirosławie Matczak – bohaterce lipcowego artykułu z cyklu „Wspomnień blask” można przeczytać w tomiku „Dziedzictwo kulturowe wsi. Uczucia pisane słowem”, wydanym przez Powszechny Zakład Ubezpieczeń Inspektorat w Kole. Dowiadujemy się z niego, że pani Mirosława „kocha wieś, jest energiczna i sentymentalna”. Swoją artystyczną duszę wyraża w pięknych wierszach, a także urokliwym śpiewie. Przez wzgląd na nasze polonistyczne zamiłowania od razu nawiązałyśmy nić sympatii. Poezja pani Mirosławy zachwyciła mnie i podbiła moje serce. Dużym wsparciem podczas rozmowy służyła córka pani Mirosławy – pani Aldona Szprync, za co serdecznie dziękuję. Na zakończenie naszego spotkania wysłuchałam kilka utworów, które pani Mirosława zapisała na dyktafonie. Łącznie ma ich 140, nagrywając je - wszystkie śpiewała z pamięci.**

### Niemieccy żołnierze poinformowali babcię o śmierci dziadka

*Rodzice mojej mamy to Katarzyna i Wojciech Śliwczyńscy. Mieszkali w Marcjanowie. Z kolei dziadkowie ze strony taty to Franciszka (pochodziła z Czajkowa - gmina Dobra) i Walenty Maciaszczykowie. Jedni i drudzy prowadzili gospodarstwo rolne.*

*Dziadek Walenty zginął na morzu. Wyjechał za pracą do Niemiec. Wiem, że do babci Franciszki przyjechało wówczas trzech niemieckich żołnierzy i poinformowali, że jej mąż nie żyje. Działo się to w latach I wojny światowej.*

*Moja mama to Stanisława z domu Śliwczyńska (1906-1978), a tata Józef (1906-2002) - pochodził z Milejowa. Zapoznał ich krawiec pan Galas z Marcjanowa. Zamieszkali na Pachcie, czyli na terenie Tokar Drugich, w miejscu, gdzie dziś swoją posesję ma pan Piwowarczuk. Na świat przyszedłem 20 października 1935 roku w szpitalu w Kaliszu. Przez wzgląd na to, że pierwsze dziecko zmarło, rodzice, chcąc uchronić się przed komplikacjami, postanowili, że mama urodzi mnie w szpitalu. Przed wyznaczoną datą porodu, tata zawiózł mamę wozem do Gozdowa, a stamtąd autobusem pojechali do Kalisza, albowiem w Turku nie było szpitala. Zostałam jedynaczką. W Tokarach spędziłam dzieciństwo. Mama i tata prowadzili gospodarstwo rolne, które w czasie wojny zostało scalone z dwiema pobliskimi posiadłościami w jedną całość. Za mąż wyszłam w 1958 roku. Mój mąż Bolesław Matczak (ur. 1 grudnia 1934 r.) pochodzi ze Skarżyna. Pracował w Kopalni Węgla Brunatnego Adamów.*

## **Uciekając przed żandarmami**

*Kiedy rozpoczęła się wojna miałam niecałe 4 lata. Pamiętam przejeżdżających obok naszego domu na Pachcie - Niemców. Byli narodem niezwykle precyzyjnym, dokładnym. Wojsko jechało w odpowiednim szyku. Rosjanie byli ich przeciwieństwem. Nie zważali na nic, byli niedbali. Jadąc, zahaczyli nawet o nasz płot i ciągnęli go przez pół miejscowości. Za drogą, przy której mieszkaliśmy w Tokarach, na wzniesieniu - rósł las – coś na zasadzie leśnej góry. Jako dziewczynka lubiłam tam chodzić. W mojej pamięci silnie zapisało się pewne zdarzenie związane z tym miejscem. Mając około 8 lat, a więc w 1943 roku, kiedy bawiłam się na owej górze, spostrzegłam na dole dwóch żandarmów. Niestety oni też mnie zauważyli, zaczęli strzelać i biec w moją stronę. Rzuciłam się do ucieczki. Bardzo się bałam. Nie potrafię nawet opisać lęku, który wówczas czułam. Na szczęście byłam zwinna oraz szybka. Na moją korzyść działał też fakt, że był to las, zatem trudno było im celnie strzelić. Kiedy wbiegłam do domu, byłam przerażona, cała się trzęsłam, nogi drżały tak mocno, że kolana obijały się o siebie.*

*Za moment wkroczyli do nas owi niemieccy żołnierze, pytając mamę czy widziała uciekające żydowskie dziecko. Mama wyjaśniła im, że jestem jej córką – wyznania katolickiego. Niemcy rozkazali, by informować o ukrywających się Żydach. My nigdy tego nie robiliśmy.*

*Pamiętam, że na naszym polu w redlinach ukrywała się Żydówka. Nie wiem jednak kim była i jak się tam znalazła. Miała około 16 lat. Tak strasznie było mi jej żal. Niestety została znaleziona*



*i zabrana. To dramatyczne zdarzenie odcisnęło się na moim sercu. Długo przez to płakałam.*

*W 1941 roku utworzono getto „Czachulec”, które obejmowało 1711 ha i takie wsie oraz przysiółki jak: Młodzianów, Czachulec Nowy, Młyny Miłaczewskie, Chuby, Nowy Świat, Żabinię (Kolonja Marcjanów A), Bielawki, Józefina, Niedźwiady, Leśnictwo, Dzierzbotki, Dzierzbotki-Cegielnia, Pacht, część Marcjanowa, Karolew, Borki, Radunek oraz Kolonia Marcjanów B. Uwięziono tam wszystkich Żydów z Turku, Dobrej i Tuliszkowa. Musieliśmy opuścić nasz dom, albowiem jak wspomniałam, Pacht również stał się częścią getta. Zamieszkaliśmy u wuja (brata mamy) Ignacego Śliwczyńskiego w Marcjanowie. Po likwidacji getta w 1942, wróciliśmy do siebie. Wysiedlono też naszych sąsiadów - państwa Pilasów, w ich miejsce sprowadzono rodzinę państwa Kaczmarków ze wsi Bobrowniki koło Sieradza.*

*W czasie wojny soltysem na Pachtzie był niejaki Niemiec Wejman – człowiek ostry i niedobry dla ludzi. Tatę wyznaczono na takiego „podsoltysa” – osobę pomagającą soltysowi. Wejman często przychodził do nas, zlecając tacie różne zadania. Pamiętam jego krzyk. Zawsze wołał głośno oraz groźnie: „Maciaszczyk otwieraj drzwi!!!”*

## **Szkolny czas**

*Po zakończeniu wojny rozpoczęłam naukę w Szkole Podstawowej w Tokarach. Miałam wówczas 10 lat. Z racji tego, że mama nauczyła mnie trochę pisać i czytać, poszłam od razu do II klasy. Moim ulubionym, ukochanym przedmiotem był język polski. Kochałam literaturę. Mając 15 lat przeprowadziliśmy się do Marcjanowa. W ostatniej klasie nie przenosiłam się już do szkoły w Skarżynie, tylko kontynuowałam naukę w Tokarach, chodząc tam na pieszo. Pamiętam, że kierownikiem szkoły w 1947 roku został Stefan Nitecki, przed nim funkcję tę pełnili: Alfons Ślęzak, a następnie Kazimiera Ślęzak. Tadeusz Zielonka uczył mnie matematyki, a Maria Mituta geografii i religii.*

## **W moich wspomnieniach nie może zabraknąć Marcjanowa**

*W moich wspomnieniach nie może zabraknąć Marcjanowa... W dawnych czasach była to wieś szlachecka należąca do powiatu kaliskiego. W czasach PRL-u powstało tu Kółko Rolnicze (najpierw zostało ulokowane u Bolesława Bukowieckiego, a następnie przeniesiono je do pana Bronszewskiego), które podobnie jak inne, miało służyć przebudowie wsi. Była to organizacja,*

mająca na celu doskonalenie produkcji rolnej. Gospodarowała ona gruntami i zapewniała usługi mechanizacyjne. Na wyposażeniu Kółka były różne maszyny rolnicze, kombajny i traktory. Rozpoczął się proces powstawania Spółdzielni Kółek Rolniczych. U wspomnianego wyżej Bolesława Bukowieckiego mieściła się też mleczarnia. Muszę dodać, że w Marcjanowie znajduje się wiatrak koźlak z połowy XIX wieku i drewniany dom nr 18 z początków XX wieku

Sołtysem od 1984 roku był Andrzej Miszczak. Był nim do kadencji 1990/1994. Po nim funkcję objął Tadeusz Duszyński. Przed Andrzejem Miszczakiem - bodajże w latach 60/70 włodarzem wsi był Stanisław Michalak. W Marcjanowie mieszkali kowale, a mianowicie Jan Majda i Franciszek Krzyżański. Każdy z nich posiadał swoją kuźnię. Pan Majda na początku wsi, gdzie obecnie mieszka pani Renata Frątczak, a pan Krzyżański pod koniec – obecnie własność pana Rafała Jankiewicza.

### Na straży wsi

Ciekawostką dla młodego pokolenia może być fakt, że w czasach PRL-u, a nawet przed wojną na każdej wsi funkcjonowała tzw. „stróżka”. Była to taka laska przekazywana „od domu do domu”. Chodzi o to, że każdy gospodarz - po kolei, pełnił dyżur w swojej miejscowości. Całą noc czuwał nad bezpieczeństwem mieszkańców. Chodził po drodze i chronił m. in. przed złodziejami lub pożarami. Milicja kontrolowała czy obywatele wypełniają obowiązki stróża. Jeśli przyłapałoby takiego człowieka na spaniu, poniósłby konsekwencje. W Skarżynie z kolei na słupku obok pana Chojnackiego wisiało żelazo, coś na wzór lemiesza<sup>12</sup>. Służyło ono do alarmowania. Kiedy zdarzyło się coś złego, uderzano w nie młotkiem, a dźwięk rozbrzmiewał na całą wieś, ostrzegając mieszkańców.

### Działając społecznie

W latach 1973-1977 byłam radną Gminnej Rady Narodowej. Na obrady dojeżdżałam motorem. Na przełomie lat 70/80 pełniłam funkcję przewodniczącej rady nadzorczej do spraw kobiet na gruncie województwa konińskiego. Spotkania w Koninie odbywały się około dwóch razy w miesiącu. Ponadto w latach 70/80 - pełniłam funkcję radnej w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Kawęczynie, a także opiekuna Banku Spółdzielczego w Kawęczynie. Działalam też w mleczarni, funkcjonującej w Marcjanowie. Podsumowując reprezentowałam swoją wieś w poszczególnych

---

12 Lemiesz – robocza dolna część korpusu pługa odcinająca poziomo skibę od gleby i przekazująca ją na odkładnicę. Por. *Encyklopedia ...*, s. 440.

sprawach, działając na jej rzecz. W latach 1962-2000 byłam przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich w Marcjanowie. Zajmowałam się organizacją kursów: kroju i szycia, a także gotowania i pieczenia. Odbywały się one w świetlicy wiejskiej lub domach mieszkańców np. u pani Weroniki Górskiej. Instruktorką była pani Sabina Zajączkowska z Kowali Pańskich. Na dożynki zawsze pleciony był przez nas wieniec.

Dodatkowo piekłam chleb, z którym szłam przed wieńcem, a następnie wręczałam go księdzu mówiąc „proszę go podzielić równo i sprawiedliwie, aby dla nikogo nie zabrakło”. Współpracowałyśmy z wieloma organizacjami np. gminą, szkołą i kościołem, biorąc czynny udział w uroczystościach świeckich i kościelnych, urozmaicając je jednocześnie występami. Nasze KGW wyjeżdżało na różnego rodzaju wystawy np. do Kościelca, a także wycieczki np. do teatru. Twórcze wyjazdy kształtowały światopogląd, budowały polską tożsamość. Dawniej Koła Gospodyń zajmowały się głównie prowadzeniem wypożyczalni naczyń, organizowaniem wiejskich uroczystości, rozprowadzaniem kurczaków, paszy lub innych trudnych do zdobycia w owym czasie produktów codziennej potrzeby. Jako przewodnicząca zbierałam zapisy na drób. Następnie mieszkańcy odbierali ode mnie pisklęta, które zamówili. Korzystali również z szatkownicy wiejskiej do szatkowania kapusty.

Koła Gospodyń Wiejskich to piękna tradycja, która tak mocno wpisała się w historię polskiej wsi. Łączą one pokolenia, wzmacniają więzi, stoją na straży polskich obyczajów. Zmieniały się czasy, bywało różnie, ale kobiety w KGW zawsze potrafiły jednoczyć ludzi i stać na straży działań społecznych, stawiając sobie ambitne cele.

## **Marcjanów z zespołem**

Muszę nadmienić, że w Marcjanowie działał zespół muzyczny. Powstał on na przełomie lat 60/70. Naszym „dyrygentem” i nauczycielem był pan Stefan Balcerczyk ze Szkoły Podstawowej w Skarżynie. Próby odbywały się w naszym domu. Posiadałyśmy nawet stroje, które nas wyróżniały. Początkowo były to niebieskie sukienki w kwiaty, a następnie białe bluzki i czarne spódniczki. Do naszego repertuaru należały między innymi takie utwory jak: „Przeleciał ptaszek”, „Siadła pszczołka na jabłoni” i wiele, wiele innych... Do zespołu należeli: ja wraz z moim mężem Bolesławem, Zofia Kowalczyk, Maria i Stefan Śliwczyńscy, Helena Grzelak, Daniela Szczepaniak, Genowefa i Nikodem Jarczyńscy, Longina Szprync, Maria Karbowska, Helena Buda, Józefa Górka, Barbara Rosiakowska. Chciałabym jednak zaznaczyć, że nie są to wszystkie nazwiska. Osoby w zespole zmieniały się. Ja podaję tylko taki początkowy skład. Jeśli kogoś pominęłam, bardzo za to



przepraszam. Dawniej dożynki odbywały się na każdej wsi. Poszczególne miejscowości zapraszały nasz zespół na święto plonów, aby umilał owe obchody. Po zakończeniu dożynek soleckich organizowane były gminne w Kawęczynie. Pamiętam, że z SKR przyjeżdżał ciągnik z przyczepą, którą przepięknie ozdabiano kwiatami oraz liśćmi. Służyła ona za scenę. Nasz zespół działał do około lat 80. Potem zdarzało się, że jeśli zaistniała potrzeba, na czas występu, reaktywowano go.

### **Artystyczną duszę mieć**

Jak już wspomniałam w szkole bardzo lubiłam język polski. Od zawsze sferą moich zainteresowań była literatura – zwłaszcza poezja. Rozpoczęłam więc pisać wiersze. Niektóre z nich zostały opublikowane w tomiku „Dziedzictwo Kulturowe Wsi. Uczucia pisane słowem” wydanym przez PZU Spółka Akcyjna Inspektorat w Kole. W poezji tej ukazałam piękno pór roku, wyraziłam zachwyt nad otaczającą przyrodą. Państwu prezentuję dwa szczególne pt. „Prawdziwa miłość” oraz „Jezus wśród Nas”. Mam nadzieję, że się spodobają. Uwielbiam też muzykę. Śpiew to moja kolejna pasja. Na dyktafon nagrałam 140 utworów, bliskich memu sercu, towarzyszących mi w życiu.

## Z albumu Mirosławy Matczak

### Autorskie wiersze pani Mirosławy Matczak

#### PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

Lipcowy wieczór, już dzień ukolysany  
Chmury sunęły szybko po niebie  
Siedziałem pogrążony w myślach  
Szukając szczęścia dla siebie.

Czy warto kochać? Nie wiadomo  
A później cierpieć? Nie wiadomo  
Lecz być kochanym przez kogoś  
To zawsze jest wiadomo.

Mijały dni, tygodnie i miesiące  
Siedziałem zakłopotany na łące  
Wpatrując się w całun zieleni  
Ze z czasem los wszystko odmieni.

Boże- wskaż mi mą drogę  
Bym nie był zakłopotany  
Chcę być szczęśliwy, bez troski  
I zawsze kochany.

Utoruj mi drogę do szczęścia  
Utwierdź mi swoje zdanie  
A wtedy wykonam wszystko  
Co mi przez ciebie jest dane.

Otóż, znalazłem swe szczęście  
Znalazłem miłość wspaniałą  
Piękną, czystą, prawdziwą  
Lecz przez Boga mi daną.

Mirosława Matczak

#### Jezus wśród Nas

Całun śnieżny okrył ziemię całą  
Bóg okrył nas swoją chwałą  
Zima ścieciła się wśród nas  
I spokojnie mija czas.

Gdzie Ty jesteś Jezu drogi?  
Czy Ty czujesz ludzki ból?  
Ten zimowy powiew wiatru  
Jak narzeka ten lud Twój?

Jestem, jestem bardzo blisko  
Ciągłe pukam we drzwi twe  
Myślę, że zrobisz wiele  
Abym wstąpił w serce Twe.

Tam gdzie słońce już zachodzi  
Gdzie uciekła kwiatów woń  
Stoi Jezus w barwnych szatach  
I wyciąga do nas dłoń.

Tam gdzie księżyc w swojej pełni  
Pośród wielkich gór i las  
Stoi Jezus upragniony  
To nasz Brat i to nasz Pan.

On żyje. On żyje, żyje  
Tu jest wśród nas  
By uleczyć nasze serca  
I przemienić ciężki czas.

Juz schowały się ptaszka  
W ten poźniutki gęsty las  
A Pan Jezus uwielbiony  
Ciągłe kocha, wzywa nas.

On nas uczy swej miłości  
Koi nasze lzy łaskami  
Więc wolałby wszyscy razem  
Jezu. Zostań, zostań z nami.





## Wyróżnienie

dla  
*Matczak Mirosławy*

za udział  
w IV Kościeleckich Prezentacjach  
Dziedzictwa Kulturowego Wsi  
"Uczucia pisane słowem i folklor muzyczny  
na starych rodzinnych instrumentach"



Kierownik OZ WODR

Ewa Kwapiach

Kościelec, 29 listopada 2002



Szanowna Pani

*Mirosława Matczak*

Przewodnicząca  
Koła Gospodyń Wiejskich  
W Marczanowie

W związku z upływem

*III Kadencji*  
*Rady Gminy Kawęczyn*  
**1998 - 2002**

pragnę podziękować Pani za dotychczasową działalność.

Dziękuję Pani za trud, poświęcenie oraz owocną współpracę ze społecznością lokalną Koła Gospodyń Wiejskich, a także samorządem gminy Kawęczyn.

Wkład pracy wniesiony w działalność Pani organizacji miał wpływ na rozwój życia kulturalnego i społecznego wsi.

Doceniając zaangażowanie życzę Pani i za Pani pośrednictwem członkiniom Koła Gospodyń Wiejskich w Marczanowie zadołowania z pracy zawodowej oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Z wyrazami szacunku



Wójt  
Gminy Kawęczyn  
Jan Nowak

Kawęczyn, dn. 10 października 2002r.



Mirosława Matczak z kolegą Józefem Kaczmar-  
kiem podczas II wojny światowej, który wraz z  
rodziną został przesiedlony do Tokar z miejsco-  
wości Bobrowniki. Rok około 1941



Mirosława Matczak z rodzicami Stanisławą  
i Józefem Maciaszczykami. Tokary II,  
rok około 1941





Zespół z Marcjanowa na dożynkach w Marcjanowie w 2000 r. Od lewej: Zofia Kowalczyk, Halina Górską, Wiesława Kaźmierczak, Aneta Pawlic, Ewa Kozłowska, Bolesław Matczak, Mirosława Matczak, Genowefa Jarczyńska



Delegacja wieńcowa sołectwa Marcjanów. Od lewej: Zofia Kowalczyk, Mirosława Matczak, Danuta Szczepaniak, Helena Grzelak



*Śp. Wacław Jerzykowski*  
GŁUCHÓW





## Śp. Waclaw Jeżykowski 14.08.1913 r. – 14.11.2001 r.

Syn Stanisławy (z domu Wielgocka) i Marcina Jeżykowskich. Pasjonat muzyki, grający m.in. na skrzypcach, gitarze i akordeonie. Pracując w gospodarstwie rolnym, trudnił się też stolarstwem oraz pszczelarstwem. Kapral w 56 Pułku Piechoty Wielkopolskiej, dowódca drużyny w 29 Pułku Strzelców Kaniowskich. Walczył m.in. w obronie Krotoszyna, w Bitwie nad Bzurą, a także w obronie Warszawy i Twierdzy Modlin. Uczestniczył w pogrzebie Marszałka Józefa Piłsudskiego 18 maja 1935 r., wchodząc w skład delegacji swojego Pułku. W latach 1960-1974 pracownik Spółek Wodnych w Turku na stanowisku konserwator strażnik, z kolei od 1974 do 1986 r. pracownik Spółdzielni Kółek Rolniczych w Skarżynie z oddziałem w Chocimiu. Zajmował się wówczas pasieką, liczącą 200 uli. 19 października 1983 r. został odznaczony „Medalem za Udział w Wojnie Obronnej 1939”. Był członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację od dnia 12 stycznia 1977 r.

**W środowe popołudnie – 18 lipca 2018 r., udałam się do Głuchowa, na zaproszenie pana Janusza Jeżykowskiego. Opowiedział mi On historię życia swojego taty – Waclawa. Pan Janusz z ogromnym sentymentem wspominał długie rozmowy z ojcem, który walczył w obronie Ojczyzny, który z dumą oraz godnością nosił mundur Polskiego Żołnierza, bronił Polskich symboli i któremu dane było uczestniczyć w pogrzebie wielkiego przywódcy - Józefa Piłsudskiego. Mam nadzieję, że mój artykuł choć w małym procencie zobrazuje Państwu wspaniałość, ale przede wszystkim silną więź łączącą ojca i syna. To piękne, że rodzinne historie przekazywane są z pokolenia na pokolenie.**

### Zacznijmy od początku

*Mój tata, Waclaw urodził się 14 sierpnia 1913 roku w Klonowie (wówczas była to gmina Jeziorsko, powiat Turek, województwo poznańskie, obecnie –gmina Goszczanów, powiat sieradzki, województwo łódzkie). Jesliby żył, w sierpniu świętowałby 105 urodziny.*

*Dziadkowie (Stanisława z domu Wielgocka i Marcin Jeżykowsy), a więc rodzice taty, дочекали się 13 dzieci (dwoje zmarło), tata był najmłodszy. Dziadek trudnił się stolarstwem. Wykonywał: beczki, wozy, kołowrotki, mówiąc najogólniej – wszelakie przedmioty potrzebne w gospodarstwie. Wszystko było wtedy drewniane, toteż pracy nie brakowało. Fachu nauczył też swojego syna – Waclawa. W 1929 r., zmarł dziadek. Starsze rodzeństwo już się usamodzielniało, a w domu pozostała babcia z córką i 16-letnim Waclawem. Tata stał się więc głową*



rodziny, objął gospodarstwo (15 mórg), zaopiekował się schorowaną matką. Dodatkowo pracował w warsztacie, świadcząc usługi stolarskie. Czasem pomagał mu brat, mieszkający w Wilczkowie. Ponadto dorabiał, grając na weselach. Chciałbym jeszcze dodać, że kiedy miał około 14 – 16 lat pomagał też w sklepie u pana Kopalaka. Jeździł z nim po towar do Turku, za co otrzymywał np. sól lub cukier.

Tata opowiadał mi, że do kościoła do Jeziorska (10 km) chodził z innymi na pieszo, a co ciekawe - boso, by oszczędzać buty. W stawie obok świątyni myli stopy, zakładali trepy na Mszę, po czym znowu wracali boso do domu. Do komunii należało przystąpić na czczo. Tego dnia jedli więc dopiero obiad.

## Muzyczny świat

W 1923 roku tata rozpoczął naukę w Szkole Powszechnej w Klonowie. Ukończył 4 klasy, ostatnią w 1927 roku. Dziadkowie za edukację swojego syna musieli płacić. Nauczyciel taty przyjechał do Klonowa z Sieradza. Od państwa Pokrywieckich wynajął dom. Był muzykiem, toteż wszystkie dzieci uczyły się nut i gry na skrzypcach. Mój tata również. Muszę nadmienić, że dziadek Marcin też grał, był jednak samoukiem. Skrzypce wystrugał sobie z drewna, z kolei struny wykonał z końskiego włosia. Mały Waclaw wykazywał muzyczne zainteresowania, toteż dziadek zdecydował się zapłacić, by syn mógł pobierać dodatkową lekcję muzyki. W wieku 13 lat grał już na weselach. W książeczce wojskowej, w rubryce dotyczącej zawodu widnieje wpis – „muzyk”. Niezwykle cennymi pamiątkami dla naszej rodziny są skrzypce (Stainer z wygrawerowanym 1622 rokiem) i gitara taty, przywiezione z Niemiec.

## Tatę wcielono do 56 Pułku Piechoty Wielkopolskiej

16 marca 1935 roku tata (mając 22 lata) został wcielony do 56 Pułku Piechoty Wielkopolskiej i przydzielony do 4 kompanii strzeleckiej. Pułk ten powstał w marcu 1919 r. jako 2 Pułk Strzelców Wielkopolskich. Pierwszym dowódcą był podporucznik Antoni Nieborak. W czasie powstania wielkopolskiego wchodził w skład 1 Dywizji Strzelców Wielkopolskich, którą zmieniono na 14 Dywizję Piechoty Wielkopolskiej. Od 1921 roku należał do 25 Dywizji Piechoty w Kaliszu. W 1920 roku jego nazwę zmieniono na 56 Pułk Piechoty Wielkopolskiej. Stacjonował w garnizonie Krotoszyn. Ojciec, z racji tego, że ukończył 4 klasy, w sierpniu 1935 r. został przydzielony do szkoły podoficerskiej, na zakończenie której otrzymał nagrodę książkową. W lutym 1936 roku mianowano go na starszego strzelca i przydzielono do 7 kompanii strzeleckiej. 16 października otrzymał

awans na kaprala. W 1937 r. został przeniesiony do rezerwy. W 1992 r. otrzymał od WKU propozycję otrzymania stopnia podporucznika, którą odrzucił.

### **„Żołnierzu, nigdzie nie wychodź, bo utną Ci głowę”**

Ojciec bardzo dobrze wypełniał swoje obowiązki, był znakomitym strzelcem. Swoją pierwszą przepustkę otrzymał na żniwa, by pomóc matce. Kiedy siostra wyszła za mąż, szwagier zajął się gospodarstwem. Tata kolejny „urlop” mógł więc spędzić u drugiej siostry, mieszkającej wraz z mężem (komendantem posterunku) w Żółkwi (niegdyś mieście należącym do Polski, dziś teren Ukrainy, obwód lwowski). Z odwiedzin tych – zachowały się fotografie, będące dla nas cenną pamiątką. Tata opowiadał, że kiedy przyjechał do owego miasta, zastała go już noc. Wysiadając w mundurze na stacji, kolejarz zwrócił się do niego słowami: „Żołnierzu, nigdzie nie wychodź, bo utną Ci głowę”. Całą noc spędził więc w tym miejscu i dopiero rano udał się do siostry oraz szwagra.

### **Tacie, dane było uczestniczyć w ostatniej drodze Józefa Piłsudskiego**

Tata, będąc w wojsku, został wybrany w skład delegacji, uczestniczącej w pochówku Józefa Piłsudskiego. W maju 1935 roku, wraz z innymi żołnierzami udał się ze sztandarem swojego pułku do Krakowa, by oddać hołd wielkiemu przywódcy. Ciało Marszałka zostało złożone w krypcie św. Leonarda na Wawelu. W ostatniej drodze Piłsudskiemu towarzyszyło ok. 250 tys. osób, w tym przedstawiciele 16 państw. W pochodzie niesiono 60 wieńców. Porządek utrzymywało ok. 5 tys. żołnierzy. Tata widział trumnę, oddał zmarłemu cześć, a także uczestniczył w usypywaniu kopca, który po śmierci Józefa Piłsudskiego został nazwany jego imieniem. Muszę dodać, że jest on największy w Polsce (35 m wysokości), a znajduje się w Lesie Wolskim. Stanowi on pomnik walki narodu o niepodległość. Sypanie trwało od 1934 do 1937 r. Ziemia pochodzi ze wszystkich pól bitewnych I wojny światowej, na których walczyli Polacy.

### **Nadchodzi wrzesień 1939 r.**

Służba ojca w 56 pułku trwała 2 lata. W 1937 roku wrócił do matki. Dalej zajmował się gospodarstwem, pracował w warsztacie stolarskim i grywał na weselach. Nieubłagalnie nadchodził jednak wrzesień 1939 roku. Sytuacja w kraju spowodowała, że w sierpniu powołano tatę do odbycia ćwiczeń wojskowych. Został on dowódcą drużyny w 29 Pułku Piechoty (tj. 29 Pułku Strzelców

Kaniowskich), który wraz z 56 Krotoszyńskim Pułkiem oraz 60 Ostrowskim Pułkiem utworzył 25 Dywizję Piechoty, dowodzoną przez gen. bryg. Franciszka Altera. Ponadto Dywizja ta wchodziła w skład Armii „Poznań” gen. Tadeusza Kutrzeby.

1 września rozpoczęła się wojna z Niemcami. Tata walczył w 25 Dywizji - w 29 pułku piechoty – 9 batalionie strzelców – 82 kompanii czołgów rozpoznawczych. Po walkach granicznych pod Krotoszynem, Dywizja wycofuje się, ruszając w kierunku Kalisza, Kamienia, Turku, Uniejowa i Łęczycy, by następnie wziąć udział w Bitwie nad Bzurą (podczas postoju w Przykonia, ojcu udało się na moment odwiedzić dom). Tata opowiadał, że zginęło wówczas wielu ludzi. Warunki były niezwykle ciężkie. Brakowało żywności, amunicji. Wodę czerpano z rzek, w których płynęło wszystko – konie, wozy, a nawet ludzkie ciała... Dowódca zakazywał spożywania wody nieprzegotowanej. Dywizji udało przebić się do Puszczy Kampinoskiej, a następnie do Warszawy, gdzie wraz z Armią „Warszawa” walczyła w obronie stolicy, aż do jej kapitulacji 28 września.

### **Tata walczył w obronie Twierdzy Modlin**

20 września, tata został ranny. Odłamek trafił w jego lewą nogę. Mimo to walczył w obronie Twierdzy Modlin. Wiem, że dowódcą kompanii był kapitan Mieczysław Szadkowski. Ojciec opowiadał, że były to czasy niewyobrażalnie straszne. W lejach po bombach leżały drzewa, korzeniami do góry. Niewielu ocalało. Udało im się przebić do samej Warszawy, jednak Niemcy doprowadzili do jej kapitulacji. Tata wraz z innymi dostał się do niewoli. Dowódca rozkazał wówczas, aby żołnierze wyrzucili swoje książeczki wojskowe i oderwali od mundurów Godła, przez wzgląd na to, że Niemcy mieli zwolnić szeregowców, a podoficerów i oficerów wysłać do obozów. W ten sposób, kapitan uratował swoich żołnierzy, w tym mojego tatę, który był w stopniu podoficera. Sam Szadkowski nie uczynił tego, zachował symbole Polski, wyjaśniając, że jego dane znane są Niemcom. Tata swojego Orła zdołał ocalić, ukrywając go w bucie. Po latach opowiedział jego historię, przekazując mi go na własność. W Bitwie nad Bzurą tata stracił hełm, przez który przeszła kula, strąciwszy mu go z głowy. Nie było czasu, by go szukać, a nowego niestety nie dostał. Dalej walczył w rogatywce. Orzeł przyszyty był właśnie do owej czapki wojskowej. Przechowywał go wiele lat w ukryciu. Kiedy w 1984 r., przyjechałem z wojska na przepustkę, tata zawołał mnie do pokoju, wyjął go i opowiedział jego dzieje. Zakazał komukolwiek o tym mówić, przez wzgląd na ówczesne czasy, dodając „Taki Orzeł jeszcze do nas wróci”. I wrócił...



Odnosząc się do kwestii rannej nogi, muszę dodać, że odłamek tkwił w ciele taty przez 14 dni, co wywołało nieodwracalne skutki. Noga już na zawsze pozostała ciemna. W niewoli trafił do szpitala, gdzie jako sanitariusze pracowali Czesi, którzy usunęli odłamek. Niemiecki dowódca dał mu przepustkę, dzięki której wrócił do domu. Po 3 tygodniach podróży – 2 listopada 1939 r. dotarł do Klonowa. Kiedy go zatrzymywano, okazywał przepustkę i ruszał dalej. Bardzo utykał na nogę, musiał trzymać się ścian. Jeszcze w Warszawie zauważył go starszy człowiek, który oddał mu swoją laskę. Przechowuję ją do dziś, jako kolejną wartościową pamiątkę. Muszę nadmienić, że warunkiem powrotu taty w rodzinne strony był nakaz podjęcia przez niego pracy u Niemca na rzecz III Rzeszy, w przeciagu 3 miesięcy. W przeciwnym razie zostałby wysłany na przymusowe roboty do Niemiec. Sąsiadem ojca był mieszkający w Polsce od lat - Niemiec o nazwisku Felhner. Prowadził kuźnię. Doczekał się 3 córek, toteż nie miał mu kto pomóc. Dodam, że z Polakami utrzymywał przyjazne stosunki. Wszystko ułożyło się w jedną całość. Ojciec rozpoczął pracę u Felhnera, który bardzo potrzebował pomocnika. Pojechali więc razem do Jeziorska - do urzędu, który zajmował się rejestracją pracowników, aby być pewnym, że taty nie zabiorą do Rzeszy. Niemiec ten był dobrym człowiekiem. Kiedy otrzymał przydział na świnię, jedną ofiarował ojcu.

Wiem, że podczas wojny w Głuchowie zastrzelono pana Krotowskiego z Milejowa, który wraz z tatą przed wojną grywał na weselach. Wychodząc z Antonim Frątczakiem od państwa Marciniaków, zostali zauważeni przez hitlerowców. W strachu zaczęli przed nimi uciekać. Niemcy postrzelili pana Krotowskiego, zabijając go. Pan Frątczak zdołał uciec.

## **Historia mojej mamy Leokadii**

Moja mama Leokadia z domu Duczyc urodziła się 6 listopada 1921 r. Pochodziła z Nowego Światu. Dziadkowie, a więc jej rodzice, bardzo wczesnie zmarli, osieracając ją w wieku 7 lat. Zopiekowała się nią rodzina z Kwiatkowa (gmina Brudzew) o nazwisku Kosciarz. Z kolei jej siostra została wychowana przez siostry Nazaretanki w Częstochowie. Zastępcza matka - mojej mamy przyjaźniła się z dziedziczką Janiszewa (gmina Brudzew). Kobieta ta darzyła moją przyszywaną babcię dużym zaufaniem i szacunkiem, chętnie jej pomagała, a nawet opłaciła małej Leokadii szkołę oraz internat w Kościelcu. Mama uczęszczała tam przez 3 lata. Wychodziła w poniedziałek o świcie, wracała w sobotę po południu – zawsze na pieszo. Była to szkoła rolnicza, w której oprócz lekcji teoretycznych, odbywały się też zajęcia praktyczne. Uczniowie musieli uprawiać ogródki, dbać o warzywa, siać rośliny, ponadto doili krowy, uczyli się szyć oraz haftować. Mama po ukończeniu szkoły, w wieku 16 lat została główną gospodynią w dworze w Janiszewie. Pracowała tam do 1939 roku. Wybuch II wojny światowej, spowodował, że jej pracodawcy musieli uciekać przed

hitlerowcami. Ci wysiedlili mamę do Wilczkowa, a więc blisko Klonowa – blisko mojego taty. Tam pracowała u Niemców o nazwisku Hilman. Ponownie próbowano ją przenieść, ale nie zgodził się na to ów niemiecki gospodarz. Był schorowany i wycieńczony udziałem w I wojnie światowej, potrzebował pomocy w gospodarstwie, toteż mama pracowała u niego aż do zakończenia wojny. W tym czasie poznała tatę. Rodzice pobrali się w 1945 roku. Niemka zawsze mierzyła słoninę, zaznaczając ją krzyżykiem. Mama wraz z pokojówką wiedziały o tym, dlatego zawsze po odcięciu małego kawałka ponownie ją oznaczały. W nocy smażyły słoninę, jadły ją, a potem dokładnie sprzątały, by nie wzbudzić podejrzeń.

### **Rosjanie zabrali rower**

Tata, grywając na weselach, zarobił pieniądze, za które kupił francuski zegarek na rękę oraz rower. Kiedy szedł na wojnę, ów jednoślad owinął w szmaty i schował go w słomie. Jak wiemy zakończenie wojny nie przyniosło Polsce wolności. Ojczyzna została opanowana przez Rosjan, którzy w bestialski sposób próbowali nas zniszczyć. Kradli i wyrządzali ludziom ogromną krzywdę. Rower został oczywiście przez nich zabrany. Pewnego dnia do taty przyjechali owi NKWD-ziści. Twierdzili, że posiadają informacje, iż jest kapralem. Ojciec pokazał im dokumenty, zaświadczające, że jest jedynie szeregowcem. Nie wzięli tego pod uwagę. Rozkazali, by w ciągu 15 minut spakował się i wyszedł z nimi. Zawieźli go do Sieradza. Tam formowali wojsko z osób zebranych z całej okolicy. Nie biorąc pod uwagę żadnych uprawnień, doświadczenia i wyszkolenia, drogą przypadku - jednych przydzielili do piechoty, drugich do artylerii. Wojsko to ruszyło na Błaszki, Wrocław, w kierunku Berlina. Doszli tylko do Essen, po czym wrócili się do Gubina, gdzie przez jakiś czas stacjonowali. Dowództwo było sowieckie, polski oficer nie znaczył nic. Kapitanem był Zacharow, a dowódcą plutonu Malicki z Konina. Bliskim kolegą taty z kompanii został Antoni Kowalski z Turku (z ulicy Kolskiej). Przyjaźń ta przetrwała wiele lat. Często potem się odwiedzali. Pan Antoni jadąc w kierunku Błazek, zawsze wjechał chociażby na 5 minut, by porozmawiać z ojcem. W książeczce wojskowej widnieje wpis, iż tata z działań wojennych wrócił 28 sierpnia, a tak naprawdę był to dzień 28 września – jego imieniny. W dokumentach pisali to, co chcieli, nie zważali na prawdziwe daty. Z Niemiec tata przywiózł rower oraz kuchnię, która służyła nam 30 lat. Pamiętam, że była pięknie zdobiona. Jednoślad został mu zabrany. Ponadto jego cennymi nabytkami, przywiezionymi z Niemczech były gitara oraz skrzypce, stanowiące kolejne pamiątki po ojcu.

## Życie po wojnie

Z wojny nie wrócił szwagier taty, toteż ojciec zajął się gospodarstwem w Klonowie, dorabiając w warsztacie stolarskim. Pierwszy mój brat Jan zmarł niebawem po urodzeniu. W 1947 r. na świat przyszła siostra Maria, która również zmarła. Po niej w 1950 r. urodziła się siostra Janina, w 1953 r. – Krystyna, w 1956 r. – Anna, ja z kolei w 1963 r. Siostra taty ponownie wyszła za mąż. Ojciec w 1953 r. zakupił więc posiadłość, w której obecnie mieszkam. Kiedy przeprowadził się z mamą do Głuchowa, na działce znajdował się dom z dwoma pomieszczeniami. Tata rozpoczął zatem jego remont i rozbudowę. Dokupił ziemię. Ponadto dalej dorabiał w stolarni, która mieściła się w Klonowie. Latem dojeżdżał tam rowerem, zimą chodził na pieszo.

Wuj mojego ojca o nazwisku Piekielny, mając handlowe doświadczenie został przyjęty jako sklepowy do Gminnej Spółdzielni. Odbierał towar, który przywożono około 22.00. Pewnego razu, gdy czekał wraz z moim tatą na produkty, do sklepu wtargnęli nieznajomi. Celując w nich bronią, zabrali wszystko, co znajdowało się na półkach. Oznajmili, że nigdzie nie mogą zadzwonić przez dwie godziny. Zagrozili, że jeśli zauważą, że w tym czasie będą próbowali dostać się do Kaszewa, gdzie znajdował się telefon – odstrzelą im głowy. Dopiero po upływie wyznaczonego czasu, ojciec i jego wuja zawiadomili milicję. Zabrano ich do Turku i poinformowano, że nie zostaną wypuszczeni do domu, dopóki nie powiedzą, kim byli złodzieje. Zwolniono ich dopiero po 48 godzinach.

## Prace nad regulacją rzeki Teleszyny

W 1960 r. tata zatrudnił się jako cieśla przy pracach nad regulacją rzeki Teleszyny. Wykonywał m. in. szalunki na zapory. Następnie rozpoczął pracę w Spółkach Wodnych w Turku jako konserwator strażnik. Czasem, kiedy opuszczano zapory, rzeka wylewała na łąki. Tata musiał wówczas jechać w odpowiednie miejsce i je podnosić. W 1966 roku zdobył nawet IV miejsce w Konkursie Łąkarskim. Ponadto posiadał pasiekę - najpierw w Klonowie, a potem w Głuchowie. Swojego czasu miał 80 uli. Przez 12 lat do 1986 r. pracował w Spółdzielni Kótek Rolniczych w Skarżynie z oddziałem w Chocimiu, zajmując się utworzoną tam pasieką liczącą około 200 uli. W 1972 roku (wraz z panem Tomczakiem ze Stanisław) ukończył kurs pszczelarstwa w Kościelcu, otrzymując tytuł Mistrza. Obydwoje w ramach wolontariatu sprawdzali pasieki na naszym terenie, doradzając we wszelakich kwestiach. Tata po przejściu na emeryturę, pomagał mi w gospodarstwie. Zmarł 14 listopada 2001 roku w wieku 88 lat.



## Wspomnienia tak ważne...

*Wieczorami, a także podczas wszelakich świąt tata zawsze opowiadał nam swoje losy... Ze łzami w oczach mówił o piekle okupacji, uczył historii, życzył nam, abyśmy nigdy nie doczekali czasów wojny, których on sam doświadczył. Chciał, abyśmy znali dzieje naszej rodziny. Wspomnienia, pamiątki, fotografie odgrywały dużą rolę w jego życiu.*

*Dawniej nie było telewizji, komputerów, a nawet prądu. Wieczory były długie, toteż ludzie spotykali się, by razem spędzić czas, wspominając minione dzieje. Pamiętam, że takie rozmowy często prowadzili: Józef Michalski, Michał Kwinciak, Stanisław Szuszwalak, Antoni Frątczak i mój tata. Spotykali się u nas w kuchni. Zajadając się ciastem drożdżowym, opowiadali swoje historie - przed i powojenne.*

### Z albumu Janusza Jeżykowskiego



Orzeł, oderwany od rogatywki kaprała Wacława Jeżykowskiego –ocalony z piekła II wojny światowej, przechowywany wiele lat w ukryciu, aż do czasów wolnej Polski

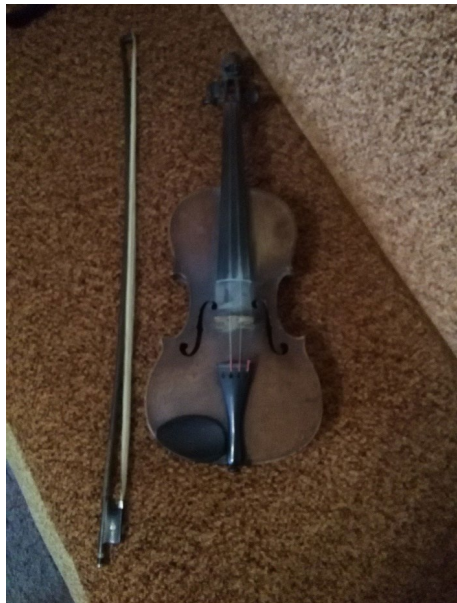


Praca nad regulacją rzeki Teleszyny w Głuchowie - rok około 1973



Wacław Jeżykowski - kapral w 56 Pułku Piechoty Wielkopolskiej - rok około 1936





Pamiętki po Wacławie Jeżykowskim. Gitara i skrzypce przywiezione z Niemiec około 1945 r.



IV klasa Szkoły Powszechnej w Klonowie (wraz z nauczycielem), do której uczęszczał Wacław Jeżykowski. Na zdjęciu: I rząd od góry, drugi od prawej - w krawacie. 8 maja 1927 r.





56 Pułk Piechoty Wielkopolskiej. Waclaw Jeżykowski I rząd od góry, trzeci od prawej



6 Kompania Szkolna 56 Pułk Piechoty Wielkopolskiej 20.09.1936 r.-29.02.1936 r.

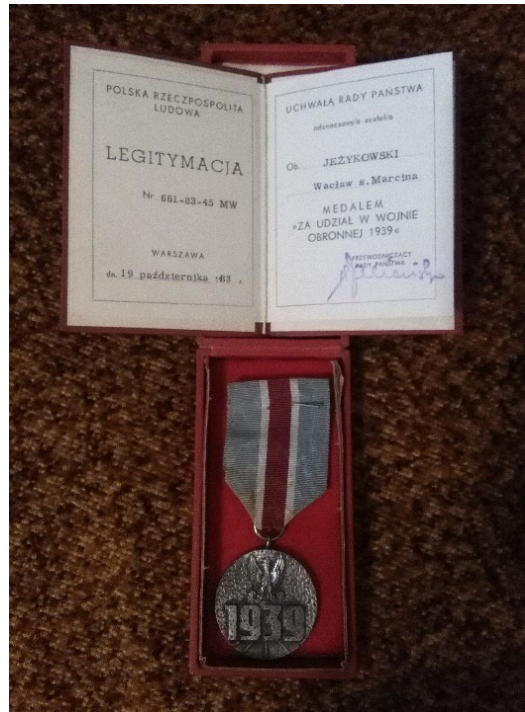


Ćwiczenia 56 Pułku Piechoty Wielkopolskiej



Na zdjęciu jedną z osób jest Wacław Jężykowski w trakcie usypywania kopca w Krakowie - 1935 r., który po śmierci Józefa Piłsudskiego został nazwany Jego imieniem





Odnaczenie Wacława Jeżykowskiego za udział w wojnie obronnej 1939 r.



Wacław Jeżykowski podczas przepustki u siostry w miejscowości Żółkiew (obecnie Ukraina).  
Na zdjęciu ze siostrą i jej dziećmi





Wacław Jeżykowski przy jednym ze swoich 200 uli. Lata 70 – XX wieku



Dyplom dla Wacława Jeżykowskiego w Konkursie Łąkarskim – 1966 r.



*Śp. Adamina Zofia Bilska*

DZIEWIĄTKA





## Śp. Adamina Zofia Bilska

26.03.1934 – 30.12.2011 r.

Córka Władysławy (z domu Sitarek) i Wojciecha Jaroszewskich. Z mężem Wacławem Bilskim prowadzili gospodarstwo rolne, najpierw w Warencie (do 1967 r.), a następnie w Dziewiątce. Przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich w Dziewiątce. Laureatka ogólnopolskiego konkursu na najlepszy produkt żywnościowy, ogłoszonego w 2000 roku przez tygodnik „Gospodyni”, Program I Polskiego Radia i Fundusz „Agrolinia 2000” w kategorii „Produkty i przetwory pochodzenia zwierzęcego”. Jej wyroby czyli ser, chleb oraz masło doceniane były w Polsce oraz za granicą. Wielokrotnie nagradzana na targach w Kościelcu oraz Warszawie. Postrzegana była jako ikona zdrowej żywności. W 2000 roku została opisana w Gazecie Poznańskiej w artykule „Najlepszy ser w kraju pochodzi z gminy Kawęczyn. Lubią go nawet Francuzi”, z kolei w 2002 roku w „Expresie Powiatowym” Konina w artykule „Bochen życia”. Interesowało się nią również „Echo Turku”, któremu udzieliła wywiadu w 2000 roku.

Do napisania kolejnego artykułu z cyklu „Wspomnień blask” zainspirowała mnie uczennica gimnazjum Natalia Górską z Ciemienia - jedna z uczestniczek konkursu „Pochwal się swoimi przodkami”, zorganizowanego przez Miłośników Dziejów i Tradycji Regionu, działających przy Stowarzyszeniu Kawęczyńskie Towarzystwo Rozwoju. Miałam zaszczyt zasiąść w komisji oceniającej biografie, co było dla mnie ogromnym wyróżnieniem, a także cennym doświadczeniem i sporą dawką regionalnej wiedzy. Natalia przedstawiła swoją prababcie – Śp. Adaminę Zofię Bilską. W jej pracy czytamy, że „upływ czasu, wyznaczany przez kolejne daty, zmusza do zastanowienia się nie tylko nad dziejami świata, ale także nad historią osobistą. Życie składa się ze zwykłych dni, sennych poranków i szarych zmierzchów. W czasie terażniejszym często nie dostrzegamy, że właśnie dzieje się coś ważnego. Dopiero po latach nasze powszednie dni i noce układają się w kolorowe wspomnienia”. Przedstawiam zatem państwu wspomnienia nastoletniej dziewczyny o swojej prababci, które zostały jej przekazane przez babcię Irenę Górską.

### Trudy dzieciństwa

*Na moją prababcie mówili nie Adamina, a Zofia, posługując się jej drugim imieniem. Urodziła się 26 marca 1934 roku w miejscowości Jeziórko (gmina Przykona). Kiedy miała 5 lat, zmarła jej mama (Władysława). Tata mojej prababci (Wojciech) był gospodarzem. Śp. Adamina wraz ze*



starszym o 3 lata bratem, jako mała dziewczynka pasła gęsi i krowy. W domu panowały trudne warunki. Często nie było chleba, więc pradziadek Wojciech gniótł placek z gotowanych ziemniaków oraz mąki, a potem piekł go na blaszanej kuchni. Rzadko zdarzało się, że dzieci dostały bułkę lub cukierka (z barwnikiem, krochmalem i sacharyną). Była to wówczas wielka uroczystość. Ponadto prapradziadek suszył własnoręcznie zrobioną kielbasę i kazał żuć dzieciom, by nie czuły głodu. W 1941 r. ożenił się ponownie. Prababcia doczekała się trójki przyrodniego rodzeństwa – siostry i dwóch braci.

Pomagała macosze w pracach domowych i przy wychowaniu dzieci. Ze względu na trudne warunki materialne, mała Adamina po ukończeniu szkoły podstawowej, nie mogła podjąć dalszej nauki. Marzenia o tym, aby zostać pielęgniarką legły w gruzach. Musiała się utrzymać, zarobić pieniądze, by przetrwać. Chwytała się więc każdego zajęcia. Pracowała w polu lub w zagrodach. Służyła ludziom pomocą w dzień i w nocy – dawała zastrzyki, a także stawiała bańki.

Babcia Irena mawia, że niespełnione pragnienia, nawet nie do końca uświadomione, kompleksy, urazy emocjonalne wzięły udział w kształtowaniu świadomości i przebiegu życia jej mamy – Śp. Adaminy Zofii.

## Przeprowadzka do Gminy Kawęczyn

Mając 19 lat, prababcia wyszła za mąż za swojego pradziadka -Wacława Bilskiego. Trudnił się on rolnictwem, był starszy o 15 lat. Po ślubie młoda Adamina zamieszkała u męża w Warence (gmina Turek). Pradziadkowie zajęli się gospodarstwem rolnym, które otrzymali od rodziców Wacława. Doczekali się dwóch córek (jedna zmarła na krztusiec, mając zaledwie 4 miesiące) oraz dwóch synów (jeden z nich zmarł w wieku 41 lat). Przez wzgląd na to, że Warenka jest wsią sąsiadującą z odkrywkową kopalnią węgla brunatnego „Adamów”, toteż w 1967 r. zostali wysiedleni z tegoż miejsca. Kupili gospodarstwo rolne w Gminie Kawęczyn. Wszystkie budynki musieli postawić od nowa. Brak pieniędzy zmusił pradziadka do wyjazdu do pracy w cukrowni w Środzie Wielkopolskiej. Od września do lutego prababcia zostawała z dziećmi na gospodarstwie. Sama pracowała w polu, zastępując męża. Ponadto musiała też się zająć dziećmi, domem, podwórkami, zwierzętami. Była nauczona ciężkiej pracy, nigdy się zatem nie użalała. Wstawała o trzeciej rano i jechała furmanką do kopalni „Adamów” po węgiel drzewny tzw. brykiet, by zapewnić dzieciom opał na zimę. Bywały nieprzespane noce, chwile gorsze. Nigdy się jednak nie poddawała. Pradziadek Wacław zmarł w 2005 roku.

## Dom pachniał chlebem i mlekiem

Już jako młoda dziewczyna piekła chleb i ciasta drożdżowe. Robiła to przez całe swoje życie. Zajmowała się wyrobem masła oraz sera. Cały dom pachniał chlebem i mlekiem. Do wypieków służył jej stary piec chlebowy, mieszczący się w „parniku” - budynku gospodarczym. Mleko kwaśniało w garnkach. Masło i ser układała na liściach chrzanu. Chleby były różnej wielkości. Na te, ważące ponad kilogram - mówiła „buleczki”, dopiero te ponad 3 kg nazywała chlebem. Były one pieczone z mąki żytniej, wody oraz mleka. Dodawała też soli, wyrabiając kwas chlebowy, który rósł przez noc. Na drugi dzień przygotowywała ciasto. Jak wspomniałam wyżej mleko na twaróg kwaśniało w garnkach. Potem prababcia podgrzewała je na małym ogniu, a następnie odlewała serwatkę, przecedzając gotowy już gzik przez lnianą tkaninę. Masło przez lata wyrabiała w drewnianej maselnicy, a potem w kanie na mleko. Zawsze mawiała, że z chlebem jest jak z ludźmi – nie z każdej mąki będzie chleb i nie z każdego mleka – twaróg oraz masło. Do jednego i drugiego oprócz podstawowych składników trzeba dodać jeszcze trochę czasu, chęci i serca.

### Sukcesy...

Ser prababci został zgłoszony przez Gminę Kawęczyn do ogólnopolskiego konkursu na najlepszy regionalny produkt żywnościowy, ogłoszonego przez tygodnik „Gospodyni”, Program I Polskiego Radia i Fundusz „Agrolinia 2000” w kategorii „Produkty i przetwory pochodzenia zwierzęcego”. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu – zwyciężyła i w nagrodę otrzymała sprzęt gospodarstwa domowego. Prababcia w wywiadzie do „Echa Turku” mówiła, że nie spodziewała się, że coś wygra, że to dla niej ogromne zdziwienie, ale jednocześnie wielka radość. Prababcia pół dnia ogrzewała garnki, by z mleka odeszła serwatka, a potem kolejne pół dnia klarował się właściwy ser. Zainteresowanie jej produktami było bardzo duże, wiele osób zamawiało owe wyroby – nawet z samej Francji.

Kolejnym sukcesem był udział w VIII Konińskich Targach Rolno-Spożywczych w dniach 23-24 września 2000 roku w Koninie. Stoisko Gminy Kawęczyn (jedyne z powiatu tureckiego), udekorowane przez Alinę Bartosik – wówczas nauczyciela Szkoły Podstawowej w Tokarach - było bardzo oblegane. Działo się to za sprawą produktów prababci, ale również pana Henryka Pietrzaka, który częstował boczniakami, pana Stanisława Tomczaka z Będziechowa – serwował miód oraz pani Ireny Galewskiej, oferującej swoje wypieki. Grupa producencka „Zielona Dolina” przedstawiała własne oferty w formie ulotek. Za promocję małej przedsiębiorczości wiejskiej, Gmina Kawęczyn otrzymała nagrodę w postaci pucharu oraz dyplomu Konińskiej Izby Gospodarczej. Podczas Kulinariów wystawców wspierali: Jan Nowak – Wójt Gminy Kawęczyn, Halina Ambro-

ziak – wówczas inspektor ds. promocji i rozwoju, przedstawiciele Stowarzyszenia Producentów Rolnych „Zielona Dolina” Tomasz Gośliński i Ryszard Jagiela, a także Katarzyna Łuczak z Biura Porad Obywatelskich. Prababci pomagała jej córka, a moja babcia Irena Górka. Muszę nadmienić, że odbyły się też występy oraz pokazy artystyczne. Naszą Gminę w tym zakresie reprezentował Zespół Ludowy „Sami Swoi” ze Żdżar.

## **Ikona zdrowej żywności**

Moja prababcia była ikoną zdrowej żywności. Często interesowały się nią media. Promowała naszą gminę na wszelakich targach żywności. Za twaróg, jako najlepszy produkt regionalny otrzymała nagrody w Kościelcu i Warszawie. Była osobą znaną w kraju i za granicą. Wszystkie swoje wyroby wytwarzała w skromnych warunkach, ale zawsze w czystości. W domu nie było bieżącej wody, ani centralnego ogrzewania. Wodę czerpała ze studni, nosząc ją w wiadrach do mieszkania. Dom ogrzewała kuchnią, na której gotowała, z kolei pokoje piecem kaflowym.

Pełniła też funkcję przewodniczącej Koła Gospodyń Wiejskich w Dziewiątce, angażowała się w sprawy Rady Parafialnej. Na wszystko zawsze znajdowała czas. Dbła o porządek. Kochała kwiaty. Prowadziła otwarty, życzliwy dom, obok którego na starej gruszy, swoje gniazdo uwiły bociany. Jej produkty były wspaniałe, bo wytwarzała je z sercem. Nigdy nie skarżyła się na swój los. Zawsze uśmiechnięta, służyła radami, wzbudzała duże zaufanie.

## **Życie trzeba umieć**

Na zakończenie chciałabym przytoczyć jej słowa „Praca nigdy nie szkodzi, tylko stres wykańcza człowieka. Życie trzeba umieć, jakże często bowiem żyć nie potrafimy. Dobre życie jest umiejętnością. Jesteśmy biegli w wielu umiejętnościach, ale mało kto opanował umiejętność życia. O tym, czym jest życie, dowiadujemy się najczęściej wtedy, gdy właściwie musimy powiedzieć, że dobiega ono końca”.

Prababcia zmarła 30 grudnia 2011 roku w wieku 77 lat. Zachorowała na zapalenie płuc. W chwili jej śmierci miałam 9 lat. Uważam, że żyła tak, jak głosi sentencja „Żyj tak, żeby ślady twych stóp przeżyły Ciebie”. Ludzie o niej pamiętają, nadal żyje w ich sercach. Mówią, że czują zapach piekącego się chleba, świeżego masła i sera, przejeżdżając obok jej gospodarstwa. Chciałabym dać ludziom tyle dobra, co moja prababcia. Zapamiętam ją jako osobę wesołą, pogodną, zawsze przez kogoś odwiedzaną.



## Z albumu Ireny Górskiej – córki Śp. Adaminy Bilskiej



Na zdjęciu kopanka, służąca do wyrobu ciasta chlebowego. Miski słomiane, w których wyrastał chleb.  
Drewniana łopata do wsadzania chleba do pieca oraz gliniany garnek, w którym Śp. Adamina  
robiła zaczyn do chleba z mąki i wody



Śp. Adamina Bilska z córką Ireną Górską



Wyjazd Kół Gospodyń Wiejskich do Poznania rok 1971. Od lewej: Adamina Zofia Bilaska, Krystyna Gibasiewicz, Marianna Kit, Eugenia Glapińska, Zdzisława Statucka, Pawlaczyk, Bartosik, Niestrata, Łyskawa, Przygońska



Ciemień 1995 rok, od lewej: Elżbieta Fornalczyk, Adamina Zofia Bilaska, Krystyna Ambroziak

## Zdobyte dyplomy

# Dyplom Uznania

dla

Pani

*Zofii Bilskiej*

za prezentację swoich produktów  
i promocję gminy

podczas

**VIII Kiermaszu Rolno-Spożywczego  
„Kulinaria”**

**23-24 września 2000r.**

w Koninie

Prezes  
Konińskiej Izby Gospodarczej  
Magdalena Pleszńska

Wójt  
Gminy Kawęczyn  
Jan Nowak



TYGODNIK  
**gospodyni**

WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE  
„NASZE KULINARNE DZIEDZICTWO”  
DLA

*Zofii Bilskiej*

za

*ser twarogowy wiejski*

Kategoria: „Produkty zwierzęce”

*- ser*

Przewodniczący jury

Organizatorzy

Warszawa, dn. 20 czerwca 2000 r.



## Materiały prasowe o Adaminie Zofii Bilskiej

### Kawęczyn

Sukcesem nazwał wójt Jan Nowak udział gminy Kawęczyn w VIII Konińskich Targach Rolno-Spożywczych. Za właściwą promocję małej przedsiębiorczości wiejskiej, samorząd otrzymał prestiżową nagrodę jaką jest puchar i dyplom Konińskiej Izby Gospodarczej.

Gmina po raz pierwszy wzięła udział w tych targach, ale jak zapewnia wójt nie po raz ostatni. Ich niewielkie (zaledwie 9 m) stoisko cieszyło się wyjątkową popularnością. Dużą w tym zasługą wystawców, którzy stanęli na wysokości zadania. Henryk Pietrzak oferował estetycznie opakowane porcje

bocznika, do których dodawał przepisy na ich przyrządzenie. Stanisław Tomczak z Będziechowa proponował miód i inne pszczele

produkty opatrzone własnymi oryginalnymi nalepkami. Pani Zofia Bilśka z Dzięwiątki zapraszała na degustację swojego smakowitego sera wiejskiego. Właścicielka piekarni i młyna w Marcanowie Irene Galewska nawiązała liczne kontakty z handlowcami.

Grupa producencka „Zielona Dolina” na razie jedynie w formie ulotek przedstawiła swoją ofertę. O ciekawy, kolorowy wystrój stoiska zadbała pani Alina Bartosik - nauczycielka ze Szkoły Podstawowej w Tokarach. Wójt Jan Nowak uważa, że przygotowania do przyszłorocznej imprezy targowej należy rozpocząć już na wiosnę. Zakłada, że ilość wystawców z gminy Kawęczyn zwiększy się (być może nawet dwukrotnie), a co za tym idzie należało będzie powiększyć powierzchnię wystawienniczą. (art)

## Targowy sukces

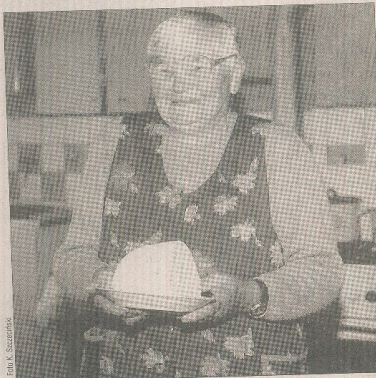


Stoisko gminy Kawęczyn było momentami wręcz oblegane

Najlepszy ser w kraju pochodzi z gminy Kawęczyn

## Lubią go nawet Francuzi

– Nie spodziewałam się nagrody, już szybciej jakiegos nieszczęścia – mówi Zofia Bilśka z Dzięwiątki w gminie Kawęczyn. Produkowany przez nią ser został uznany za najlepszy w kraju, ale jego smak doceniali również za granicą.



– Produkcja twarogu zajmuje mi cały dzień. Najpierw pół dnia ogrzewam garnki, by z mleka odeszła serwatka, a potem pół dnia klaruje mi się właściwy ser – mówi Zofia Bilśka z Dzięwiątki w gminie Kawęczyn.

Zofia Bilśka została laureatką ogólnopolskiego konkursu na najlepszy regionalny produkt żywnościowy ogłoszony przez tygodnik „Gospodyni”, Program I Polskiego Radia i Fundusz „Agrolinia 2000”. Ser produkowany przez panią Bilśką został zgłoszony

przez gminę w kategorii „Produkty i przetwory pochodzenia zwierzęcego”. W nagrodę pani Zofia otrzymała sprzęt gospodarstwa domowego. Z dawnego Konieńskiego do konkursu zakwalifikowano jeszcze zakwas na żur, chleb żanny i szary smalec.

– Nie spodziewałam się, że mogę coś wygrać. Prędzej spodziewałabym się jakiegos nieszczęścia – mówi skromnie pani Zofia, uśmiechając się do brotliwie. Wspólnie z mężem Wacławem prowadzi kilkumastohektarowe gospodarstwo. Sery z krowiego mleka robi od bardzo dawna.

Produkcja smakowitego twarogu zajmuje jej cały dzień

– Muszę pół dnia ogrzewać garnki, by z mleka odeszła serwatka, a potem pół dnia klaruje mi się właściwy ser – opowiada pani Zofia – Zainteresowanie moim serem jest bardzo duże. Wiele osób zamawia twaróg.

Wartość serów produkowanych domowym sposobem docenili nie tylko sąsiedzi. Smakują je także Francuzi. W ich kraju ser jest niemal potrawą narodową.

– Trochę brakuje mi siły do pracy. Mam już 66 lat – przyznaje gospodyni. – Sama wykonuje sery, ale moje dzieci i wnuki starają mi się pomagać. Przychodzą, posprzątają, umyją, krowy wydoją.

Pani Zofia stara się produkować jeszcze inne potrawy: na przykład ręcznie wyrabia masło. Można także zamówić wiejski pachnący chleb.

Obok domu rodziny Bilskich rośnie drzewo. Co roku do gniazda zlatują się bociany. Na dobrą wróżbę – twierdzą sąsiedzi. Bo szczęśliwy ten dom, gdzie bociany są. **PAW, DOM**



*Śp. Władysław Czechowski*  
GŁUCHÓW



Śp. Władysław Czechowski

**26.06.1922 r. – 27.04.2005 r.**

Syn Heleny (z domu Pasik) i Michała Czechowskich. W latach 1931-1933 uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Wilczkowie, z kolei w latach 1933-1938 do Szkoły Powszechnej w Tokarach. Przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej w Tokarach w latach 1956-1963. Sołtys Głuchowa w latach 1970-1991. Aktywnie uczestniczył w przebudowie kościoła w Głuchowie w latach 1947-1952. Prowadził chórek kościelny, był też radnym parafialnym. Współzałożyciel jednostki OSP w Głuchowie, a następnie jej sekretarz w latach 1947-1952. W 1970 r. uzyskał tytuł wykwalifikowanego rolnika. W 1982 r. otrzymał odznakę honorową za zasługi dla województwa konińskiego, w 1984 r. odznaczony medalem 40-lecia Polski Ludowej, w 1985 r. złotym krzyżem zasługi, w 1988 r. uhonorowany złotym medalem za zasługi dla pożarnictwa. Otrzymał też odznakę wojewódzkiego ośrodka rolniczego w Kościelcu. Kochał historię, interesował się naukami technicznymi, fizyką, filmem i fotografią. Posiadał pasiekę, grał na klawercie, skonstruował telefon oraz radio ze słuchawkami.

**Wspomnienia wnuczki Emilii o dziadku Władysławie są tematem kolejnego artykułu z cyklu „Wspomnień blask”. To piękne, że młodzi ludzie interesują się swoją historią, szukają wiadomości o bliskich, pielęgnują pamięć o przeszłości. Emilia wzięła udział w konkursie „Pochwal się swoimi przodkami”, zorganizowanym przez Miłośników Dziejów i Tradycji Regionu, działającymi przy Stowarzyszeniu Kawęczynskie Towarzystwo Rozwoju, zajmując drugie miejsce. Jej praca z pewnością może stanowić inspirację dla rówieśników, by nie bali się sięgać po dzieje swoich rodzin.**

## **Dom przepojony wartościami patriotycznymi**

*Mój dziadek Władysław urodził się 26 czerwca 1922 roku w Głuchowie. Jego rodzice Helena (z domu Pasik) oraz Michał prowadzili gospodarstwo rolne.*

*Pradziadek Michał był żołnierzem – walczył w I wojnie światowej. Brał udział w bitwie pod Tannenbergiem, która rozpoczęła się 23 sierpnia 1914 roku. Przeszła ona do historii jako druga bitwa pod Grunwaldem (Grunwald w języku niemieckim to Tannenberg). Starcie miało być rewanżem za klęskę wojsk zakonu Krzyżackiego z 15 lipca 1410 roku. W tym strasznym boju zginęło 30 tysięcy żołnierzy rosyjskich, z kolei 100 tysięcy (wśród nich mój pradziadek) zostało wziętych przez Niemców do niewoli. Michał Czechowski, w czasach, gdy Polska była pod zaborami, musiał odbyć służbę w wojsku carskim w dalekiej Finlandii. To stamtąd przerwano go na front pod Tannenberg. W niewoli spędził 4 lata, ciężko i wyczerpująco pracując w kopalni węgla. Głód*



oraz śmierć były codziennością. Pradziadek zdołał przetrwać dzięki przyjacielowi, który wykonując swoje obowiązki w cukrowni, przemycił Michałowi cukier. W obozie pradziadek miał wielu przyjaciół. Jeden z nich, który był zegarmistrzem, podarował mu na pamiątkę kieszonkowy zegarek z wygrawerowaną datą oraz nazwiskiem „Michał Czechowski 1916”. Stanowi on bezcenną pamiątkę rodzinną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Po zakończeniu I wojny światowej pradziadek wrócił do ukochanej Ojczyzny i jeszcze w tym samym roku wziął ślub z Heleną Pasik z Borku Głuchowskiego.

W 1920 r. wcielono go do Wojska Polskiego II RP do Dywizji Piechoty Legionów. Walczył z bolszewikami – tj. w wojnie pomiędzy II Rzeczpospolitą Polską, a Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Radziecką, która miała na celu przekształcić państwa europejskie w republiki radzieckie. Pradziadek był wielkim patriotą, wychowywał swoich synów – Władysława i Czesława w atmosferze miłości do Ojczyzny, odpowiedzialności za nią. Dom przepojony był wartościami patriotycznymi.

### **Braterska miłość**

Do wybuchu II wojny światowej pradiadkowie wraz z synami mieszkali w Głuchowie. Dziadek Władysław w latach 1931-1933 uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Wilczkowie, do której miał ponad 2 km. W latach 1933-1938 uczył się w Szkole Powszechnej w Tokarach. Zabudowania gospodarcze u pradiadków były nowe. Gospodarstwo prowadzili wzorowo. Podczas II wojny światowej całą rodzinę wysiedlono, skazując ich na tułaczkę. W ich posiadłości zamieszkał Niemcy, a oni sami musieli mieszkać (w oślakanych warunkach) w różnych miejscach - było ich aż sześć. Okres okupacji był dla dziadka najgorszym czasem w życiu. Podczas łapanki po Mszy św., przed kościołem w Głuchowie został pojmany przez hitlerowców.

Jego starszy brat Czesław, który był organistą, zdołał ukryć się na chórze. Całą tę dramatyczną sytuację widział przez małe okienko. Ujawnił się i wstawił za młodszym bratem. Hitlerowcy zgodzili się na wymianę. W ostateczności Władysław pozostał w okupowanym kraju, a Czesław wywieziony do Niemiec. Zdołał jednak uciec i pod przybranym nazwiskiem – Jan Pawlak, przedostał się do Polski, osiedlając się w Szczecinie.

### **Dziadek doskonale znał język niemiecki**

Dziadek Władysław miał świadomość, że z racji swojego młodego wieku nie uniknie wywózki do Rzeszy. Postanowił zatem nauczyć się języka niemieckiego. Tak dobrze go opanował, że od razu

znalazł pracę u niemieckiego sołtysa w Głuchowie jako pracownik fizyczny, ale także jako tłumacz. Poprzez dostęp do wielu informacji, z narażeniem życia, ostrzegał mieszkańców Głuchowa przed łapankami lub zbiórką żywności dla Niemców.

W czasie wojny Polakom nie wolno było zabijać żywca. Za takie zdarzenie cała rodzina trafiała do Auschwitz lub też była rozstrzelana. Mimo to pradziadkowie zdecydowali się na ten czyn. Sąsiad (volksdeutsche) doniósł o tym niemieckiemu sołtysowi. Ten, z uwagi na to, że Władysław był jego pracownikiem nie zgłosił sprawy żandarmerii. Kazał pozbyć się wszelkich śladów mięsa.

## **Mój dziadzia współzałożycielem Ochotniczej Straży Pożarnej w Głuchowie**

W 1946 r. w Głuchowie zawiązała się Ochotnicza Straż Pożarna. Jan Grudziński 25 sierpnia 1946 roku zorganizował w swoim domu zebranie w tej sprawie. Uczestniczyli w nim wszyscy współzałożyciele Jednostki, a mianowicie: mój dziadek Władysław Czechowski, Marian Bruś, Władysław Bartczak, Antoni Koziarek, Stanisław Koziarek, Jan Kubisiak, Józef Kustosz, Mieczysław Niewiadomski, Marian Owczarek, Antoni Paterski, Ignacy Pietrzak, Józef Szymczak, Władysław Szymczak i Józef Woźniak. Podjęto wówczas decyzję o założeniu OSP. Kolejnego dnia zwołano następne spotkanie, na które wstawiło się 41 mężczyzn. Powołano wówczas pierwszy Zarząd. Prezesem został Jan Gromadziński, wiceprezesem Władysław Bartczak, naczelnikiem Ignacy Pietrzak, zastępcą naczelnika Józef Szymczak, komendantem Marian Bruś, mój dziadek – sekretarzem, skarbnikiem Józef Kustosz, a gospodarzem Stanisław Kustosz. Dziadek powierzoną mu funkcję sekretarza pełnił do 1958 roku. W 1988 roku otrzymał Złoty Medal za „Zasługi dla Pożarnictwa”.

## **Działalność społeczna i samorządowa**

Dziadek całe swoje życie mieszkał w Głuchowie, prowadząc gospodarstwo rolne. W 1962 roku ożenił się z babcią – Józefą Kolasińską. Dziadkowie doczekali się dwójki dzieci: Jolanty i Alojzego, a także czworo wnucząt: Joanny, Emilii, Bartłomieja i Piotra.

Muszę dodać, że nieprzerwanie przez ponad 20 lat (1970-1991), dziadek był sołtysiem Głuchowa. W latach 1956-1963 pełnił funkcję przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej w Tokarach. W 1970 r. uzyskał tytuł wykwalifikowanego rolnika. Ponadto był radnym parafialnym, prowadził też chór kościelny. Zaangażował się w przebudowę kościoła w Głuchowie (1947-1952). Chciałabym nadmienić, że w 1919 roku w wyniku wyładowań atmosferycznych XVIII

wieczny kościół w Głuchowie spłonął. Zastąpiono go drewnianą budowlą. Następnie przeniesiono go do dawnego spichlerza pozostałego po zabudowaniach dworskich. W latach 1956-1960 dobudowano do niego dwa pomieszczenia. Prace remontowe odbywały się też w latach 1972-1981.

### **Sam skonstruował telefon i radio**

*Dziadek posiadał szeroki wachlarz zainteresowań. Pasjonował się historią Głuchowa i Tokar, wiele czasu poświęcał na lekturę książek historycznych. Niektóre z nich, znajdują się w domowej bibliotece, stanowiąc pamiątki rodzinne. Interesował się też polityką i rolnictwem. Najbardziej fascynowały go nauki techniczne, fizyka, film i fotografia. Sam skonstruował telefon oraz radio ze słuchawkami. Posiadał też własną pasiekę – kochał pszczoły. Grał na klarncie, prowadził chór kościelny.*

### **Jak inni wspominają dziadka**

*Władysław Czechowski zapisał się pozytywnie w pamięci mieszkańców Głuchowa i Tokar. Jako patriota, człowiek pracowity, sumienny, pełen pasji oraz zainteresowań może stanowić godny wzór do naśladowania. Był społecznikiem, zawsze życzliwy, chętny do niesienia pomocy. Cieszył się dużym szacunkiem wśród lokalnej społeczności. Swoje funkcje społeczne pełnił z ogromnym zaangażowaniem. Nawet, gdy już zakończył swoją działalność społeczną – nadal odwiedzał ludzi, rozmawiał z nimi, utrzymywał stały kontakt ze znajomymi z dawnych miejsc pracy społecznej. Dziadzia zmarł 27 kwietnia 2005 r., mając 82 lata.*



Z albumu Alojzego Czechowskiego – syna Śp. Władysława Czechowskiego



Michał Czechowski – ojciec Władysława Czechowskiego. Na zdjęciu w carskim wojsku



Michał Czechowski (pierwszy od lewej) w niemieckiej niewoli ze swoimi kompanami.  
Rok około 1915



Strażacy OSP Głuchów przy ręcznej pompie 1952 r. **I rząd** (siedzą) od lewej: Pietrzak, Antoni Koziarek, Piotr Jędrzejczak. **II rząd** od lewej: Władysław Czechowski, Zygmunt Pasik, Władysław Czyżak, Stefan Bartczak, Lech Stefanowski, Ignacy Figurski, Radosław Koziarek, Stanisław Borczyk. **III rząd** od lewej: Szczepan Owczarek, Wiktor Sukienniczak, Matusiak, Leon Pietrzykowski, Józef Gadko



Władysław Czechowski na motocyklu marki Simson na swoim podwórku w Głuchowie. 1960 r.



Władysław Czechowski (dziesiąty od prawej w szarym garniturze) wśród osób biorących udział w odbudowie i przebudowie kościoła parafialnego w Głuchowie. 1952 r.



Złoty Krzyż Zasługi, którym został odznaczony Władysław Czechowski w 1985 r.





Odznaka, jaką nosili sołtysi w dawnych latach



Dyplom uznania dla Władysława Czechowskiego – Sekretarza Zarządu OSP w Głuchowie za aktywną pracę w szeregach OSP w Głuchowie przyznany przez Powiatową Komendę Straży Pożarnych 25.08.1956 r.



Dokument z okresu II wojny światowej potwierdzający tożsamość Władysława Czechowskiego

Charakter i imię miejscowości	Imię	Data wzrost.	Obliczki wrodz.	Miejscowość
Hendryczak	Piotr	8.5.17	Wielki	paterek
2 dom. Kowalcyk	Józefa	1.1.26	Strachocice	"
Kowalcyk	Józef	2.11.28	Głuchów	"
	Władysław	24.8.25	Strachocice	
2 dom. Kowalcyk	Fryderyk	20.3.37	Pyzyski	podark
2 dom.	Władysław	9.10.37	Babrowicki	p. Sieracki
	Jadwiga	3.7.38	-	-
	Stanisław	3.1.36	-	-
	Józef	27.8.41	Zielonogóra	

Kartka z notesu, który prowadził Władysław Czechowski, pracując u niemieckiego sołtysa w Głuchowie podczas II wojny światowej



*Śp. Wacław Mruk*

STRZAŁKÓW – GMINA LISKÓW





## Śp. Waław Mruk

25.04.1914 r. – 10.05.1992 r.

Syn Antoniny (z domu Pawelec) i Wojciecha Mruków. Absolwent Szkoły Podstawowej w Liskowie. Podczas II wojny światowej walczył w obronie Polski w stopniu plutonowego. Ranny 17.09.1939 r. podczas nalotu bombowego. Wraz zoną prowadził gospodarstwo rolne w Strzałkowie. Sołtys Strzałkowa w latach 1958-1966, Prezes OSP w Strzałkowie w latach 1950-1970, Przewodniczący Kolegium w Liskowie, ławnik w sądzie w Kaliszu w latach 1970-1980, kontroler społeczny w punkcie odbioru buraków cukrowych w Tymianku oraz Zbiersku, prezes Kółka Rolniczego w Strzałkowie, Członek Rady Nadzorczej w Mleczarni Kalisz (1975-1978). Należał do Związku Inwalidów Wojennych RP. Odznaczony: Krzyżem Walecznych w 1974 r., Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski w 1975 r., Medalem za udział w wojnie obronnej 1939 w 1986 r., Medalem za Warszawę 1939-1945 w 1973 r., Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945 r. w 1973 r., Medalem 40-lecia Polski Ludowej w 1984 r.



Do mojego cyklu zaprosiłam zwyciężczynię konkursu „Pochwal się swoimi przodkami” – Natalię Janicką z Będziechowa, która opowiedziała o losach swojego pradziadka Waława Mruka. Cytuję jej słowa: „Z dumą mówię o tym, iż jestem prawnuczką człowieka, który z całą pewnością zasłużył, by nosić imię patrioty za swoje zasługi wojenne oraz działalność społeczną. Chciałabym, aby Jego życie i postawa były przykładem dla młodego pokolenia Polaków. Umilowanie Ojczyzny, poświęcenie się dla niej, praca na rzecz innych, szeroko pojęta działalność społeczna – to całe życie mojego pradziadka Waława. Cieszę się, że mogę pochwalić się swoim przodkiem. Pamiątki o nim przechowywane są w mojej rodzinie oraz przekazywane z pokolenia na pokolenie. Wszyscy jesteśmy zaszczyceni, że taka osoba jest częścią naszej historii, naszej przeszłości. Darzymy go szczególnym szacunkiem. Jest mi niezmiernie miło, że z postacią mojego pradziadka mogę zapoznać innych”.

## Mój pradziadek wychował się w dużej rodzinie

Mój pradziadek Waclaw Mruk urodził się 25 kwietnia 1914 r. we wsi Tomaszew (gmina Lisków). Pochodził z rodziny chłopskiej. Jego rodzicami byli Antonina z rodu Pawelców i Wojciech Mrukowie, którzy doczekali się siedmiorga dzieci: Jana, Stanisława, Stanisławy, Józefa, Marii oraz bliźniaków: Waclawa i Szczepana. Pradziadek uczęszczał do Szkoły Podstawowej w Liskowie. Młode lata spędził pomagając rodzicom w pracy na roli.

## Wojskowe życie

Mając 23 lata, w 1937 roku poszedł do wojska, gdzie zdobył stopień kaprala. Podczas II wojny światowej awansował na plutonowego. Został dowódcą trzech drużyn – 36 żołnierzy. Wkrótce nadeszły rozkazy, by ruszyć w obronie Warszawy. Przed wymarszem odbyła się Msza św. w kościele garnizonowym w Kaliszu. Pradziadek wraz z oddziałem udali się przez Morawin, Malanów, Łęczycę i Kutno do Puszczy Kampinoskiej.

17 września 1939 r. został ranny podczas nalotu bombowego dokonanego przez Niemców. Żołnierze nie zdążyli schronić się w lesie. Musieli więc położyć się w redlinach. Bomba spadła około 3 metrów od Waclawa, trafiając prosto w jego przyjaciela – plutonowego Gryczyńskiego ze Skarszewa. Zginął na miejscu. Odlamki raniły jednak pradziadka, rozszarpując mu prawy bok ciała. Okaleczony – leżał w tym miejscu przez trzy dni. W tym czasie Niemcy bestialsko dobijali szeregowych. Z kolei wyższych rangą zabierali do szpitala polowego. Ciężko ranny Waclaw trafił do szpitala w Łodzi. Niemiecki lekarz usunął mu prawe płuco, amputował prawą rękę. Na szczęście zdołał uratować prawą nogę. W ciele utkwilo mu wiele odłamków, dwa z nich (jeden w prawym boku między żebrami, drugi pod prawą łopatką) nosił w sobie do końca życia. Raz na jakiś czas jego organizm wydalał przez skórę na zewnątrz małe odłamki bomby. Mimo inwalidztwa opanował pismo lewą ręką i pokonywał wiele kilometrów rowerem. W łódzkim szpitalu spędził ponad rok. Gdy w 1940 r. wrócił do rodzinnego domu w Tomaszewie, w sąsiedniej wsi Strzałków poznał młodzieńką Zofię Żebrucką (córkę Marianny z domu Jaruszewskiej i Antoniego Żebruckich). Młodzi zaczęli się spotykać, jednak z powodu wojny nie mogli wziąć ślubu.

## Ocalenie Zofii

W czasie wojny rozpoczęły się „łapanki” i wywozy ludzi do Niemiec na przymusowe prace lub do obozów koncentracyjnych. Pewnego dnia, Waclaw nie zastał w domu swej ukochanej.

Prababcia (wraz z rodziną) została zabrana przez hitlerowców. Pradziadek ruszył na pomoc. Przedostał się do Kalisza, gdzie w porę odnalazł ją na stacji kolejowej. Zawsze lubił mieć przy sobie pieniądze. Zaryzykował, przekupując niemieckiego oficera dużą kwotą pieniędzy. Zofia została uwolniona. Wacław ukrył ją w rodzinnym domu, znajdującym się w otoczeniu lasów. Tam była bezpieczna. Prababcia była mu wdzięczna do końca życia – wielokrotnie podkreślała to w swoich wypowiedziach.

## Życie po wojnie

W 1942 roku urodził się ich pierwszy syn – Jerzy. Związek małżeński zwarli jednak dopiero 29 kwietnia 1945 r. W 1947 r. urodził się Józef – mój dziadek, w 1949 r. – Janina, w 1951 r. – Tadeusz, w 1960 r. – Wiesław. Po zakończeniu wojny pradiadkowie prowadzili gospodarstwo rolne w Strzałkowie, odziedziczone po rodzicach Zofii.

Wacław Mruk angażował się społecznie. Został przewodniczącym Rady Rodziców w Szkole Podstawowej w Strzałkowie (1955-1975). Aktywnie działał w życiu kościoła. Pełnił funkcję sołtysa w latach ok. 1958-1966. Zasiadał jako przewodniczący w Kolegium w Liskowie. Muszę nadmienić, że przy posterunku milicji odbywały się sądy za drobne przestępstwa.

Cieszył się dużym autorytetem moralnym i etycznym, dlatego też w sądzie w Kaliszu był ławnikiem (1970-1980). Przy skupie żywca działał jako kontroler tzw. „obrońca rolnika”. Powierzono mu też obowiązki kontrolera społecznego w punkcie odbioru buraków cukrowych w Tymianku oraz w Zbiersku (1979-1980).

Ponadto pradiadek przez wiele lat sprawował funkcję prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej w Strzałkowie (1950-1970) oraz prezesa Kółka Rolniczego w Strzałkowie, do którego wstąpił w 1952 r. W latach 1975-1978 był członkiem Rady Nadzorczej w Mleczarni Kalisz. Należał do Związku Inwalidów Wojennych RP.

Pradiadek został odznaczony: Krzyżem Walecznych w 1974 r., Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski w 1975 r., Medalem za udział w wojnie obronnej 1939 w 1986 r., Medalem za Warszawę 1939-1945 w 1973 r., Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945 r. w 1973 r., Medalem 40-lecia Polski Ludowej w 1984 r..

Inwalidztwo nie pozwoliło walczyć mu w szeregach wojskowych o wolność Ojczyzny, ale bez wątpienia zasługuje na miano patrioty, który całe swoje życie poświęcił czynnej pracy na rzecz społeczeństwa i rozwoju swojego kraju – Polski. Zmarł mając 78 lat - 10 maja 1992 r.

Wspomnienia o pradiadku Wacławie przekazał mi mój dziadek, a jego syn – Józef Mruk.



## Z albumu Natalii Janickiej



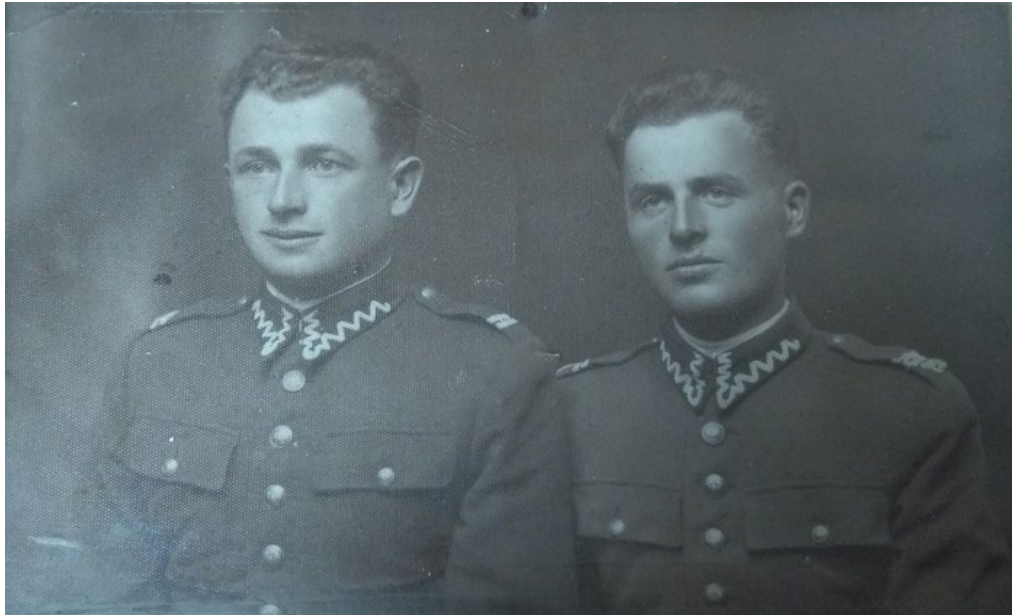
Waclaw Mruk – rok około 1936



Waclaw Mruk z rodziną: Górny rząd od lewej: żona Zofia, syn Jerzy, Waclaw. Dolny rząd od lewej: córka Janina, syn Józef – dziadek Natalii Janickiej oraz syn Tadeusz. Rok około 1956



Józef Mruk - syn Waclawa,  
który przekazał o nim wspomnienia



Rok koło 1937. Od lewej Waclaw Mruk z przyjacielem Gryczyńskim ze Skarszewa – we wojsku



Waclaw Mruk lubił podróżować



ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ  
ZARZĄD WOJEWÓDZKI  
w Kaliszu

ZASWIADCZENIE Nr 726736

Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że  
Obywatel (Naz) Wacław M R M R (Imię i nazwisko)  
syn ( córki) Bolesława (nazwisko) [ojciec]  
ur. 25 kwietnia 1914 r. w Komarninie (miejsce urodzenia)  
zamieszkały [a] w Strzałkowie (adres zamieszkania)

jest członkiem Zarządu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację  
— odpowiada warunkom uprawniającym do członkostwa ZBWiD.  
Zaświadczenie jest dokumentem stwierdzającym prawo do korzystania ze świadczeń określonych w Ustawie z dnia 23 października 1975 r. o działalności i świadczeniach dla kombatanek i byłych żołnierzy wojennych (Dz.U. Nr 26, poz. 1882) z 1975 r. o s. 2000.  
Jednocześnie stwierdza się, że w rozumieniu przepisów art. 207 § 1 pkt 2) okres zatrudnienia wyznaczonego [a] kalizuje się następujące okresy działalności komandoskiej oraz okresy udzielenia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych:

Okresy w WZ w okresie od 1 września 1939 r. do 17 września 1939 r.

Przebieg choroby od — do — dni  
Lpami jedyn mieniąc

SEKRETARZ  
Związek Bojowników o Wolność i Demokrację  
Kalisz

ZARZĄD WOJEWÓDZKI  
ZWIĄZKU BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ  
KALISZ

PREZYS  
Związek Bojowników o Wolność i Demokrację  
Kalisz  
Edward Pałłasz

Kalisz, dnia 5 października 1993 roku

Związek Inwalidów Wojennych  
Rzeczypospolitej Polskiej  
w Kaliszu

**Podziękowanie**

Dla wdowy po inwalidzie wojennym RP  
Pani Zofii Mruk 1919 1999

Serdcecie dziękujemy za opiekę nad chorym mężem, który w służbie Ojczyzny i Narodu Polskiego poświęcił swoje najcenniejsze.

Łączymy wyrazy szacunku oraz wszelkiej pomocy w życiu osobistym i rodzinnym.

Przewodniczący Komisji Odznaczeń i Wyróżnień Zarządu Oddziału ZBWiD - 301  
O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ  
Stanisław Wędek Jan Ziemiak  
WSZYSTKICH PRONTÓW I II WÓJNY ŚWIATOWEJ SYMION ZIEMI KALISKIEJ

Kalisz dnia 15.08.2000r.

Zaświadczenie Związku Bojowników o Wolność i Demokrację o służbie Wacława Mruka w Wojsku Polskim

Podziękowanie dla żony Wacława Mruka za opiekę nad chorym mężem

### Odnaczenia Śp. Wacława Mruka

<p>POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA</p> <p><b>LEGITYMACJA</b></p> <p>Nr 1639-73-88</p> <p>WARSZAWA</p> <p>dn. 20 grudnia 1973 r.</p>	<p>UCHWAŁA RĄDY PAŃSTWA</p> <p>z dnia 20 grudnia 1973 r.</p> <p>odznaczony (a) medal (ca)</p> <p>Ob. <u>M RUK</u></p> <p>Wacław s. Wojciecha</p> <p><b>MEDALEM ZA WARSZAWĘ</b> 1939 - 1945</p> <p>WARSZAWA</p>
--	--

<p>POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA</p> <p><b>LEGITYMACJA</b></p> <p>Nr 136-74-10</p> <p>WARSZAWA</p> <p>dn. 30 kwietnia 1974 r.</p>	<p>UCHWAŁA RĄDY PAŃSTWA</p> <p>z dnia 30 kwietnia 1974 r.</p> <p>odznaczony (a) siostr (ca)</p> <p>Ob. <u>M RUK</u></p> <p>Wacław s. Wojciecha</p> <p><b>KRZYŻEM WALECZNYCH</b></p> <p>WARSZAWA</p>
--	---





*Śp. Bolesław Kołodziejek*

MARCJANÓW, KOWALE PAŃSKIE



## Śp. Bolesław Kołodziejek

### 19.01.1916 r. – 19.10.2010 r.

Syn Marianny (z domu Karbowskiej) i Józefa Kołodziejków. Urodził się 19 stycznia 1916 r. w Marcjanowie. 18 marca 1940 r. wywieziony przez hitlerowców do Paderborn w Niemczech. Po wyzwoleniu przez Amerykanów, trafił do zbiorowego obozu w Augusdorf, gdzie przebywał do 1950 r. Następnie osiedlił się w Australii. Po krótkim pobycie w Melbourne oraz Bonegilla, zamieszkał w Whyalla. W latach 1950-1977 pracował w stoczni. W 1971 r. otrzymał od Królowej Elżbiety australijskie obywatelstwo. Do Ojczyzny wrócił w 1995 roku, po 18 latach starań o możliwość zamieszkania w Ojczyźnie. Zmarł 19.10.2010 r. Śp. Bolesław był wujem Doroty Raszewskiej - bratem jej mamy Wiktorii.

**Państwo Dorota i Józef Raszewscy to mieszkańcy Kowali Pańskich-Kolonii, którzy uwielbiają rozmawiać o historii. Znam Ich od bardzo dawna i darzę ogromną sympatią. Kiedy pani Dorota zaprosiła mnie, aby podzielić się wspomnieniami o swoim wujku, bardzo się ucieszyłam. W Ich domu kultuwuje się pamięć o bliskich, dba o rodzinne pamiątki, a także pielęgnuje historyczne zamiłowania.**

**To ważne, aby spisywać biografie przodków, by upamiętniać przeszłość, albowiem jest to bezcenna wiedza o własnej tożsamości. Zachęcam zatem do poszukiwania swoich korzeni...**

### Krwawa egzekucja w Uniejowie

*Wuja Bolesław był synem Marianny i Józefa Kołodziejków – moich dziadków. Prowadzili oni gospodarstwo rolne. Obydwoje pochodzili z Marcjanowa. Ślub wzięli około 1890 r. Doczekali się czterech córek: Anny (ur. 1912 r.), Wiktorii (ur. 1914 r.), Marianny (ur. 1918 r.), Janiny (ur. 1920 r.) i dwóch synów: wspomnianego Bolesława (ur. 1916 r.) oraz Józefa (ur. 1925 r.). Bolesław na początku II wojny światowej pracował przy okopach za Uniejowem. Stamtąd, wraz z innymi mężczyznami, został zabrany przez Niemców na rynek do Uniejowa. Hitlerowcy rozpoczęli tam krwawą egzekucję, bestialsko strzelając do ludzi. Wuja widząc to wszystko - zemdlął ze strachu. Przed nim stał pan Miśczak z Marcjanowa. Trafiony przez kulę z karabinu, osunął się na Bolesława. Wuja uznano za martwego. Leżał wśród zabitych, dopóki mordercy nie odeszli. Pod osłoną nocy, udało mu się uciec do Marcjanowa. Niedługo mógł jednak cieszyć się powrotem, albowiem w 1940 r. hitlerowcy wkroczyli do domu dziadków, zabierając Janinę, Mariannę, Wiktorię oraz Bolesława. Zostali oni uwięzieni w kościele w Uniejowie. Mojej mamie Wiktorii udało się uciec, pozostali 18 marca 1940 r. zostali wywiezieni do Rzeszy.*



## Przymusowe życie w Niemczech

Rodzeństwo po wywiezieniu do Rzeszy rozpoczęło przymusowe roboty u niemieckich gospodarzy. Janina zapoznała tam swojego przyszłego męża Jana Błaszczyka. Był on tak zwanym „pisarzem”. Tłumaczył niemieckie dokumenty. Zakochani musieli udawać przed Niemcami, że są rodzeństwem. Nie mogli ujawnić swoich uczuć. Kiedy z czasem doszło do ślubu, jedna z Niemek, nie znając prawdy, dziwiła się, że siostra wychodzi za mąż za brata. Marianna również spotkała tam miłość swojego życia – Edwarda Olczyka. Po wojnie siostry wróciły do Polski.

## Wspomnienia z wojny

W mojej pamięci zapisała się historia, opowiedziana przez mamę. Otóż podczas okupacji była ona świadkiem, jak pewien młody około 15-letni Niemiec, bił dotkliwie starszą Żydówkę. Mama nie mogła znieść owego widoku, toteż wstawiła się za kobietą. Wówczas chłopak ten podniósł na nią rękę. Mamie opowiadano, że Niemiec, stracił później tę dłoń na wojnie...

Wiem również, że pierwszy mąż mamy zaginął na wojnie. Szukano go wiele lat przez różne organizacje. Nigdy jednak nie został odnaleziony. Mój tata z kolei walczył w powstaniu warszawskim. Mama podczas wojny pracowała u swojego sąsiada.

Chciałabym też nadmienić, że mama wysyłała paczki swoim siostram do Niemiec. Chodziła do Tokar i przekupywała Niemców, by je wysłali. Były one ogromnym wsparciem dla przebywającego w Rzeszy rodzeństwa.

## Jak wuja Bolesław trafił do Australii

Wuja Bolesław opowiadał, że pobyt w Niemczech był ciężki. Panował tam głód, a tamtejsi gospodarze źle traktowali Polaków. Po zakończeniu wojny, Amerykanie umieścili Polaków oraz ludzi innych narodowości w zbiorowych obozach. Bolesław został umieszczony w Augustdorf, gdzie przebywał do 1950 r. Wuja wspominał, że dobrze mu się tam żyło. W 1950 roku rozpoczęto emigrację osób, zasiedlających owe obozy, w różne strony świata. Wuja (wraz z 1000 innych Polaków) zdecydował się na Australię. 26 kwietnia - po 3 miesiącach podróży - trafił do Melbourne<sup>13</sup>, a następnie

---

13 Melbourne - w latach 1901–1927 stolica Australii, największe miasto stanu Wiktoria oraz drugie pod względem wielkości miasto po Sydney. Por. Encyklopedia..., s. 500.



do obozu emigrantów Bonegilla. Było to miejsce w głębokim buszu w Wiktorii Północnej, w pobliżu Albury i Wodonga. Można je określić jako pierwszy dom europejskich, powojennych wysiedleńców (zwanych DP), którymi byli Polacy, Czesi, Łotysze, Litwini, Estończycy i Ukraińcy. W rzeczywistości Bonegilla stał się największym obozem emigracji w historii Australii.

W 1950 roku Australia była młodym krajem - dopiero powstawała, rozbudowywała się. Z czasem zaczęła docierać tam technologia. Na wysokim poziomie była jedynie sfera budowy statków. To wszystko zaskoczyło Bolesława.

## **Tęsknota za Ojczyzną**

25 maja 1950 r. wuja został wysłany do miasta o nazwie Whyalla. Miejscowość ta położona jest w stanie Australia Południowa, na wschodnim wybrzeżu Półwyspu Eyrego, nad Zatoką Spencera (Ocean Indyjski). Tutaj przydzielono go do pracy w stoczni, gdzie budował okręty. Zamknięto ją w 1977 r.

Bolesław w 1971 roku otrzymał od Królowej Elżbiety australijskie obywatelstwo. Chciał jednak wrócić do Polski. Tęsknił za Ojczyzną.

W swoich podaniach o możliwość wyjazdu do Polski pisał: „... chciałbym wrócić do mojego kraju i w nim pozostać z rodziną do końca życia. Moje 3 siostry pragną mojego powrotu”.

## **Polonia w Australii**

Bolesław opowiadał nam, że Polonia w Australii bardzo się szanowała. Polacy często się odwiedzali, zapraszali na wszelakie święta. Łączyła ich silna więź. Wuja miał tam wielu przyjaciół. Zawsze miał się do kogo zwrócić. Zawsze mógł liczyć na wsparcie i pomoc. Kiedy Bolesław wrócił do Polski, dostawał listy od znajomych z Australii.

Polacy migrowali do Australii od 1856 r., przy czym pierwsza grupa pochodziła z Wielkopolski i osiedliła się w Polish Hill River w Australii Południowej. W 1947 r. mieszkało tam ok. 6,5 tys. osób urodzonych w Polsce i liczba ta utrzymywała się na stałym poziomie. Znaczący napływ Polaków nastąpił po II wojnie światowej. Wówczas to osiedli w niej weterani Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i inni obywatele polscy, których łączną liczbę oszacowano na ponad 50 tys. osób. Kolejna znacząca fala imigracji nastąpiła w okresie stanu wojennego i w następnych latach - 25 tys. osób.

## Upragniony powrót

*Wuja Bolesław do Polski wrócił po 18 latach starań - w 1995 roku. Zamieszkał u mojej ciotki, a swojej siostry Janiny w Zgierzu. Spędził tam około 5 lat. Po śmierci ciotki, zamieszkał z nami. Zmarł 19.10.2010 roku. Zgodnie ze swoją wolą został pochowany na cmentarzu w Przespolewie.*

### Z albumu państwa Doroty i Józefa Raszewskich



Bolesław Kołodziejek z kolegami w Niemczech – rok około 1943 (siedzi pierwszy od prawej)



Bolesław Kołodziejek w Niemczech – rok 1944



Bolesław Kołodziejek w Australii – Whyalla – 1961 r. (miejsce pracy – stocznia)





Australia – Whyalla – lata 60 XX



Janina Błaszczuk z mężem Janem – siostra Bolesława  
(wywieziona do Niemiec - Wismar - w czasie wojny)



Marianna Olczyk z mężem Edwardem – siostra Bolesława  
(wywieziona do Niemiec - Lubeka- w czasie wojny)



Australijskie obywatelstwo nadane Bolesławowi Kołodziejkiowi w 1971 r. przez Królową Elżbietę





*Śp. Feliks Raszewski*

KOWALE PAŃSKIE



## Śp. Feliks Raszewski

18.06.1902 r. – 12.02.1966 r.

Syn Stanisławy z Krzyżanów oraz Ignacego Raszewskich. Urodzony w Dzierzbokach. Zaangażowany w odbudowę Ochotniczej Straży Pożarnej w Kowalach Pańskich po II wojnie światowej. Dzięki jego staraniom udało się pozyskać działkę pod budowę nowej remizy dla tejże Jednostki. Przedwojenny pracownik Urzędu Gminy w Kowalach Pańskich. W latach 1945-1966 pracował w Powiatowej Radzie Narodowej w Turku.

**Nowy 2019 Rok rozpoczęłam wspomnieniami pana Józefa Raszewskiego o swoim ojcu Feliksie. Kolejna wizyta w Kowalach Pańskich zaowocowała artykułem o osobie, która działała dla dobra społeczności, budując m. in. samorządowe życie regionu. Śp. Feliks Raszewski był patriotą, lokalnym działaczem i niezwykle zasłużonym dla miejscowej Jednostki OSP strażakiem.**

### Duża matura w Warszawie

*Mój ojciec Feliks urodził się 18 czerwca 1902 r. w Dzierzbokach w rodzinie chłopskiej. Jego rodzice, a moi dziadkowie to Stanisława z Krzyżanów oraz Ignacy Raszewscy. W okresie międzywojennym podjął naukę w szkole średniej w Warszawie, gdzie zdał dużą maturę. Mała - była egzaminem kończącym gimnazjum – umożliwiając dalsze kształcenie w liceum, z kolei duża – sprawdzała wiedzę z zakresu szkoły średniej. Feliks odbył służbę wojskową w Kaliszu. Tam pełnił funkcję pisarza.*

*Na początku 1939 roku – przed II wojną światową rozpoczął pracę w Urzędzie Gminy w Kowalach Pańskich. Do wspomnianej miejscowości przeprowadził się w 1940 roku. Ożenił się z Józefą Wodzińską z Kowali Pańskich. Rodzice doczekali się 12 dzieci. Do dziś żyje 5. Ojciec doskonale znał język niemiecki, toteż w czasie wojny również pełnił rolę pisarza.*

### Raszewscy z Raszyna

*Ród Raszewskich pochodzi z okolic Warszawy – z miejscowości o nazwie Raszyn. Nasz przodek został nobilitowany do tytułu szlacheckiego przez króla Władysława Jagiełłę za zasługi wojenne.*



Mój dziadek – Ignacy – ojciec Feliksa – pochodził z Wielopola (gmina Tuliszków), gdzie dawno temu został osiedlony nasz przodek. Tereny te znajdowały się w obrębie zaboru rosyjskiego. Ignacy, jako młody chłopiec został wzięty do wojska rosyjskiego. Wrócił po 20 latach będąc już 40-letnim mężczyzną. Jego ojciec- mój pradziadek – dał mu wtedy konia oraz pieniądze, sugerując, aby rozpoczął poszukiwania żony. Ignacy udał się więc w podróż. Miłość odnalazł w Dzierżbotkach w szlacheckiej rodzinie Krzyżanów.

## **Powiatowa Rada Narodowa w Turku**

Po wojnie ojciec podjął pracę w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Turku, gdzie przez pierwsze lata zajmował kierownicze stanowiska w wydziałach: finansowym, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, zdrowia i opieki społecznej. Pracował tam aż do śmierci tj. do 1966 r. W ostatnich latach życia działał w referacie opieki społecznej, zajmując się pomocą dla ludzi potrzebujących wsparcia materialnego.

Powiatowa Rada Narodowa w Turku powstała w styczniu 1945 roku. Była organem uchwałodawczym i samorządowym w powiecie. Ustalała budżet i plan świadczeń, planowała działalność publiczną, była organem kontrolującym działania rządowych i samorządowych organów wykonawczych. Podlegała Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Poznaniu. Nadzorowała gminne i miejskie rady z terenu powiatu tureckiego. Swoją pracę organizowała podczas posiedzeń – plenarnych albo też nadzwyczajnych.

## **Walka o krzyże**

Pod koniec lat 50, a na początku 60, kiedy komunistyczne władze walczyły z kościołem – ojciec – jako głęboko wierzący i żarliwy katolik - nie podpisał zgody na usunięcie krzyży ze szkół. Komuniści podejmowali wszelkie próby eliminacji życia religijnego.

Aparat państwowy za wszelką cenę chciał podporządkować sobie Kościół – czyli jedyną wolną sferę polskości. Totalitarny system dążył do zniewolenia człowieka. Musiał zatem podjąć wojnę z religią. Represjonowano księży. W szkołach, mediach i instytucjach narzucano ateistyczną ideologię. W 1958 roku rozpoczęto walkę z krzyżem. Komuniści chcieli usunąć tak ważny symbol religijny ze szkół. Mój ojciec przeciwstawił się temu. Będąc urzędnikiem powiatowym doświadczył



z tego powodu represji służbowych. Został usunięty z zajmowanego kierowniczego stanowiska. Nie zwolniono go zupełnie, przez wzgląd na jego dobre wykształcenie oraz duże doświadczenie.

## **Rozmowy z panem Raczyńskim**

Początki OSP w Kowalach Pańskich sięgają 1920 roku. Inicjatorami powstania jednostki byli: ks. Stanisław Dutkiewicz, Ludwik Kleśta, Czesław Paruszewski oraz Jan Wiśniewski. Pierwsza remiza – to wydzielone zaplecze na plebanii. Pomysły budowy nowego obiektu dla strażaków pojawiły się w 1924 r. Ziemia została przekazana przez ks. Tadeusza Rutkowskiego. Tak powstała drewniana remiza obok kościoła, będąca też centrum kulturalno-rozrywkowym Kowali Pańskich.

Po II wojnie światowej przystąpiono do odbudowy straży. W inicjatywę tę wraz z moim ojcem zaangażowali się: Bolesław Bagnowski i Adam Karbowski. W myślach strażaków zaczęły pojawiać się pomysły budowy nowej, większej remizy. Ojciec oraz druhowie: Bolesław Bagnowski, Edward Glapiński i Adam Karbowski rozpoczęli starania o zakup działki. Tata pracował razem z panem Raczyńskim – geodetą – pracownikiem wydziału geodezji w Powiatowej Radzie Narodowej w Turku. Był on bratem Zofii Janiny Skowrońskiej – właścicielki majątku w Kowalach Pańskich. Dzięki tym relacjom rozpoczęły się rozmowy w sprawie kupna działki w centrum wsi. Co ciekawe majątek w Kowalach Pańskich nie został naruszony – rozparcelowany – jak w innych miejscowościach. Nie podlegał reformie rolnej. Z tegoż względu dziedziczka mogła podzielić ziemię i ją sprzedać. Pod budowę remizy zakupiono od niej 60 arów.

Strażacy chcieli, żeby tata objął funkcję skarbnika w Zarządzie OSP. Przez wzgląd na pracę w działach finansowych Powiatowej Rady, posiadał znakomite doświadczenie. Rozliczał jednostki z całego terenu powiatu. Miał też duże kontakty w województwie. Ponadto nigdy nie należał do partii.

## **Wymagać - przede wszystkim od siebie**

Ojciec - oprócz pracy zawodowej, poświęcał się też działalności społecznej. Popierał ruch ludowy. Pomagał innym. Zmarł 12 lutego 1966 roku. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Kowalach Pańskich. Tata dużo wymagał – przede wszystkim od siebie. Był osobą uczciwą, nad wyraz pracowitą. Zawsze pomagał innym. Pamiętam, jak wiele razy ludzie przychodzili do niego z różnymi sprawami. Nigdy nie odmawiał.

Z albumu Józefa Raszewskiego



Józefa Raszewska (z domu Wodzińska) – żona Feliksa

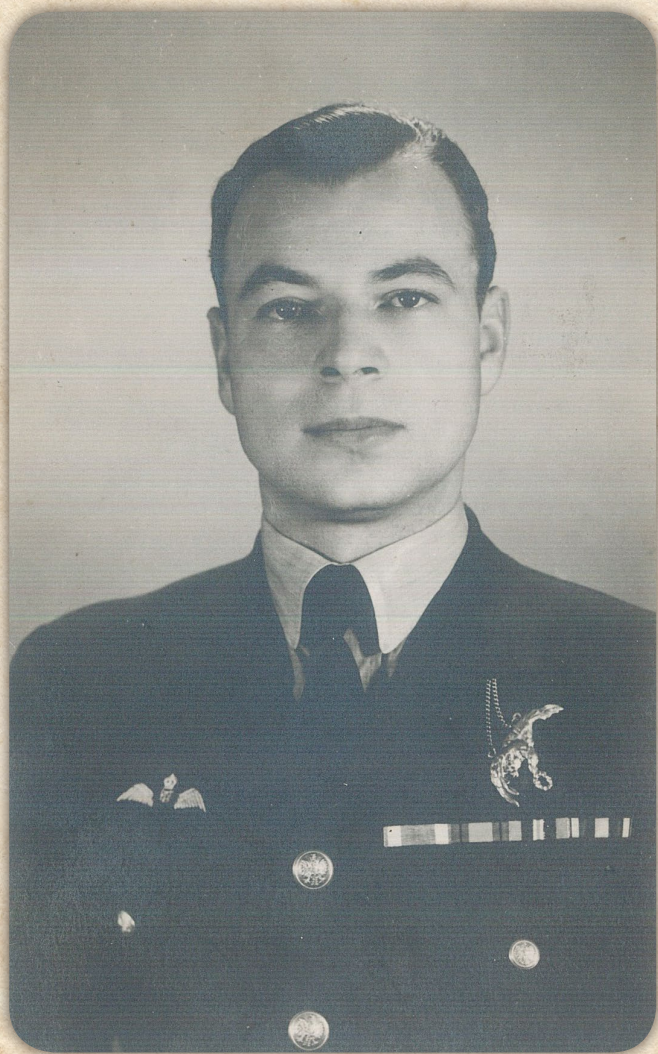


Herb Ostoja rodziny Raszewskich



*Śp. Mieczysław  
Kończewski*

GLUCHÓW





## Śp. Mieczysław Kończewski

10.06.1916 r. – 25.08.2000 r.

Urodził się w Głuchowie (Borku Głuchowskim) jako najmłodszy syn Konstancji (z domu Rębacz) i Franciszka Kończewskich. Ukończył szkołę oficerską dla pilotów w Dęblinie. W 1939 r. – w stopniu kaprala, przydzielony został do 1 pułku lotniczego i 19 eskadry. Latał na samolotach typu Potez 540 oraz Potez 63. W latach 1940-1947 walczył w polskich siłach powietrznych należących do królewskiej armii Wielkiej Brytanii (RAF) w dywizjonie 309. Swoje loty bojowe wykonywał w samolotach: Lysandar, Hurricane, Oxford, Anson, i Mosquito. W Wielkiej Brytanii uzyskał licencję kontrolera ruchu lotniczego. Jego żoną była angielska aktorka – Florence Woodgate. W 1952 r. małżeństwo osiedliło się w Argentynie.

Jakiś czas temu, kiedy na ekranach kin pojawił się film „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”, ponownie wróciłam do książki Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303”, opowiadającej o polskich lotnikach walczących w Bitwie o Anglię. Lektura ta pochłonęła mnie po raz kolejny. Dzięki panu Wójtowi - dowiedziałam się, że Gmina Kawęczyn również posiada swojego Bohatera, a mianowicie Śp. MIECZYŚŁAWA KOŃCZEWSKIEGO - absolwenta szkoły w Dęblinie, latającego w Dywizjonie 309, przyjaźniącego się z tymi zasłużonymi Polakami. Nie mogłam zatem przejść obojętnie obok Jego historii. Wspaniałe wspomnienia siostrzenicy lotnika – pani Barbary Werbińskiej (z domu Kowalskiej) z Głuchowa oraz jej męża Stanisława zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Wizyta u państwa Werbińskich była niezwykle miła. Długo rozmawialiśmy o Śp. Mieczysławie, oglądając przy tym rodzinne fotografie. W powstanie artykułu zaangażowała się też pani Joanna Linowska z Rogalina - krewna lotnika wraz ze swoją mamą Haliną - chrześniaczką Śp. Mieczysława. To Ona zebrała w całość wszelkie informacje oraz dokumenty dotyczące jej wuja. Z panią Joanną rozmawiałam tylko przez telefon, ale od razu nawiązałyśmy nić porozumienia. Mam nadzieję, że będziemy mogły się kiedyś poznać osobiście.

Muszę zaznaczyć, że Śp. Mieczysław Kończewski to niejedyny lotnik z terenu Gminy Kawęczyn. Przedstawiając Państwu jego dzieje, nie można pominąć Śp. Zygryda Wawrzyńca Górskiego z Milejowa. Urodził się On 10 sierpnia 1916 r. Był synem Adama i Zofii Filipkowskiej. Służył w 3 Pułku Lotniczym w Poznaniu na Ławicy, gdzie w 1939 r. ukończył Szkołę Podoficerską. Po Wrześniu przez Rumunię dostał się do Francji, a następnie do Anglii. Przeszkolony na radio-operatora i obserwatora otrzymał

przydział, najpierw do 307 Nocnego Dywizjonu Myśliwskiego „Lwowskich Puchaczy”, a następnie do 300 Dywizjonu Bombowego Ziemi Mazowieckiej. Po demobilizacji wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, a później do Kanady. Należał do 310 Skrzydła „Wilno”. Zmarł 21 grudnia 1999 r. Więcej informacji o Śp. Zygfriedzie Górskim zostało opublikowane w artykule „Lotnik z Milejowa” w nr 8/16 (364) „Kawęczyniaka”.

## Długo oczekiwany syn

*Moja mama Irena była siostrą Mieczysława. Ich rodzice to Konstancja z domu Rębacz oraz Franciszek Kończewscy. Babcia pochodziła z miejscowości Praszki pod Częstochową. Dziadek wywodził się z posiadłości, którą obecnie zamieszkujemy. Przed pierwszą wojną światową około 1900 r. - wyjechali do Niemiec do pracy. Poznali i zakochali się w sobie w Hamburgu. Wrócili do Polski w 1903 r. Ślub wzięli w rodzinnej miejscowości babci, a osiedlili w Borku Głuchowskim, gdzie mieszkali rodzice Franciszka: Józefa i Ignacy. Dziadkowie doczekali się pięciorga dzieci: Zofii – ur. w 1903 r., Florentyny ur. w 1905 r., Ireny ur. w 1907 r., Stefanii w 1909 r. W 1916 r. 10 czerwca - na świat przyszedł długo oczekiwany syn – Mieczysław. W czasie wojny, dziadkowie zostali wysiedleni ze swojego domu. Dopiero po zakończeniu okupacji wrócili do siebie.*

## Marzenia małego chłopca

*Mieczysław, jako mały chłopiec marzył, by zostać pilotem. Rodzina nie pozostała obojętna na te plany i zamiary. Dzięki ich wsparciu Mieczysław ukończył gimnazjum w Kaliszu. Szkolne boisko sąsiadowało wówczas z placem manewrowym dla wojska. Młody Mietek z pasją oraz ogromnym zainteresowaniem przyglądał się musztrze żołnierzy. Zauważył to jeden z oficerów, który udzielił mu cennych wskazówek, co zrobić, by zostać pilotem. Korzystając z tych rad, Mieczysław, wspierany przez ojca, zapisał się do wymarzonej szkoły oficerskiej dla pilotów w Dęblinie. Była to lotnicza stolica Polski. Do głównych zadań uczelni należało szkolenie pilotów i obserwatorów w technice pilotażu oraz zastosowaniu bojowym, umożliwiającym dalszą ich specjalizację podczas służby w pułkach lotniczych. By dostać się do tej prestiżowej szkoły trzeba było poręczyć majątkiem całą rodzinę. Ojciec Mieczysława tak też uczynił, ryzykując w ten sposób przyszłość czterech starszych sióstr. Zostawił swoje gospodarstwo, by spełnić marzenia syna. Wuj Mieczysław ukończył szkołę w Dęblinie z licencją pilota oraz dodatkowymi uprawnieniami pilota szybowcowego.*

## Wuja latał na samolotach typu Potez 540 oraz Potez 63

W 1939 r. Mieczysław, w stopniu kaprala, przydzielony został do 1 Pułku Lotniczego – czyli oddziału lotnictwa Wojska Polskiego II RP i do 19 Eskadry. Pułk został utworzony 19 maja 1921 na bazie powstałych wcześniej eskadr lotniczych: 3, 8, 12 i 16 Eskadry Wywiadowczej oraz 7 i 19 Eskadry Myśliwskiej. Ta ostatnia, powstała z połączenia dwóch eskadr 18 i 19 przybyłych do Polski wraz z Armią gen. Hallera w 1919 z Francji. Po mobilizacji z oddziałem przeniósł się najpierw do Rumunii, a potem do Francji – do Centrum Wyszkożenia Lotniczego w Lyon-Bron, gdzie latał na samolotach typu Potez 540 oraz Potez 63. Utworzone na lotnisku Lyon-Bron - Centrum Wyszkożenia Lotnictwa Polskiego pod dowództwem płk. Stefana Pawlikowskiego i płk. Charlesa Huga - stało się główną bazą szkoleniową Polskich Sił Powietrznych we Francji i pełniło tę funkcję aż do upadku Francji.

### Anglia. Dywizjon 309.

25 czerwca 1940 r. Mieczysław przybył do Anglii, gdzie do zakończenia służby w styczniu 1947 r. walczył w Polskich Siłach Powietrznych należących do królewskiej armii Wielkiej Brytanii (RAF - Royal Air Force) – w dywizjonie 309 współpracy Ziemi Czerwieńskiej. Utworzony on został 8 października 1940 w bazie RAF Renfrew, w pobliżu Glasgow – najpierw jako dywizjon współpracy z armią, potem przekwalifikowany na myśliwsko-rozpoznawczy, a ostatecznie – myśliwski. Uzyskał zdolność operacyjną 11 listopada, a faktyczne wykonywanie zadań rozpoczął 5 grudnia 1940. Do pierwszych zadań formacji należało patrolowanie rejonu rzeki Clyde oraz przechwytywanie niemieckich myśliwców nad tym obszarem. Dywizjon rozpoznawał Wał Atlantycki, osłaniał konwoje, rozpoznawał żeglugę nieprzyjaciela, brał udział w inwazji na Niemcy. W marcu 1941, na skutek ataków niemieckich, dywizjon został tymczasowo przeniesiony do bazy Scone, aby przechwytywał niemieckie samoloty. Jednak zadania tego nie mógł efektywnie wykonywać, ze względu na niedostosowanie maszyn Lysander. W 1942 w wyniku starzenia się sprzętu, a mimo wysiłku załóg naziemnych, wiele samolotów zostało uznanych za niezdolne do lotu. Od wiosny 1942 rozpoczął się proces przejścia na samoloty P-51 Mustang. W okresie przejściowym, jednostka stacjonowała w kilku bazach, a do jej zadań należał, między innymi, rekonesans fortyfikacji na wybrzeżu Francji. W czerwcu 1943 dywizjon został przeniesiony do bazy Snailwell. Loty odbywały się nad wybrzeżem Holandii. Samoloty dywizjonu były też wykorzystywane do wyszukiwania wrogich okrętów między Skandynawią a Holandią. W styczniu 1944, dywizjon otrzymał starsze niż Mustang, samoloty Hurricane i został przekształcony w dywizjon myśliwsko-bombowy.



23 kwietnia przeniesiono go do szkockiej bazy Drem. Od 12 grudnia 1944 jednostka stacjonowała w Andrews Field i uczestniczyła w lotach eskortowych nad Niemcami. 9 kwietnia 1945 piloci Dywizjonu 309, zestrzelili 3 niemieckie myśliwce odrzutowe Messerschmitt Me-262. 25 kwietnia 1945 dywizjon wykonał ostatni lot bojowy. W całej swojej historii, dywizjon wykonał 1230 lotów bojowych, co ma przełożenie na 3228 godzin lotu. Zestrzelono 4 wrogie maszyny, 2 uszkodzono. Jeden pilot dywizjonu zginął w boju, a czterech w wypadkach w czasie szkoleń. Jednostka została rozwiązana 6 stycznia 1947 w bazie RAF Coltishall.

Mieczysław Kończewski wykonał jako pierwszy pilot 1200 godzin lotów bojowych w dzień i w nocy na różnego rodzaju samolotach: Lysandar, Hurricane, Oxford, Anson i Mosquito. W Wielkiej Brytanii uzyskał także licencję kontrolera ruchu lotniczego. Nasz wuja w czasie wojny został dwukrotnie zestrzelony nad Francją. Dzięki Bogu – ocalał i nie trafił do niewoli. Francuzi, mieszkający w miejscu, gdzie Go zestrzelono, dali mu schronienie. Niestety więcej informacji na ten temat nie posiadamy.

## **Miłość do angielskiej aktorki**

W 1947 r. wuja ożenił się z angielską aktorką Florence Woodgate, którą poznał podczas wojny w Owestry w Anglii. Florence należała wówczas do stowarzyszenia artystów (Entertainment National Service Assotiation), które występowało dla żołnierzy alianckich walczących na terenie Anglii, Francji, Belgii, Holandii, Włoch i Niemiec. 12 stycznia 1949 r., po oficjalnym zakończeniu służby wojskowej dla RAF, przez jakiś czas mieszkali jeszcze w Anglii. Nie był to jednak kraj ich marzeń. 23 października 1952 r. przenieśli się więc do Argentyny, gdzie rozpoczęli zupełnie nowy rozdział życia. Mając niewiele pieniędzy zainwestowali w małą nieruchomość znajdującą się na głównej ulicy Buenos Aires. W posiadłości tej otworzyli sklep z kapeluszami oraz elegancką konfekcją. Sklep prowadziła Florence. Mieczysław z kolei rozpoczął intratny handel winem. Ich romantyczna znajomość zrodziła się w zawierusze wojennej, ale trwała całe życie – przez które szli razem, mimo wielu przeciwności losu. Jak wspominała Florence „dzięki Tekowi” (tak nazywała męża) ich życie było pełne przygód, podróży, miłości i wielkiej przyjaźni. Wszystkie życiowe decyzje podejmowali razem i w zgodzie. Florence była dumna z nazwiska Kończewska. Nie mieli dzieci. Musimy dodać, że Mieczysław bacznie śledził losy swojej Ojczyzny i wielokrotnie ją odwiedzał. Podczas wizyt w naszym domu, snuł ciekawe opowieści, których można było słuchać bez końca. Opowiadał o lotnikach z dywizjonu 303 i 309, o tym, że ich znał i przyjaźnił się z nimi. Żałuję, że nigdy go nie nagraliśmy, nie utrwaliliśmy na taśmie jego relacji.

## Ostatnia podróż

*Mieczysław Kończewski zmarł 25 sierpnia 2000 r. w Harbinie w Chinach, podczas ostatniej, spośród wielu swych podróży po świecie. Wyprawa ta była wyjątkowa. Jej celem było odnalezienie śladów wuja Józefa – brata Franciszka, który wcielony do armii carskiej, założył rodzinę z Rosjanką i osiadł na stałe w Harbinie.*

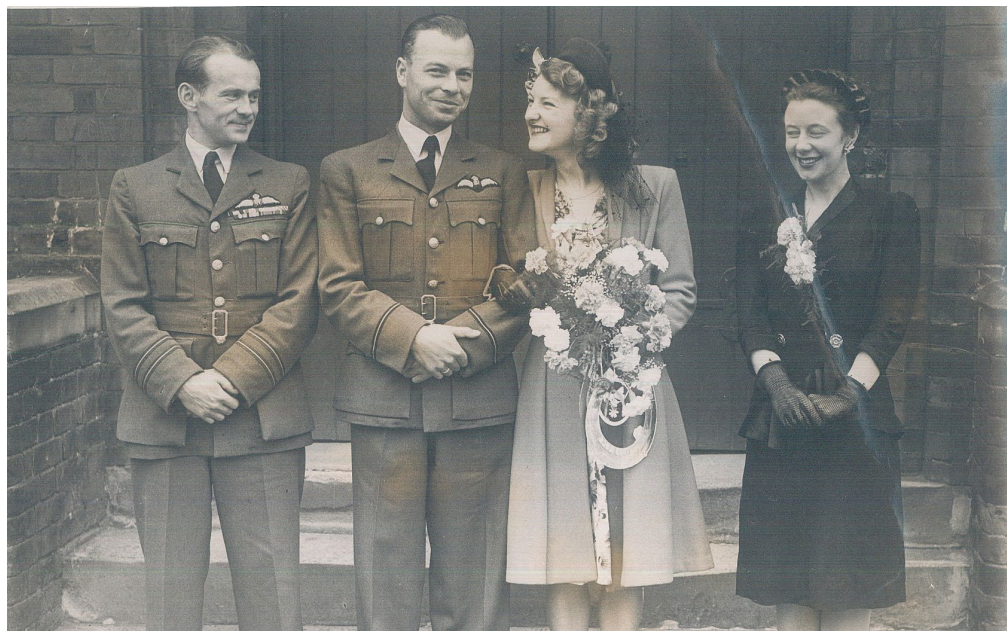
*Ojciec Mieczysława – Franciszek prosił swojego syna, aby ten odnalazł jego brata. Musimy zaznaczyć, że to właśnie Franciszek miał zostać wcielony do carskiej armii, ale Józef ocalił go przed tym. Poszedł za niego, przez wzgląd na to, że brat miał żonę i dzieci, a on był kawalerem. Mieczysław nie zdążył wypełnić swej misji, ponieważ zmarł nagle na wylew. Losy stryja oraz jego potomków pozostały więc nieznanne.*

*Prochy Mieczysława zostały przez Florence pochowane w Harbinie.*

**Do wspomnień Barbary, Haliny i Joanny kilka słów dodał Alojzy Czechowski z Głuchowa, przytaczając wspomnienie swojej mamy Śp. Heleny Czechowskiej. „Młody Mieczysław tak kochał przestrzeń nadziemną, że chcąc być bliżej nieba - sam skonstruował i wykonał szczudła. Ćwiczył chodzenie na nich po całej miejscowości.**







Ślub Mieczysława Kończewskiego i Florence Woodgate. Młoda para ze świadkami –  
swoimi przyjaciółmi – Londyn 1947 r.



Mały (około 4-letni) Mietek



Mieczysław Kończewski jako młodzieniec

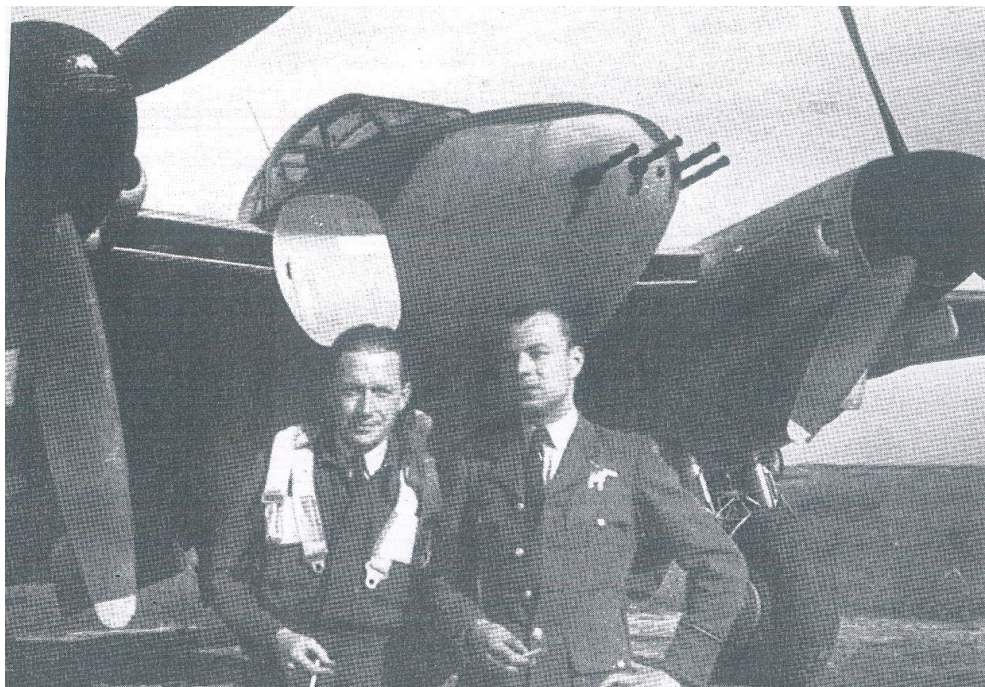


Mieczysław Kończewski – pilot RAF  
Anglia II Wojna Światowa



Mieczysław Kończewski – Anglia 1946 r.





Mieczysław Kończewski (pierwszy po prawej) z kolegą z FAR  
– Anglia II wojna światowa

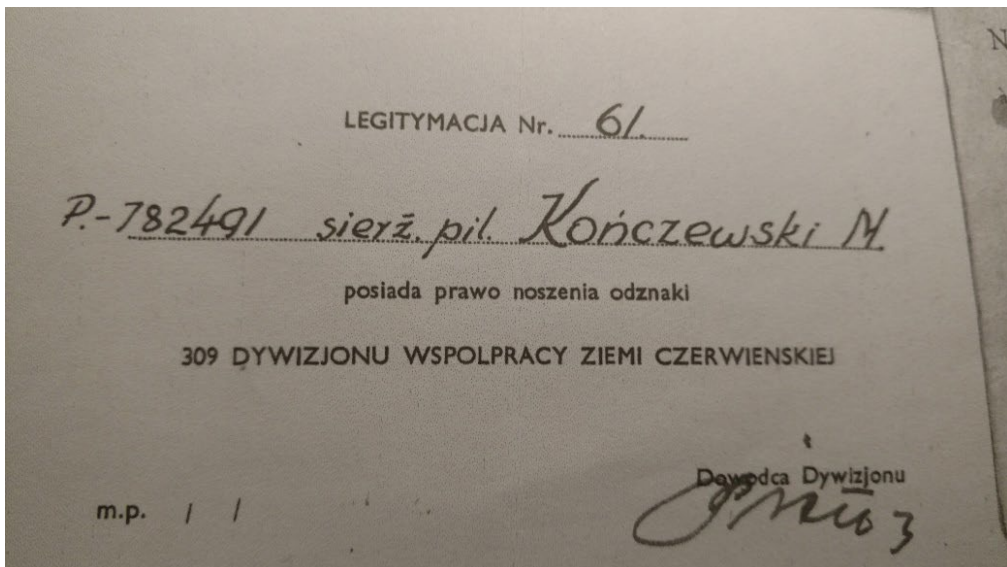


Rodzice Mieczysława: Konstancja i Franciszek Kończewscy



## Legitymacje Mieczysława Kończewskiego









*Wacława Barbara Wisna*

**TOKARY PIERWSZE**



## Wacława Barbara Wisna

Córka Czesławy (z domu Filipczak) oraz Stanisława Frątczaków. Urodzona 20.01.1936 r. w Kawęczynie. W czasie wojny rozdzielona z matką, wychowywana przez dziadków w Milejowie. W latach 1970-1989 przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich w Tokarach. W 1975 roku odznaczona dyplomem „Międzynarodowy Rok Kobiet” za ofiarną pracę społeczną i osiągnięcia w rozwoju gminy, a w 1984 medalem „Order Serca – Matkom Wsi”. Absolwentka Szkoły Podstawowej w Tokarach, Podstawowego Studium Zawodowego w Tokarach oraz Szkoły Społeczno-Politycznego Kształcenia Kobiet. Członkini KGW Tokary, Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych oraz stowarzyszenia „Kawęczyńskie Towarzystwo Rozwoju”. Wraz z mężem Kazimierzem prowadziła gospodarstwo rolne w latach 1955- 1985. W ostatnim czasie tj. w lutym 2018 r. ukończyła projekt dla osób starszych w zakresie zdrowego trybu życia, który został sfinansowany przez Europejski Fundusz Rolny na rzecz Obszarów Wiejskich – Europa Inwestuje w Obszary Wiejskie, zorganizowany przez KGW Głuchów, a w kwietniu 2018 r. warsztaty pt. „Stowarzyszenie ze smakiem. Pobudzenie do działania” w ramach projektu grantowego, realizowanego przez Lokalną Grupę Działania Turkowska Unia Rozwoju w ramach programu rozwoju obszarów wiejskich 2014-2020.

**Miła, serdeczna, rodzinna atmosfera – otóż w takiej zostałam przyjęta w domu pani Wacławy Wisnej w Tokarach Pierwszych. Znakomita pamięć oraz płynność wymowy pani Wacławy sprawiły, że rozmowa była bardzo długa, ciekawa i zajmująca. Kiedy wracała pamięcią do przeszłości, na jej twarzy malowała się cała paleta emocji, a w oczach szklily się łzy. Wojna odcisnęła na Niej swoje piętno i mimo że wspomnienia są bolesne, to jednak pani Wacława mówi o nich głośno, by pamięć o tych okrutnych czasach nigdy nie zginęła. Ponadto moja Bohaterka aktywnie uczestniczyła w życiu społecznym Gminy Kawęczyn. Wiele lat przewodniczyła Kołu Gospodyń Wiejskich w Tokarach. Dziś nadal angażuje się w działania na rzecz lokalnej wspólnoty. Uczestniczy w kursach, szkoleniach, jest członkiem KGW Tokary oraz stowarzyszenia „Kawęczyńskie Towarzystwo Rozwoju”. Jej energia i zapał mogą być wzorem dla innych.**



## Zacznijmy od początku

Urodziłam się 20 stycznia 1936 r. w Kawęczynie. Moi rodzice to Czesława (z domu Filipczak) i Stanisław Frątczakowie. Mama pochodziła z Kawęczyna, a tata z Wojciechowa. Pobrali się około 1935 r. Byłam ich jedynym dzieckiem. Od dziadków otrzymali 8 ha ziemi w Milejowie. W miejscowości tej, w części nazywanej Podlesiem, zbudowali drewniany dom. Gdy wybuchła wojna, wykończony był jeden pokój oraz kuchnia. Rodzice mojej mamy to Józefa i Wojciech Filipczakowie. Zajmowali się gospodarstwem rolnym. Dom, w którym mieszkali w Kawęczynie, dziś należy do ich prawnuka – Sławomira Filipczaka. Dziadkowie ze strony taty – to Marianna i Wojciech.

## Zapanowała panika

Gdy wybuchła wojna miałam tylko 4 lata, ale te dramatyczne wydarzenia mocno zapisały się w mojej pamięci. We wsi zapanowała wielka panika. Nisko lecące samoloty budziły strach. Przerażeni ludzie płakali oraz uciekali do domów. Nasze 8 ha gospodarstwo w Milejowie zostało połączone z gruntami w Wojciechowie. Całością zarządzał Niemiec. 2 stycznia 1940 r. na atak serca zmarł tata. Miał zaledwie 26 lat. Chorował, czuł się źle, dlatego nie pojawił się w pracy. Niemiec doniósł o tym żandarmerii, która dotkliwie go pobiła. Jego serce nie wytrzymało. Mama została sama. Pomagał jej wówczas nasz sąsiad Józef Woźniak. Z czasem zrodziło się między nimi uczucie. W 1941 roku nadeszło jednak najgorsze. Podczas jednej z nocnych łapanek - hitlerowcy wtargnęli do naszego domu, zabierając mamę i mojego przyszłego ojczyma. Małych dzieci nie wywożono, toteż żandarmi zostawili mnie u sąsiadów – państwa Wolskich. Byli oni rodziną wielodzietną, co miało wpływ na ich pozostanie w kraju.

## Trudy rozłąki

Mamę i jej przyszłego męża, zesłano gdzieś w głąb Niemiec. Ja zostałam w Polsce. Wyrwana ze snu, rozdzielona z mamą, płakałam całą noc. Miałam wtedy 6 lat. Rano nadal nie mogłam się uspokoić. Pan Wolski wobec zaistniałej sytuacji udał się do brata mojej mamy- Mariana, który służył u Niemki w Wojciechowie. Przejęty wujem, opowiedział o całym zdarzeniu swojej niemieckiej przełożonej. Miała ona dobre serce, toteż postanowiła nam pomóc. Dziadkowie Filipczakowie, a więc rodzice mamy, wysiedleni ze swojego domu, zostali ulokowani nieopodal Czachulca. Mieli być wywiezieni. Niemka czym prędzej udała się gdzie należy, tłumacząc, że potrzebuje ludzi do pracy. Tak ocaliła dziadków, którzy zamieszkali razem ze mną w Milejowie – w domu mamy. Całą



okupację troskliwie się mną opiekowali. Tęsknota za mamą była jednak ogromna. Te straszne czasy musiałam przetrwać bez rodziców.

Wojna wyrządziła wiele zła. Brakowało żywności, panowała ogromna bieda. Dzieci u sąsiada bardzo chorowały. Doszło tam do tragedii. Najpierw zmarła ich 11-letnia córeczka - zaczęło się od przeziębienia, a następnie 8-letni syn Staś. Nie było wtedy lekarzy. Leczono się bańkami i ziołami.

## **Rodzina Filipczaków w czasie wojny**

Jak już mówiłam w styczniu 1940 r. z Kawęczyna wysiedlono dziadków Filipczaków. Ich gospodarstwo przejął Niemiec – niestety nie pamiętam jego nazwiska. Siostra oraz dwóch braci mamy zostali zabrani na służbę do Niemców. Janina i wspomniany już przeze mnie Marian trafili do Wojciechowa, z kolei Tadeusz do Siewieruszek. Najstarszy z rodzeństwa Józef – był na wojnie. Polskie gospodarstwa często zajmowały Niemki ze swoimi dziećmi. Ich mężowie walczyli na froncie. Wujka Marian trafił do kobiety, która miała dwóch synów – Rajnolda i Alberta oraz małą córeczkę Margaritę. Wujka woził tych chłopców do szkoły w Tokarach. Zawsze byli wtedy ubrani w mundurki. Owa Niemka nazywała się, jak dobrze pamiętam – Werner i zajęła posiadłość państwa Wypychów. Była dobrym człowiekiem, nie wyrządzała krzywdy innym. Wręcz przeciwnie, starała się pomagać, czego dowodem może być sytuacja, podczas której ocaliła moich dziadków, aby Ci mogli się mną zaopiekować pod nieobecność mamy. Zawsze dawała Marianowi mleko i mąkę, by podzielił się z rodzicami. Janina z Tadeuszem niestety nie mieli tak dobrze jak Marian. Niemcy, w u których służyli byli okrutni i bezwzględni. Źle traktowali Polaków.

## **Niedzielne przepustki**

W niedzielę Niemcy pozwalali Polakom na opuszczenie gospodarstw na około dwie godziny. Odwiedzali oni wówczas swoich bliskich, spotykali się z rodziną. Niemka Werner nie wyznaczała żelaznych granic czasowych. Wujka Marian, po wykonaniu podstawowych obowiązków, miał nieograniczony czas na spotkania z innymi. Z kolei Janina i Tadeusz pracowali pod dużym rygiorem. Nie mogli sobie pozwolić nawet na minutowe spóźnienie, a przepustki na opuszczenie służby otrzymywali tylko raz w miesiącu i to tylko jeśli Niemcy mieli dobry humor. Brak kontaktu źle wpływał na Janinę, która bardzo tęskniła za rodziną. Dziewczyna postanowiła więc wykorzystać sytuację,

gdy Niemki nie było w domu i choć na chwilę się z nami zobaczyć. W tym czasie kobieta wróciła do gospodarstwa. Być może ktoś zauważył idącą w stronę Milejowa - Janinę i na nią doniósł. Niemka zgłosiła sprawę żandarmerii. Hitlerowcy wymierzili cioci karę – dotkliwie ją bijąc. Była bardzo poturbowana. Niemka oznajmiła jej potem, że jeśli sytuacja powtórzy się, to zostanie wysłana do obozu.

### Chodziły pogłoski...

Niemcy uznali, że dzieci od 12 roku życia mogą już pracować. Te poniżej nazywane były „darmozjadami”, zabierającymi żywność wojskom niemieckim. Chodziły słuchy, że zostaną one wywiezione. Pod koniec wojny w 1944 r. pogłoski zaczynały się urzeczywistniać. Niemiecki sołtys Milejowa – o nazwisku bodajże Ulrich (mieszkał w miejscu, gdzie obecnie pan Jasiak), zawiadomił nas, że dzieci poniżej 12 roku życia w danym dniu – umyte i ubrane, mają zgłosić się na badania. Wszyscy byli pewni, że zostaną wywiezione. Babcia nie mogła się z tym pogodzić, bardzo płakała. W sądnym dniu, przez wieś jechał wóz, powożony przez Niemca i polskiego służącego, zabierając dzieci. Dziadkowie musieli doprowadzić mnie do furmanki. Gdy już wszyscy zostaliśmy załadowani, zawieziono nas do Kowali Pańskich i ulokowano w szkole. Tam nas badali, mierzyli oraz ważyli. Każdemu dziecku założono kartotekę, ściągnięto nawet odcisk palca. Dokonano selekcji: dzieci z blond włosami, z ciemnymi oraz chore znalazły się na osobnych listach. Nasi bliscy myśleli, że już nie wrócimy, ale dzięki Bogu, odwieziono nas do domów. Nadal jednak panował strach, że w każdej chwili możemy być zabrani przez Niemców. Kiedy odwiedził nas wuj Marian, babcia żaliła mu się, że pewnie niebawem zostanie wywieziona gdzieś w nieznane i że nigdy nie zobaczą już swojej matki. Babcia strasznie rozpacziała, martwiła się, że trafię do obozu. Wuj opowiedział o całej sytuacji swojej niemieckiej przelóżonej. Pani Werner pocieszała go, żeby był spokojny, albowiem jestem blondynką, dlatego nie wyślą mnie w złe miejsce. Dzieci o blond włosach zostaną wykształcone i z pewnością nic złego im się nie przydarzy. Poradziła, aby wytłumaczyć mi, żebym zapamiętała swoje prawdziwe dane i abym zawsze miała w myślach matkę, a być może los pozwoli jeszcze kiedyś się nam spotkać. Działo się to w okolicach września lub października. Przed zimą mieliśmy zostać zabrani. Każdy dzień wypełniony był strachem, czekaniem na najgorsze. Na szczęście do tego nie doszło. Niemcy nie zdążyli tego zrobić. Zaczęli uciekać przed żołnierzami rosyjskimi.

## Zbliżał się koniec wojny

Zimą odwiedził nas wujca Marian. Opowiadał babci, że nadciągają wojska radzieckie, że zbliża się koniec wojny i Niemcy szykują się do ucieczki. Niemieccy soltysi kazali przygotowywać się swoim rodakom do wyjazdu. Rozpoczęli oni pakowanie. Ze względu na porę roku zabierali głównie ciepłe rzeczy: ubrania i pierzyny oraz żywność. Wszystko ładowali na wozy. Z Polski nie chciała uciekać Niemka Werner. Tłumaczyła wujowi Marianowi, że nie będzie z trójką małych dzieci podróżować w zimę. Mówiła „Co Bóg da, to będzie”, „jak mam zginąć w drodze, to wolę tutaj”. Do ucieczki, w celu powożenia furmankami - często zmuszano służących w gospodarstwach Polaków. Tak było z wujem Tadeuszem, który pracował u Niemki w Siewierszuskach. Jak daleko zdążyli odjechać, tego nie wiem, ale w pewnym momencie nadleciały radzieckie samoloty i zbombardowały cały sznur wozów. Z relacji innych wiem, że widok był przerażający. Wszystko było zmasakrowane. Furmanki rozbite. Ludzie poturbowani. Tadeusz również został ranny - odłamek trafił w jego nogę, na szczęście przeżył. Gdy odzyskał przytomność uciekł z miejsca tragedii. Do domu wracał kilka dni. Polacy znowu mogli zamieszkać w swoich gospodarstwach. Janina, Tadeusz i Marian wprowadzili się więc ponownie do swojego rodzinnego domu w Kawęczynie.

## W oczekiwaniu na mamę

Posiadłość w Wojciechowie musiała opuścić pani Werner z trójką dzieci. Osiedliła się blisko nas, w drewnianym domku, na Podlesiu w Milejowie. Wujca Marian pomagał jej. Zaopatrywał ją w mleko lub ziemniaki. Ja tymczasem z utęsknieniem czekałam na mamę i Józefa. Na wiosnę wielu Polaków wracało z wojny do swoich bliskich, co napawało mnie dużą nadzieją, że wkrótce i ona zawita do Milejowa. Niestety nadal nie pukala do drzwi. Przed domem zakwitł piękny kasztan, który zasadził mój Śp. Tata. Babcia uwielbiała pod nim siadać i modlić się. W intencji powrotu syna i córki odmawiała Litanię do Matki Bożej. Nadal jednak nie było od nich żadnej wieści. Wujowie Marian i Tadeusz regularnie dostarczali nam żywność. Dbali o mnie oraz dziadków. Nie pamiętam dokładnie, kiedy w domu zawitała mama, ale mógł to być czerwiec. Chciałabym jeszcze w kilku zdaniach opowiedzieć jej historię. Jak już wspominałam wraz ze swoim przyszłym mężem zostali zabrani z domu podczas nocnej łapanki. Wysłano ich w głąb Rzeszy. Tam trafili do niemieckiego gospodarza o nazwisku Pochert – określanego mianem „bauer”. Nie był złym człowiekiem, nie krzywdził Polaków. Miał trzech synów. Dwóch walczyło na wojnie, trzeci jako inwalida wojenny przebywał w domu. Rodzicom oraz innym Polakom na ubraniu naszyto literę „P”. Musieli oni klaniać się Niemcom i zwracać do nich tym strasznym zawołaniem „heil hitler”. Jeśli nie



wywiązywali się z tego, karano ich biciem. Praca w owym folwarku była ciężka. Mama jako kucharka, gotowała dla gospodarzy, a potem jeszcze wychodziła w pole. Rano oprzątała zwierzęta. Bardzo chciała, abym ją zapamiętała, toteż postanowiła, że wyśle mi zdjęcie, które zrobiła razem z Józefem na polanie.

Gdy skończyła się wojna mama i mój przyszły ojczym ruszyli pieszo do domu. To, co posiadali spakowali na małe dziecięcy wózek, ciągnąc go za sobą. Po drodze zostali zatrzymani przez wojska radzieckie, które zabrały im „ausweis” czyli dowody osobiste. Idąc dalej znowu zostali zatrzymani, a bez dokumentów – gdzieś zamknięci. Podróż do domu dlatego trwała tak długo. Gdy w końcu dotarli do Milejowa, nie mogłam ich poznać, bardzo się zmienili. Byli wychudzeni i wycieńczeni. Ojczym miał gruźlicę. Sąsiedzi widząc ich z daleka krzyczeli „wracają, wracają!”. Mama chwyciła mnie w ramiona, mocno przytulała i płakała. Ja z kolei nie mogłam jej rozpoznać. Po ich powrocie Józef stał się moim tatą. Z drugiego małżeństwa mamy doczekałam się rodzeństwa – siostry Elżbiety i brata Zdzisława.

## **Józef pomógł Józefowi**

Wojnę przeżył też Józef – brat mamy, który służył w polskim wojsku. Osiedlił się w Anglii. Odezwał się do nas za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Józef chciał wiedzieć kto przeżył wojnę, czy jesteśmy cali i zdrowi. Odpisaliśmy mu, że wszyscy żyjemy, tylko z powodu gruźlicy, źle dzieje się z moim ojczymem. W przeciwieństwie do Anglii, w Polsce trudno było o leki. Wuj Józef od razu postanowił nam pomóc. Regularnie przysyłał paczki z zastrzykami, dzięki czemu tata wyzdrowiał. Kontakt z wujem mieliśmy zawsze. Do dziś wymieniam listy z jego córkami.

## **Spotkanie z Rajnoldem i Albertem**

Wracając jeszcze do kwestii Niemki Werner, muszę dodać, że wuj Mariana bardzo zżył się z jej synami- Rajnoldem i Albertem. W czasie okupacji mogli oni mieć po około 10-11 lat. Pamiętam sytuację, kiedy po wojnie (mieszkali niedaleko nas w Milejowie), bardzo chcieli zobaczyć jak wygląda gospodarstwo wuja Mariana w Kawęczynie. Pani Werner nie wypuszczała ich samych z domu. Obawiała się, że jako iż są Niemcami, może stać im się krzywda. Wuj Marian postanowił pokazać chłopcom swoją posiadłość i w którąś niedzielę zabrał ich do Kawęczyna. Rajnold, Albert i Marian byli dla siebie jak rodzina. Po wojnie życie toczyło się dalej. Ludzie musieli ciężko praco-

wać, albowiem panowała duża bieda. Polacy wrócili do pustych gospodarstw, na nowo dorabiali się całego inwentarzu. Tak też i było z moją rodziną. Mama i Józef otrzymali na start krowę od rodzeństwa z Kawęczyna. Stała się ona naszą żywicielką. Pomału wszystko zaczęło się układać. Niemka Werner wyjechała z dziećmi z Polski. Dziadkowie wrócili do swojego rodzinnego domu. Ja poszłam do szkoły do Tokar. Klasa była bardzo liczna – dzieci były w różnym wieku. Naszą wychowawczynią była pani Nitecka. Dzieci bardzo się szanowały. Uczyliśmy się przy lampie naftowej, pisaliśmy piórem. Musieliśmy dbać, aby nie robić kleksów. Miło wspominam te czasy.

Niespodziewanie, w latach 60, pewnej letniej nocy, na podwórko wuja Mariana w Kawęczynie, wjechał czarny samochód, oświetlając cały plac i trąbiąc klaksonem. Psy zaczęły głośno szczekać, budząc wszystkich w domu. Z ich opowiadań wiem, że bardzo się wystraszyli. Nie wiedzieli co się dzieje. Wuja Marian był już wtedy żonaty, miał małe dziecko. Jego żona kazała mu uchylić okno i sprawdzić, kto przyjechał. W tamtych czasach na wsiach nie było samochodów, toteż zdziwienie było duże. Nagle usłyszeli jak ktoś woła „Marian, Marian, Marian”. Dziadkowie stwierdzili, że musi to być ktoś znajomy, skoro woła po imieniu i zachęcili wuja, aby wyszedł. Babcia miała nadzieję, że może to jej syn Józef z Anglii. Okazało się jednak, że wyjątkowymi gośćmi byli Rajnold oraz Albert. Dorosli – około 25-letni już mężczyźni, postanowili odwiedzić wuja Mariana, z którym w dzieciństwie byli tak zżyci. Ciocia przygotowała uroczysty obiad, z kolei bracia przywieźli nam m. in. słodycze i kawę, brakujących w Polsce. Na podwórku rozstawiliśmy stoły, zaprosiliśmy znajomych, którzy w czasach wojny również służyli u Wernerów. Panowała wspaniała rodzinna atmosfera. Trudno w to uwierzyć – ale Polacy i Niemcy – zasiedli przy jednym stole, ciesząc się swoją obecnością.

Były to wspaniałe chwile. Rajnold i Albert zrobili wiele zdjęć, pojechali też odwiedzić Wojciechów, gdzie spędzili okupację. Ponadto przekazali wujowi wiadomość od swojej mamy – pani Werner, która bardzo chciałaby zobaczyć się z Marianem, jednak choroba uniemożliwiła jej podróż. Niemka zaprosiła wuja z rodziną do swojego kraju, prosiła o spotkanie, chciała pokryć koszty przejazdu i jeszcze choć raz zobaczyć osobę, która okazała jej tyle dobra, tyle serca. Niestety, ciocia – żona wuja, doświadczyła wiele zła ze strony Niemców. Nie chciała tam jechać. Z czasem kontakt się urwał.

Losy wojny były okrutne. Okupacja wywołała tyle zła, bólu i cierpienia. Nie ważne jednak jakiej jest się narodowości, lecz jakim jest się człowiekiem. Tego uczono mnie od małego. W latach 40 działy się rzeczy przerażające, ale obok nich było też dobro – czego przykładem jest przyjaźń wuja Mariana z rodziną Wernerów.

## **„Wesoły autobus” czyli jak żyło się dawniej**

W 1955 roku wyszłam za mąż za Kazimierza Wisnego. Jego rodzice w czasach przedwojennych wyjechali do Francji. Kiedy zarobili odpowiednią ilość pieniędzy kupili gospodarstwo w Tokarach i wrócili do Polski. Mój mąż mógł mieć wtedy około 10-11 lat. Jego 5 rodzeństwa pozostało jednak w tamtym kraju.

Gdy zostałam żoną Kazimierza, przeprowadziłam się do Tokar. Tu mieszkam do dziś. Szybko nawiązałam dobre kontakty z sąsiadami. W tamtych czasach ludzie byli bardzo przyjaźni wobec siebie. Spędzali ze sobą dużo czasu. Dziś już nie ma takiej serdeczności, jaka wtedy panowała. Może to przez to, że nie było wtedy telewizji, internetu, telefonów...

Letnią porą wszyscy wychodzili z domów. Spotykali się na polanach, prowadzili długie rozmowy. W tle zawsze ktoś przygrywał na akordeonie. Na majówki chodziliśmy do Wojciechowa - tańczyliśmy na łąkach. Mimo ciężkiej pracy na roli, mieliśmy siły i chęci, by zobaczyć się ze sobą. Obraz jaki zapisał się z tamtych lat, to widok ludzi, siedzących na ławeczkach przed domami. Zaczęły powstawać Kółka Rolnicze, zawiązywały się Ochotnicze Straże Pożarne i Koła Gospodyń Wiejskich. Z czasem OSP zaczęły organizować zabawy taneczne. Pamiętam też „Wesoły autobus” w Goszczanowie. Były to przedstawienia – coś na zasadzie teatru czy kabaretu, organizowane w remizach strażackich. Przyjeżdżali aktorzy i zabawiali widownię. My do Goszczanowa docieraliśmy oczywiście wozem konnym. Ile wtedy było radości oraz śmiechu. Takie wyprawy odbywały się też z okazji odpustu w Galewie. Po wojnie wesela organizowano w domach. U sąsiada urządzano np. salę taneczną, a we własnej posiadłości poczęstunek dla gości. I tak w czasie tej uroczystości weselnicy migrowali przez pole. Do ślubu jechało się bryczką, pięknie przybranym wozem, a zimą – saniami. Dekorowano też konie. Parze towarzyszył muzyk, przygrywający na akordeonie. Cała miejscowość żyła tym wydarzeniem. Dawno temu - jeszcze przed wojną odbywały się „zmówiny”. Rodzice swatali dzieci. Było to coś na zasadzie umowy przedślubnej. Po wojnie odchodzono od tego. Młodzi sami decydowali o sobie.

## **Niedźwiedzie, siwki, a może koziołki?**

Dziś święta Bożego Narodzenia, to wspaniałe ozdoby, iluminacje, pięknie przybrane choinki i domy. Gdy byłam dzieckiem, a i w późniejszych czasach nie było tego. Dzieci nie znały smaku słodczy. Po wojnie, dzięki wujowi Józefowi, który na święta przysyłał nam paczki z Anglii, mogłam skosztować słodkości, a także kawy i herbaty. Ozdoby wykonywały jesienią dzieci w szkołach,



m. in. z bibuły oraz słomy. Po wojnie odżyła tradycja odwiedzania domostw przez kolędników „wilijarzy” w wigilię Bożego Narodzenia oraz „niedźwiedzi” w „ostatki” czyli ostatnie dni przez Popielcem. Jeden z młodzieńców, opleciony słomą, był właśnie takim niedźwiedziem. Barwny korowód przebierańców obsypywał młode panny popiołem. Chłopcy brudzili nim twarze dziewcząt. Ile było przy tym radości i śmiechu. U nas określaliśmy ich tak jak wspominałam nazwą „niedźwiedzie”, w innych regionach mówiono „siwki”, a w okolicach Gniezna, Żnina i Wrześni – „koziołki”, „podkoziołki”.

W mojej pamięci, najmocniej zapisał się „Śmigus-dyngus” czyli wielkanocny lany poniedziałek. Bardzo różnił się od dzisiejszego święta. Woda lała się strumieniami. Miało to sprzyjać płodności, toteż oblewaniu podlegały przede wszystkim panny na wydaniu. Dziewczyny piszczały, uciekały... „a chłopcy biegali za nimi z wiadrami. W całej wsi było głośno, radośnie i MOKRO. W mieszkaniach woda wręcz pływała.

## Zimą robiłyśmy na drutach

Praca po wojnie na wsi wymagała wiele wysiłku oraz zaangażowania. Wstawalo się bardzo wcześnie, wraz ze wschodem słońca. Wszystko wykonywane było ręcznie i konno – zbiory, sadzenia, pielienia itd. Dopiero z czasem rodziła się mechanizacja, powstawały Kółka Rolnicze. Wykopki trwały długo – chodziliśmy od sąsiada do sąsiada – pomagaliśmy sobie wzajemnie. Po ciężkiej pracy odbywały się „pyrczoki” czyli wspólny posiłek, rozmowy, a nawet tańce przy akordeonie. Mimo takiego wysiłku, znajdowaliśmy siłę. Na zakończenie roku organizowaliśmy sylwestra, aby podsumować rok i całą naszą pracę na roli. Wymienialiśmy się doświadczeniami, informacjami o plonach, swoimi osiągnięciami. Nikt nikomu nie zazdrościł. Gospodynie piekły ciasta, szykowały potrawy. Spotkania sylwestrowe miały miejsce w domach, każdego roku u innego mieszkańca.

Po wojnie w każdym prawie gospodarstwie były owce – po dwie, trzy, w celu pozyskania wełny. Zimowe wieczory spędzaliśmy więc na jej przędzeniu. Zaczynałyśmy w listopadzie, po Wszystkich Świętych. Robiliśmy z niej swetry, skarpety, rękawice. Schodziłyśmy się do jednego domu, zapalałyśmy lampę naftową i robiłyśmy na drutach. Zimy były mroźne, a dzieci musiały być ciepło ubrane, chodziły przecież pieszo do szkoły.

Mężczyźni w tym czasie grali w karty – w tysiąca. Bardzo lubiłam te robótki. Kiedy byłam już mężatką zaczęłyśmy we wsi prenumerować czasopismo „Gospodyni” (wychodzi ono do dziś), gdzie podpatrywałyśmy wzory. Wiosną wracało się do pracy na dworze. Szykowano ziemniaki do sadzenia, hakalo się i grabiło. Latem – żniwa, jesienią – wykopki. Ludzie mieli w sobie bardzo dużo siły.

Ludzie ze wsi często wyjeżdżali sezonowo, aby zarobić dodatkowe pieniądze. Najczęściej do cukrowni do Zbierska w gminie Stawiszyn, powiecie kaliskim. W Kawęczynie, gdzie obecnie swoją firmę mają Państwo Raszewscy, istniał punkt skupu buraków i tutaj chętni zgłaszali się do pracy – zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wyjeżdżali w październiku, po skończonych pracach na roli, na około 3 miesiące. Ponadto pracowali też w ogrodnictwie nieopodal Kalisza – w szklarniach.

## **Obowiązkowe dostawy oraz kontraktacje**

W latach 50 rozpoczynały się obowiązkowe dostawy zboża, trzody chlewnej, ziemniaków i mleka. Wyznaczono punkty, gdzie należało je odstawić. Z hektara naliczano ilość produktów do oddania w określonym momencie. Ceny były niższe od kosztów produkcji. Czasy powojenne, jak już wspomniałam, były ciężkie. Panowała bieda. Lata były mokre, ziemie niezmeliorowane, a część wyhodowanych produktów należało oddać. Jeśli ktoś się z tego nie wywiązał, stosowano kary grzywny, a nawet aresztu, wysyłano też na prace do kamieniołomu. Mój mąż również był sądzony – w Gromadzkiej Radzie Narodowej w Kowalach Pańskich. Większość zboża była bardzo mokra, toteż nie oddał odpowiedniej ilości. Kiedy został skazany na pracę w kamieniołomie, ukrył się u cioci na Targówce. Na domach często widniały napisy „kulaku oddaj zboże”. Zdarzało się, że rolnicy popełniali samobójstwa. Nie chcieli iść do kamieniołomu. To były okropne czasy. Dopiero kiedy zakończono obowiązkowe dostawy, w rolnictwie zaczęło się poprawiać, było spokojniej.

Po obowiązkowych dostawach weszły kontraktacje. Było to gdzieś w latach 80. Rolnik wyznaczał areal buraków oraz ziemniaków i dobrowolnie mógł oddać określoną ich ilość. Umowa kontraktacyjna to wzajemne zobowiązania stron tj. wielkości dostaw, parametry jakościowe dostarczanych produktów, cenę, pomoc i opiekę instruktazową, weterynaryjną, paszową lub kredytową. Na wioskach działał mąż zaufania, który spisywał dane. Dzięki temu cukrownie wiedziały ile rolnicy chcą oddać plonów. Ziemniaki odstawiano np. do Lubonia. Ich skup był w Kawęczynie, na placu za obecnym sklepem państwa Pustych.

## **Moja historia z Kołem Gospodyń Wiejskich**

Przewodniczącą KGW w Tokarach zostałam około 1970 r. Z kolei w 1989 r. Wojewódzka Rada Kół Gospodyń Wiejskich w Koninie na wniosek KGW w Tokarach nadała mi tytuł honorowej przewodniczącej. Przede mną funkcję tę pełniła Marianna Kubisiak. Od listopada do marca, kiedy nie było pracy na polu, spotykałyśmy się z Paniami z Tokar Pierwszych, Drugich oraz Okręglicy

w szkole w Tokarach. Klasy po skończonych lekcjach były ogrzane, toteż miałyśmy odpowiednie miejsce do zimowych, wieczornych zebrań. Organizowałyśmy różnorodne kursy: np. pieczenia i gotowania – prowadziła je pani Zajączkowska z Kowali Pańskich, jak również rolnicze - wykładowcy przyjeżdżali ze szkoły średniej w Kaczkach, a sponsorem był Piotr Straszewski – dyrektor SKR w Kawęczynie. Uczono nas np. upraw, stosowania nawozów, hodowli zwierząt. Egzaminowały się wiosną w Kaczkach. Inne kursy były sponsorowane m. in. przez Bank Spółdzielczy w Kawęczynie. Ponadto ogromną pomoc otrzymywałyśmy od Lucjana Osiewały – prezesa GS. KGW w dużym zakresie współpracowały z Kółkami Rolniczymi. Gospodynie rozprawdzały pisklęta (kurze i kaczki). Odbywały się też wycieczki. Do naszych zadań należała współorganizacja dożynek. Raz nawet byłam starościna – funkcję starosty święta pól pełnił wówczas pan Gośliński z Ciemienia. Obowiązków miałam więc sporo. Ale opłacało się.

Muszę również zwrócić uwagę na nasze kontakty z Ośrodkiem Doradztwa Rolniczego w Koscielcu. Przyjeżdżała do nas pani Gajda, która przywoziła nam książki, kształciła w sprawach prowadzenia gospodarstwa domowego. Duży nacisk kładziono na zakładanie ogrodów kwiatowych i warzywnych. W tym czasie do rolnictwa wkraczała chemia. Pani Gajda przestrzegала nas przed nawozami, płynami do naczyni. Nie było wtedy bieżącej wody, toteż dokładne wypłukanie było utrudnione. Ona próbowała nam uzmysłwić, że taki płyn może być zagrożeniem, zwłaszcza dla dzieci. Tłumaczyła, abyśmy po jego stosowaniu zawsze sparzyły naczynia.

Dziś Koła znowu wróciły do łask. Co bardzo cieszy moje serce. Mimo wieku staram się być aktywna i włączać się w działania KGW Tokary. To dla mnie radość, że mogę uczestniczyć w zebraniach, spotkaniach, kursach, szkoleniach.

## Moje małe CV

W 1975 r. odznaczono mnie dyplomem „Międzynarodowy Rok Kobiet” za ofiarną pracę społeczną i osiągnięcia w rozwoju gminy. W latach 1977-1978 uczestniczyłam w zajęciach Szkoły Społeczno-Politycznego Kształcenia Kobiet. W 1978 r. ukończyłam Podstawowe Studium Zawodowe w Tokarach o kierunku ogólnorolniczym, podczas którego zdobyłam wiedzę w zakresie uprawy roślin, hodowli zwierząt i organizacji gospodarstw rolnych. W 1984 r. Zarząd Centralnego Związku Kółek Rolniczych i Redakcja „Gospodyni” przyznały mi medal „Order Seca – Matkom Wsi”. Ponadto jestem członkiem Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych oraz stowarzyszenia „Kawęczyńskie Towarzystwo Rozwoju”.

Od listopada 2017 r. do lutego 2018 r. dzięki Kołu Gospodyń Wiejskich w Głuchowie uczestniczyłam w projekcie dla osób starszych i młodych oraz pudełku życia finansowanym przez



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Obszarów Wiejskich – Europa Inwestuje w Obszary Wiejskie, podczas którego dowiedziałam się wielu cennych informacji o zdrowym trybie życia. Otrzymałam też certyfikat za ukończenie warsztatów w zakresie zdrowego żywienia pt. „Stowarzyszenie ze smakiem. Pobudzenie do działania” w ramach projektu grantowego, realizowanego przez Lokalną Grupę Działania Turkowska Unia Rozwoju w ramach programu rozwoju obszarów wiejskich 2014-2020. Były one prowadzone przez dr Aleksandrę Klestę-Nawrocką w dniach 21-22 kwietnia 2018 r.

## **Jestem spełnioną matką, babcią i prababcią**

*Mój dom tworzą cztery pokolenia. Gospodarstwo po córce i zięciu przejął mój wnuk z żoną. Jestem bardzo szczęśliwa, że mogę cieszyć się tak zgodną i dużą rodziną. Jestem zdania, że to, co się wpoi dziecku - procentuje i wraca ze zdwojoną siłą. Należy dbać o atmosferę oraz serdeczność rodzinną. Więzy międzypokoleniowe winno się nieustannie wzmacniać i pielegnować. Mam dwie córki – Dorotę i Wiesławę oraz syna Zdzisława; ośmioro wnucząt i ośmioro prawnucząt. Mąż Kazimierz był w Tokarach mężem zaufania roślin okopowych oraz radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w kadencji 1984-1988.*

## **Z albumu Waławy Wisnej**



Zdjęcie klasowe 1945 r. Szkoła Podstawowa w Tokarach. Nauczycielka - pani Nitecka - siedzi w II rzędzie. Waława Wisna - stoi za nauczycielką po lewej stronie



Niemcy 1942 r. Czesława Frątczak mama pani Waclawy wraz z Józefem Woźniakiem przyszłym mężem



Koło Gospodyń Wiejskich w Tokarach na wycieczce w Warszawie. Przed Warszawską Nike czyli Pomnikiem Bohaterów Warszawy - lata 70 XX w. Waclawa Wisna - II rząd od dołu – siedzi siódma od prawej





Koło Gospodyń Wiejskich w Tokarach. Warszawa 1986 r.



Wyjazd KGW Tokary do palmiarni w Poznaniu. Lata 70 XX w.  
Wacława Wisna - górny rząd - szósta od prawej

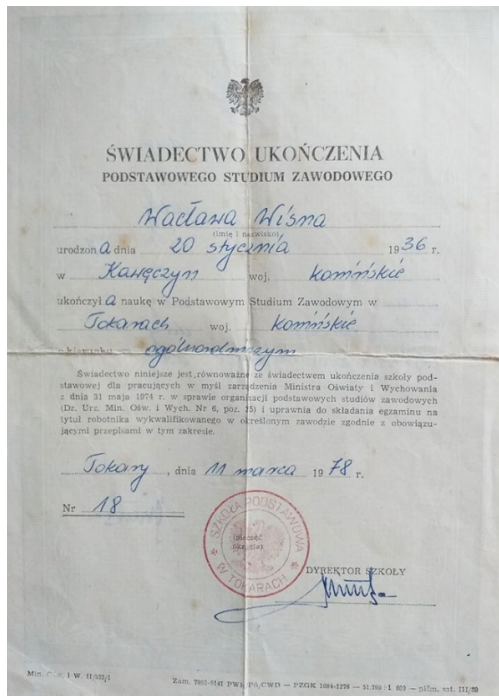




Rok 2004. Spotkanie w Szkole Podstawowej w Tokarach z okazji 65 rocznicy wybuchu II wojny światowej. Górny rząd od lewej: Józef Kleśta, Waclawa Wisna, Tadeusz Pakuła, Jadwiga Żwańska, Ewa Wojtczak i Barbara Osiewała

## Dokumenty potwierdzające działalność społeczną Waclawy Wisnej





„Order Serca Matkom Wsi”



*Lucyna i Stanisław  
Janiakowie*

BĘDZIECHÓW





## Stanisław Janiak

Urodził się 19 kwietnia 1932 r. w Będziechowie jako syn Marianny oraz Stanisława Janiaków. Ukończył Szkołę Podstawową w Będziechowie. Pan Stanisław jest jednym z założycieli Ochotniczej Straży Pożarnej w Będziechowie – przez lata zaangażowanym w jej rozwój. Od 1973 do 1996 r. był skarbnikiem w Zarządzie OSP Będziechów. W kadencji 1978-1982 pełnił funkcję radnego Gminnej Rady Narodowej w Kawęczynie, kiedy przewodniczącym rady był Antoni Karolak.

**W cyklu „Wspomnień blask” rozmowa wnuczki Marty Śniegockiej z dziadkami - Lucyną i Stanisławem Janiakami z Będziechowa. Marta bardzo zaangażowała się w artykuł. Codziennie zdawała mi relacje ze swoich poszukiwań i rozważań. Z jej wypowiedzi wnioskowałam, że łączą ją silne więzi z bliskimi. Rozmowy starszego pokolenia z młodymi ludźmi o przeszłości są niezwykle cenne oraz wartościowe. Dzięki nim pokonywane są bariery oraz budowane wspólne płaszczyzny porozumienia. Serdecznie dziękuję Marcie za przygotowanie materiału i włożony wysiłek w powstanie artykułu.**

### Rodziców zabrano do Uniejowa, a dziadków do obozu

*Urodziłem się 19 kwietnia 1932 roku w Będziechowie. Moi rodzice to Marianna z domu Błaszczyk (1911-09.02.1973 r.) oraz Stanisław (1901-09.1983 r.) Janiakowie. Swoje dzieciństwo spędziłem pomagając rodzicom (wraz z młodszym o 3 lata bratem Józefem) w gospodarstwie. Mieszkali z nami także dziadkowie - rodzice mamy - Marianna (1886-20.06.1967 r.) oraz Władysław Błaszczykowie.*

*Podczas II wojny światowej Niemcy odebrali nam gospodarstwo rolne, podobnie jak innym mieszkańcom Będziechowa. Następnie łączyli je w większe całości, przydzielając wybranym gospodarzom. Mój tata pracował przy wydobywaniu torfu w okolicach Lipicza, aby zapewnić nam opał na chłodne dni. Mogło to być przyczyną późniejszych problemów, jakie nas spotkały. Ojciec pewnego dnia, poinformował osobę, która zarządzała naszym gospodarstwem, że musi jechać dokończyć pracę przy torfie. Kilka dni później odbyła się łapanka – moi rodzice – Marianna i Stanisław zostali zabrani do Uniejowa. Skierowano ich do budowy okopów. W tym czasie mną i bratem zaopiekowała się ciocia Maria Osicka – siostra taty. Jej pierwszym mężem był Niemiec o nazwisku – Njeilwet.*

*Tata starał się nas odwiedzać. Przychodził na pieszo – późnym wieczorem, o świcie wracał. Nie straszna mu była mroźna zima. Liczyło się to, że mogliśmy się zobaczyć. Sytuacja ta trwała rok.*

Po zakończeniu wojny, po wkroczeniu wojsk rosyjskich, ludzie mogli wrócić do swoich domów. Rolnicy odzyskali swoje gospodarstwa. Z Uniejowa pierwszy wrócił tata. Przyszedł po nas w nocy, jak tylko pojawiła się takowa możliwość. Mama z kolei wróciła po tygodniu.

Chciałbym nadmienić, że moi dziadkowie ze strony mamy – Marianna i Władysław Błaszczukowie w czasie wojny zostali wywiezieni do Niemiec do obozu pracy. Dziadek był słabego zdrowia, nie był zdolny do ciężkiej, wycieńczającej pracy. Niestety zmarł. Jego ciało spalono, a prochów nigdy nie przetransportowano do Polski. Po śmierci męża – Marianna została oddelegowana do pracy poza granicą obozu. Zajmowała się ogrodnictwem. Za wykonywaną pracę otrzymywała zapłatę. Po zakończeniu wojny, wróciła do rodzinnego Będziechowa. Niechętnie wracała w rozmowach do chwil spędzonych w Niemczech. Zmarła 20.06.1967 r., mając 81 lat.

## Mieszkańcy zbudowali szkołę

Budynek szkoły w Będziechowie został wzniesiony w 1905 roku na działce ofiarowanej przez Stanisława Heresztyna. Z opowieści wiem, że wybudowali ją mieszkańcy naszej wsi. Do szkoły poszedłem dopiero po zakończeniu wojny. Odbył się wówczas egzamin, który kwalifikował uczniów do poszczególnych klas – ja trafiłem do II. Uczylem się przez dwa lata, albowiem w szkole kształcono tylko od I do IV klasy. Następnie ukończyłem kilkumiesięczny kurs, który odpowiadał ukończeniu VII klasy. Odbywał się on w szkole w Skarżynie. Na tym zakończyła się moja edukacja.

Moimi nauczycielami w szkole w Będziechowie było małżeństwo – państwa Mistejków. Z kolei w Skarżynie panowie Wiśniewscy – ojciec i syn. Wiem, że w tej szkole przed nimi uczyło małżeństwo państwa Ziemiańskich. Ówczesni nauczyciele, choć mili, byli bardzo surowi i wymagający.

Chciałbym jeszcze dodać, że kolejnymi nauczycielami w Będziechowie byli: Stanisława i Jan Walczyńscy, a potem Janina i Czesław Balcerczykowie. Muszę nadmienić, że ważnym etapem było też wybudowanie w 1965 r. oddzielnego domu dla nauczycieli. Wcześniej zamieszkiwali oni szkołę, jednak wzrastająca ilość dzieci, wymusiła konieczność zakwaterowania ich w innym miejscu. W budynku lekcje odbywały się do końca roku szkolnego 1995/1996.

## Nie uległem

Służbę wojskową odbyłem w Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie. Przebywałem tam dwa lata. W pierwszym roku, po odmowie przystąpienia do partii, zostałem skierowany do służby wartowniczej, która odbywała się co drugi dzień. Miało to wywrzeć na mnie presję, wpłynąć na zmia-

nę zdania. Nie uległem jej jednak. Pamiętam, że uważano, iż jestem wrogo nastawiony do Polski Ludowej. W drugim roku służby zostałem przydzielony do transportu zaopatrzenia.

## **Włodarze Będziechowa**

Sołtysem Będziechowa podczas wojny był Niemiec Ulert. Po zakończeniu okupacji funkcję tę pełnili: pan Wieczorek, później pan Świątek, a następnie mój tata - Stanisław Janiak. Był lubiany i doceniany przez mieszkańców. Sołtysował jednak tylko 7 lat, albowiem zniechęcił się egzekwowaniem obowiązkowych dostaw produktów rolnych. Z tego względu zrezygnował z kolejnej kadencji. Muszę dodać, że często darował mieszkańcom nakazane z góry dostawy.

## **Powstanie Ochotniczej Straży Pożarnej w Będziechowie**

W dniu 10 października 1965 roku powołano do istnienia jednostkę Ochotniczej Straży Pożarnej w Będziechowie. Straż powstała z inicjatywy Romana Kęski - przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej w Tokarach. Józef Dzikowski został pierwszym prezesem, a Ireneusz Kalinowski - naczelnikiem. Dzięki wyłożonej pracy ochotników - jednostka pozyskała pierwszą motopompę od Komendy Rejonowej Straży Pożarnej w Turku, a następnie sprzęt drobny i osobisty finansowany z funduszy Gromadzkiej Rady Narodowej w Tokarach. Problemem z jakim przyszło borykać się strażakom był brak własnego obiektu. Początkowo udostępniałem straży swoje prywatne pomieszczenia. W 1971 roku na walnym zebraniu podjęliśmy decyzję o budowie miejscowej strażnicy. Wieś podarowała teren pod ową inwestycję, pozostały po państwu Badowskich. Jednostka pozyskała 1000 sztuk pustaków od Komendy Rejonowej Straży Pożarnej w Turku oraz Gromadzkiej Rady Narodowej w Tokarach. Budowa ruszyła, a pozostałe pustaki powstawały na moim podwórku. Wysilek przyniósł oczekiwany skutek. W 1973 roku ukończyliśmy prace i przekazaliśmy budynek do użytkowania. Inwestycja ta ułatwiła funkcjonowanie OSP, a także umożliwiła pozyskiwanie środków poprzez organizowanie imprez i wynajem pomieszczeń. W 1973 roku zostałem skarbnikiem. Pierwszego zapisu w Księżce Skarbnika dokonałem 07.02.1973 r. W 1978 r. wybrano nowy zarząd. W jego skład weszli: prezes – Leonard Dzikowski, naczelnik – Ireneusz Kalinowski, skarbnik – Stanisław Janiak. Powierzoną mi funkcję pełniłem przez wiele lat – aż do 1996 r. Moim następcą został Andrzej Janik. Straż w Będziechowie przez wiele lat nie miała sobie równych podczas gminnych zawodów strażackich.



## Folwark Sokołowskich

Muszę nadmienić, że gospodarstwo będące w rękach mojej rodziny od pokoleń posiada bardzo charakterystyczne położenie. Zacznę od tego, że w Będziechowie w dawnych czasach istniał dwór. Przez wzgląd na częstą zmianę właścicieli popadł w ruinę.

W 1718 r. dokonano lustracji majątku. W XIX wieku w Będziechowie istniał folwark. Należał do rodziny Sokołowskich. Jego pozostałością jest wiatrak koźlak. Dziadkowie przekazali mi informację, że nasza rodzina ze strony mamy – Błaszczycowicze pracowali we folwarku od pokoleń. Gdy posiadłość chyliła się ku upadkowi, dzięki swojej pracy, wykupili oni dwie części majątku. Z kolei sąsiednie rodziny tylko po jednej. Dom, w którym się wychowałem należał do zabudowy położonej na terenie folwarku. Na naszej łące aż do dziś można znaleźć kamienie z budynków oraz studni, które były tam umiejscowione.

## Kilka słów od pani Lucyny – żony pana Stanisława

Do relacji męża, chciałabym dodać swoje wspomnienie – związane z II wojną światową. Podczas okupacji wraz z rodzicami oraz dwójką rodzeństwa zostaliśmy przesiedleni ze Skarżyna na Niedźwiady – czyli na teren Starego Czachulca, nieopodal getta. Często widywałam się z przetrzymywanymi tu żydowskimi dziećmi, bawiąc się z nimi oraz rodzeństwem. Dopiero z upływem lat zrozumiałam, jaką krzywdę wyrządzono tym ludziom i że wspólne chwile beztrioski mogły być zagrożeniem dla całej naszej rodziny. Ponadto w mojej pamięci zapisały się soboty, kiedy to z rodzicami chodziliśmy do Żydów, aby palić im ogień, ponieważ ze względu na szabat nie mogli oni pracować.

## Diamantowe gody

Ślub wzięliśmy 06.05.1958 roku. Udzielono go nam w budynku Gromadzkiej Rady Narodowej w Skarżynie. Naszymi świadkami byli: ówczesny wójt Franciszek Pacholski oraz pracownica gromady Irena Jasiak. Ślub Kościelny odbył się miesiąc później w Przespolewie.

Z albumu Lucyny i Stanisława Janiaków



Stanisław Janiak podczas służby wojskowej



Lucyna Janiak - żona pana Stanisława





Stanisław (sołtys Będziechowa w latach 50 XX w.) i Marianna Janiakowie –  
rodzice Stanisława Janiaka – bohatera artykułu

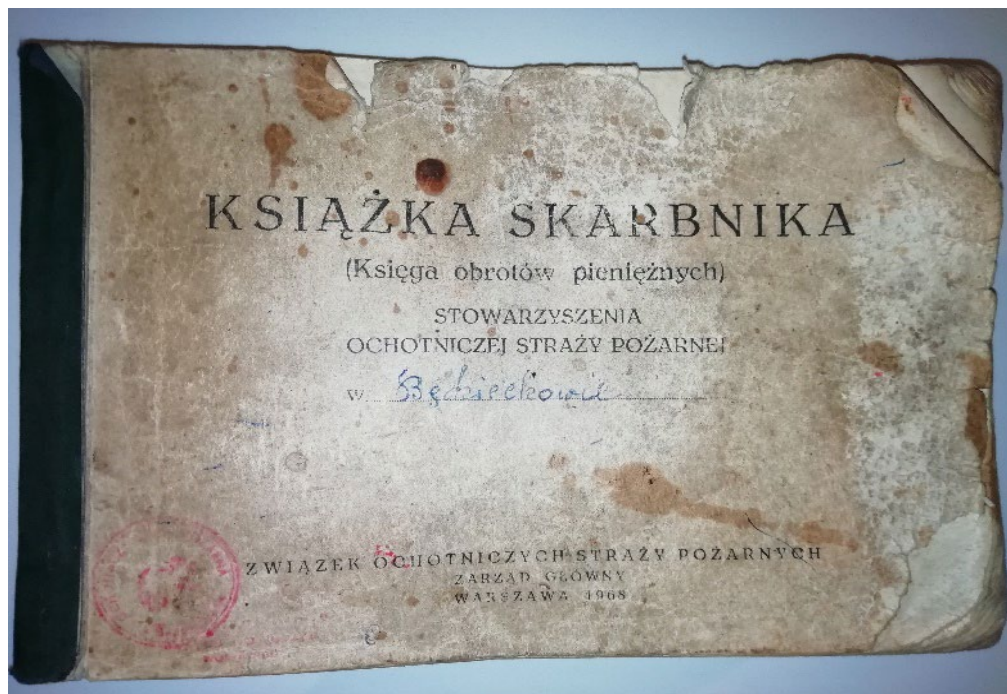


Nawiedzenie Obrazu Matki Bożej – Przespolew – 15-16.04.1975 r.





Legitymacja Stanisława Janiaka – radego Gminnej Rady Narodowej  
w Kawęczynie



Książeczka Skarbnika OSP Będziechów - prowadzona przez Stanisława Janiaka

# Bibliografia

- *Encyklopedia Popularna PWN*, dyr. G. Boguta, red. naczel. J. Jan Kofman, red. nac. encyk. B. Petrozolin-Skowrońska, Warszawa 1994.
- *Słownik Encyklopedyczny Wiedzy Szkolnej*, oprac. J. Tomaszewski, Warszawa 2003.
- *Słownik Języka Polskiego*, oprac. L. Drabik, A. Kubiak-Sokół, E. Sobol, L. Wiśniewska, PWN, Warszawa 2009 r.
- Święch J., *Literatura polska w latach II wojny światowej*, Warszawa 1997.
- Witczak H., *Dziedzictwo wieków – z dziejów Gminy Kawęczyn*, Kawęczyn-Konin 2010.

## Strony internetowe:

- Kaczyńska E., *Sybiracy* [dostęp: 23.04.2018],  
<https://www.enumi.pl/pl/artykuly/12/Sybiracy/>
- *Kacap* [w:] *Wikipedia*, [dostęp: 04.12.2020],  
[https://pl.wikipedia.org/wiki/Kacap\\_\(etnonim\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Kacap_(etnonim))

**Paulina Woźniak** – pasjonatka literatury oraz historii – w szczególności II wojny światowej. Zainspirowana literaturą faktu - w 2016 roku rozpoczęła własny cykl artykułów pn. „Wspomnień blask”, publikowanych na łamach miesięcznika „Kawęczyniak”. W styczniu 2020 r. ukazał się I Tom książki pod tym samym tytułem.

Paulina Woźniak jest ponadto współautorką „Małej Architektury Sakralnej Gminy Kawęczyn. Krzyże i kapliczki przydrożne”, jak również korektorem wielu publikacji wydanych przez Gminę Kawęczyn. Ukończyła studia magisterskie na kierunku Filologia Polska na Uniwersytecie Łódzkim oraz podyplomowe na kierunku - Administracja Samorządowa. W Urzędzie Gminy w Kawęczynie pracuje od 2013 r. Posiada uprawnienia przewodnika turystycznego po Wielkopolsce Wschodniej. Jest Sekretarzem Stowarzyszenia „Kawęczyńskie Towarzystwo Rozwoju” oraz Koła Miłośników Dziejów i Tradycji Regionu. Aktywnie działa na rzecz sołectwa Marianów-Kolonia, w którym mieszka. Prowadzi kronikę wiejską, a także strony miejscowości na portalach: Facebook oraz Nasza Wioska. Autorka wielu projektów, dzięki którym udało się pozyskać środki zewnętrzne dla sołectwa. Jej artykuły publikowane są w lokalnym piśmie „Kawęczyniak”, jak również w tygodniku diecezji włocławskiej „Ład Boży”, który stanowi integralną część pisma „Idziemy”.

Od listopada 2020 r. pełni funkcję Redaktora Naczelnego gminnego czasopisma „Kawęczyniak”.

